

ALEX SAND

Cudowna, ciepła, wakacyjna opowieść
o niełatwych wyborach, drugich szansach
na lepszą przyszłość oraz trudzie
rodzicielstwa

AT. Michalak

Po urlopie się żegnamy

WA
PO S

Po urlopie się żegnamy

A L E X S A N D

WA
PO S



Tej autorki w Wydawnictwie WasPos

CYKL PAN STRACH

Pan Strach #1

Człowiek w bandażach #2

POZOSTAŁE POZYCJE

Nie zapomnisz o tym, co Ci zrobiłem

Nie denerwuj jej

Po urlopie się żegnamy

W PRZYGOTOWANIU

Transfer. Pradawny dzwon #1 (duet z Tomasz Niedzielski)

*Dla mnie romans nie oznacza ckliwej,
przesłodzonej sentymentalności.
Jest jak curry, doprawione ekscytacją i humorem,
a także zdrową porcją cynizmu.*

Loretta Chase



Rozdział I



Z dala od pracy

Martyna Wójtowicz upewniła się, że czerwony, świeżo położony na paznokciach lakier już wysechł, a później wstała od czytanej przy kuchennym stole książki i podeszła do zlewozmywaka. Ze stojącej przy nim suszarki zdjęła talerze, uważnie przetarła je ściereczką i schowała do szafki.

– Maks! – krzyknęła do syna, niepokojąc się panującą w mieszkaniu ciszą. – Spakowałeś się?!

Nie usłyszała odpowiedzi, więc tylko zmarszczyła czoło, dobrze wiedząc, co to znaczy. Dokończyła wkładać do szuflady czyste sztućce, a później westchnęła i poszła do pokoju swojego dziecka.

– Maks, pytałam o coś – powiedziała, wchodząc bez pukania. – Spakowałeś się?

Jej dwunastoletni syn nawet nie podniósł głowy. Leżał na łóżku z nosem w smartfonie i zdawał się kompletnie nie słyszeć, co do niego mówiła. Martyna naprawdę nie zamierzała na niego krzyczeć, bo ten dzień miał być miłym startem ich wspólnego urlopu, ale z tym chłopakiem czasem nie dało się inaczej.

Cofnęła się do kuchni, podeszła do ustawionego na lodówce routera i po prostu go wyłączyła. Potem oparła się o futrynę i podziwiając ogniście czerwony lakier swoich wreszcie zrobionych paznokci, spokojnie czekała na syna. Nie minęło nawet kilka sekund, kiedy z pokoju Maksa dało się słyszeć rozdzierający krzyk.

– Maaaaamo! Nie ma Internetu!

Uśmiechnęła się pod nosem, ale nie odpowiedziała. Obróciła dłoń, uznając, że kolor lakieru mógłby jednak być mniej intensywny.

– Maaaaamo!

Po chwili dwunastolatek wybiegł z pokoju i z miną wściekłego psa przyszedł do kuchni i spojrzał na router.

– Co jest z netem? – spytał.

– Spakowałeś się już? – powtórzyła po raz trzeci.

– Ja nigdzie nie jadę – warknął i wyciągnął rękę w stronę lodówki. – Router się zgasił? – spytał, jakby nie było nic ważniejszego.

– Jedziesz, Maks. – Nic sobie nie robiła z jego bezczelnego tonu. – A router już się nie włączy. Za dwie godziny ruszamy, a ja wciąż nie widzę tu twojej walizki.

– Nie jestem dzieckiem, mam! – odparował, przyjmując pozę do ataku. – Zostanę, a ty jedź sobie sama na te cudowne wakacje.

Martyna wzięła głęboki oddech i na jego oczach wyjęła z routera jedyny kabel doprowadzający do niego Internet. Drugą część przewodu wysunęła z urządzenia tkwiącego w ścianie, a później całość włożyła do kieszeni swojej bluzy. Obiecała sobie, że nie będzie się zachowywać jak paranoiczka, ale naprawdę zależało jej na wspólnym wyjeździe. Od lat nie byli nigdzie razem i nie zamierzała zmarnować kolejnych wakacji z powodu jego kapryśków.

– Pojawi się walizka, włączę router – powiedziała tak spokojnie, jak tylko mogła, i cofnęła się w stronę kuchennego stołu.

– Mam! – Maks zaczął krzyczeć, a Martyna założyłaby się o wszystko, że gdyby teraz odwróciła się do niego, to zobaczyłaby, jak tupie ze złości.

Jej syn „gotował się” przez chwilę, a później wrócił do swojego pokoju i z impetem trzasnął drzwiami. Martyna dopiero teraz spojrzała przez ramię i pokręciła głową, zastanawiając się nad tym, kiedy ten dwunastolatek stał się taki nieusłuchany. Owszem, zdawała sobie sprawę z tego, że pracowała na półtora etatu i nierzadko przynosiła pracę do domu, więc nie miała dla niego tyle czasu, ile powinna była mieć. Ale... coś

przecież musieli jeść. No i on również miał swoje potrzeby, czego absolutnie mu nie zarzucała, w końcu był dzieckiem, a ona chciała zapewnić mu wszystko.

Sękał w tym, że w pogoni za każdą kolejną złotówką traciła z nim kontakt. Nie chciał już opowiadać jej o tym, co w szkole, nie prosił o wspólne wyjście do kina i nie mówił nic o kolegach z klasy, więc zaczęła zastanawiać się nad tym, czy on ich w ogóle ma. Później przyszło jej do głowy, że za dziesięć lat Maks nie podziękuje jej wcale za nowy komputer, konsolę czy wypasiony smartfon, a wypomni to, że nie miała dla niego czasu. Że wszystko, co ważne, przeżył sam, a jej przy tym nie było.

Ta myśl dotknęła ją tak mocno, że kilka dni wcześniej poszła do gabinetu swojego pracodawcy i powiedziała, że od pierwszego lipca bierze dwa tygodnie urlopu. Szef był wstrząśnięty, bo czegoś takiego nie zrobiła ani razu, a pracowała dla niego już sześć lat. Mężczyzna chwilę burczał coś pod nosem, ale oczywiście nie miał wyjścia. Wolne jej się przecież należało. Na fali jego zgody i własnego pomysłu Martyna przeszła więc do realizacji. W Internecie znalazła ośrodek wypoczynkowy nad jeziorem gdzieś na drugim końcu Polski i zarezerwowała całe dwa tygodnie, płacąc z góry. Tamtego dnia chodziła cała w skowronkach, a Maks, choć na początku wydawał się zachwycony tym planem, to im bliżej było do wyjazdu, tym gorzej to znosił.

– Proszę! – burknął, wychodząc nagle z pokoju i ciągnąc po podłodze walizkę na kółkach. – Spakowane. Dostanę ten Internet?

– Zaraz zobaczymy – odpowiedziała, wrywając się z zamyślenia. – Otwórz i powiedz, co zabrałeś.

– To, czego potrzebuję! Dostanę Internet?! – Znów podniósł głos.

– Maks, kochanie, nie krzycz na mnie, bo nie włączę ci tego routera, rozumiesz?

– O Jezus! – jęknął i przewrócił oczami.

– Żaden Jezus, wystarczy „mamo”.

– Maaamo! – zawodził, dobrze wiedząc, jak Martyna nie znosi tego tonu.

– Walizka. – Wskazała palcem.

Chłopiec poczłapał do bagażu i otworzył go, wymownie wzdychając. Martyna spojrzała do środka i zobaczyła, że wewnątrz jest tylko jego ładowarka do smartfona.

– No chyba sobie żartujesz.

– Ja nie potrzebuję nic więcej – odpowiedział poważnie i wydał usta na ostateczne potwierdzenie tego faktu.

– Chcę tu widzieć koszulki, spodenki, majtki, kąpielówki, skarpetki, ciepłą bluzę i długie spodnie – wyliczała. – Maszeruj z tym z powrotem. – Palcem wskazała mu jego pokój.

Maks fuknął coś pod nosem, z wielce obrażoną miną zamknął walizkę i pociągnął ją za sobą. Po chwili ponownie usłyszała donośny trzask drzwi. Zniecierpliwiona jego humorami zaczęła zastanawiać się nad tym, ile nerwów będą ją kosztować te wymarzone, wspólne wakacje. Na razie jeszcze nie wyjechali, a Maks już dawał jej popalić. Próbowwała skupić się na czytanej książce, ale tym razem przerwał jej dźwięk dzwonka. Sięgnęła po telefon i zobaczyła nazwisko szefa na ekranie.

– Wójtowicz, słucham? – przedstawiła się, odebrawszy połączenie.

– Dzień dobry, pani Martyno. Klient z Polmexu pyta o kwotę podatku, jaką ma do zapłacenia za maj, podobno mu jej pani nie podała? – zapytał wprost.

– Słucham? – zdziwiła się. – Za maj? Podatki dawno zostały rozliczone i wysłane. Robię to zawsze do piętnastego dnia kolejnego miesiąca, więc musiał się pomylić – wyjaśniła, przyjmując formalny ton.

– Klient twierdzi, że nie widzi na swoim koncie, żeby przelew wyszedł, więc nie podała mu pani kwoty – ciągnął szef.

– Klient sam odpowiada za swoje przelewy. Mailowo co miesiąc, i to od paru lat, dostaje ode mnie wyliczenia i teraz również je dostał – powiedziała. – Proszę mu przekazać, żeby ponownie sprawdził mail.

– Może sama mu to pani przekaże?

– Szefie, jestem od dziś na urlopie, a sprawdzenie poczty to kilka sekund – odparła. – Klient na pewno sobie z tym poradzi.

– Formalnie ma pani urlop od jutra – przypomniał.

Zapadła cisza. Kobieta uznała, że nie będzie wdawać się w niepotrzebne sprzeczki z pracodawcą. Zalogowała się na swoją pocztę na smartfonie i szybko sprawdziła wysłane wiadomości.

– Mam – powiedziała. – Mail z wyliczeniem podatku za maj został wysłany do Polmexu piętnastego czerwca i mam również potwierdzenie jego odbioru przez klienta – dodała z nutką triumfu w głosie. – A teraz

kończę, pakuję się. Do zobaczenia za dwa tygodnie, szefie – rzuciła szybko i wcisnęła czerwoną słuchawkę, zanim zdążył cokolwiek odpowiedzieć.

Przezornie od razu wyciszyła dźwięki w telefonie i nie myliła się! Po kilku sekundach szef już do niej oddzwaniał – jak przypuszczała – wkurzony, ale nie zamierzała odbierać połączenia. Do wyjazdu zostało niewiele czasu i chociaż była już spakowana, to poza czekaniem na Maksa miała ochotę doczytać dwie strony książki pozostałe jej do końca rozdziału, spokojnie napić się kawy i przejrzeć jeszcze raz mapy Google, żeby dobrze zaplanować podróż.

Po dwóch kolejnych próbach jej namolny szef wreszcie się poddał. Martyna doczytała fragment i w międzyczasie zalała sobie wielki kubek kawy. Włączyła mapy na smartfonie i wbiła wzrok w ekran. Z Katowic do Niesulic – małej wioski położonej w zachodniej Polsce – miała najszybszą trasą około czterystu kilometrów, więc nie powinno jej to zająć więcej niż cztery, może pięć godzin. Dawno nie jechała przez Wrocław, więc spodziewała się tam pewnych utrudnień, dlatego doliczyła sobie mały zapas. Siorbnęła kawę i spojrzała przez okno.

Dziś w mieście zadymienie było tak duże, że ucieszyła się z wyboru miejscowości w „zielonych płucach Polski”, jak to ładnie mówili o województwie lubuskim. Miała tylko nadzieję, że to prawda, a nie marketingowa papka wymyślona przez ośrodki czasowe celem opchnięcia turystom wspaniałych wakacji. Cóż, okaże się na miejscu.

Wróciła myślą do smogu wiszącego nad Katowicami i kiedy wpatrywała się w jedną z ciemnych chmur nad sąsiednimi blokami, miała wrażenie, że widzi w niej roześmianą twarz swojego męża. Jego niebieskie, skrzące się radością oczy, które pochłaniały Martynę dogłębnie i sprawiały, że dla niego była gotowa na wszystko. Potrząsnęła głową, chcąc odpędzić te myśli. Jego już dawno nie było, a ona została w tym cholernym mieście pełnym bolesnych, chociaż wspaniałych wspomnień. Sama z dzieckiem.

Los doprawdy potrafił robić sobie z człowieka jaja.

Martyna taszczyła pierwszą walizę, schodząc po schodach z drugiego piętra i psiocząc w duchu na brak windy. Niby na co dzień nie mogła narzekać, bo wspinanie się i schodzenie po schodach to zawsze jakaś aktywność fizyczna, ale w tym momencie nie myślała o tym, ile dobrego robi to dla jej krążenia i sylwetki, a klęła na ciężar niesionych tobołów. Dwa tygodnie to w końcu trochę czasu, więc zabrała sporo rzeczy, ale nie przypuszczała, że będą tak ciężkie.

– Dzień dobry, pani! – Usłyszała czyjś głos za plecami i odruchowo zatrzymała się na półpiętrze.

Kilka stopni nad nią stał jeden z sąsiadów.

– A dzień dobry, dzień dobry.

– Czyżby wakacje? – spytał z niedowierzaniem.

– A i owszem, najwyższa pora. – Uśmiechnęła się i podziękowała mu, widząc, że złapał w dłoń jej bagaż i zaproponował pomoc.

– O cholera – jęknął mężczyzna. – Kamienie pani taszczy w góry czy piach na plażę? – zapytał, ledwo dźwigając walizę z ziemi.

– No coś w tym stylu. – Zaśmiała się.

– Uf, no powiem, że niezły mam przedsmak przed siłownią – rzucił, a potem minął ją i zaczął schodzić na dół. – Daleko jedziecie?

– Czterysta kilometrów z kawałkiem – odpowiedziała. – Znalazłam fajne, czyste jezioro w lubuskim i zaszałam z podkoszulkami – dodała, wskazując na walizkę.

– Ma tu pani same podkoszulki? – Młody chłopak aż stanął z wrażenia.

Zaprzeczyła ruchem głowy, lecz jej uwadze nie umknęło to, jak spojrzał w tym momencie na jej biust. Niby przelotnie, ale jednak zatrzymał się na uwypuklonym przez obcisłą koszulkę rowku między jej piersiami i nerwowo przełknął ślinę. Gdyby była bardziej pruderyjna, to pewnie zrobiłaby się czerwona, ale szczerze mówiąc, schlebiało jej, że dwudziestokilkuletni mężczyzna z charakterystycznym błyskiem w oku oceniał jej biust. Tym akurat natura hojnie ją obdarzyła, chociaż od lat nikt nie miał okazji oglądać go bez stanika. No, może tylko ona – za każdym razem, gdy wchodziła pod prysznic.

Na parterze podziękowała sąsiadowi za pomoc, wysunęła kółka ze spodu walizki i ruszyła na parking. Wyjęła pilot do auta i kliknęła przycisk. Cichy sygnał dźwiękowy, który tak lubiła, oznajmił gotowość jej bestii

do jazdy. Minutę później zwałowo poderwała z chodnika ciężką walizę i wpakowała ją do bagażnika swojego niebieskiego suzuki. Domknęła klapę i uśmiechnęła się na samą myśl o przygodzie, która czekała i ją i Maksa. Wreszcie długa podróż w nieznane!

Kiedy człowiek pracuje w biurze rachunkowym i przez większość roku podróżuje jedynie do marketu na zakupy oraz odwiedzić syna do szkoły, to taka trasa wydaje mu się prawdziwym cudem. Długa droga, autostrady, ludzie, prędkość dociskanego gazu, postoje z burgerami na trasie i wreszcie cel w postaci bajkowego jeziora – ta myśl totalnie ją ekscytowała.

Wróciła do mieszkania po rzeczy Maksa, który wreszcie się jednak spakował i teraz siedział w Internecie, robiąc nie wiadomo co i nie wiadomo po co. On jeszcze nie wiedział, że na miejscu, w ramach cywilizacyjnego detoksu, zamierzała zabrać mu telefon na kilka dni i... miała pełną świadomość tego, że nie powinien o tym wiedzieć wcześniej. Z trudem wylazła z powrotem na drugie piętro i weszła do mieszkania. Ku jej zdziwieniu Maks siedział w kuchni z walizką ułożoną przed swoimi nogami i bez telefonu w ręce.

– Wszystko w porządku? – zapytała, bacznie mu się przyglądając.

– Musimy poważnie porozmawiać, mamo – powiedział, siląc się na uprzejmość, ale Martyna czuła, że chłopak coś kombinuje.

Usiadła na sąsiednim krześle.

– No mów.

– Uważam, że jestem już na tyle duży, że mogę decydować o tym, czy chcę jechać z tobą na wakacje, czy nie – zaczął. – A nie chcę i mogę to uargumentować – dodał.

Martyna prawie parsknęła, słysząc to „uargumentować”, bo to było jedno z jej ulubionych słówek powtarzanych podczas telefonicznych konsultacji z klientami. Musiał je gdzieś usłyszeć i teraz wykorzystał, dodając swojej wypowiedzi powagi.

– Proszę, uargumentuj – powiedziała z ciekawości, chociaż wiedziała, że zostawienie dwunastolatka w domu nie wchodziło w grę.

– Po pierwsze, nie znam tam kompletnie nikogo, więc przez dwa tygodnie będę się nudził i wariował – podjął.

– Bez obaw – przerwała mu. – Mam w planie spędzić z tobą dużo czasu, wzięłam gry, popływamy, zapiszemy się na lokalne atrakcje, skorzystasz ze zjeżdżalni do jeziora, posiedzisz przy ognisku – wyliczała. – Będzie fajnie.

– Mamo... my prawie nie rozmawiamy, a teraz mam z tobą jechać do jakiejś dziury i skakać z radości przy planszówkach? – spytał.

– Nie musisz skakać, Maks, ja tego nie oczekuję – odparła, starając się potraktować tę rozmowę poważnie. – Ale możesz dać mi szansę, prawda? Oboje sporo przeszliśmy i przyda nam się zmiana klimatu.

Maks fuknął coś pod nosem, ale ona zauważyła, że był zadowolony, słysząc, że uwzględnia go w tym i że wie, iż on również sporo przeszedł.

– Ale nie będziesz mnie zmuszać do głupich gier dla dzieci czy śpiewania tych debilnych piosenek przy ognisku?

– Nie będę – odpowiedziała. – To jak? Idziemy?

– Miałem jeszcze trzy inne argumenty, ale dobrze, dam ci szansę, mamo – rzucił łaskawie.

Wstała z krzesła i powstrzymując się od śmiechu, ruszyła w stronę drzwi.

– A moja walizka? – zapytał nagle.

– Co? – Odwróciła się i spojrzała na niego jak na dorosłego. – Przecież sam mówiłeś, że nie jesteś już dzieckiem.

Maksa na moment zatkało, a potem złapał uchwyt swojego bagażu i pociągnął za niego bez dodatkowego komentarza. Wiedziała, że tak będzie, przecież nie mógł się poddać w takiej chwili. Kiedy zamykała za nimi drzwi wejściowe, Maks już tarabanił się z walizą po schodach. Naprawdę chciała mu pomóc, ale czuła, że zmiana frontu i potraktowanie go jak malucha uderzy w jego najwyraźniej budzące się już do życia męskie ego.

Obserwując go z tyłu, zastanawiała się nad tym, jak wiele ich dzieli. Nie pokazała tego po sobie, ale jego słowa o tym, że prawie ze sobą nie rozmawiają, mocno ją uderzyły. Jakby ktoś zasunął jej pięścią w brzuch.

Tak, dzieciak miał rację. Odwoziła go do szkoły, jechała do pracy, a po powrocie on siedział u siebie,

a ona jeszcze dzwoniła do klientów albo skupiała się na kolejnym internetowym szkoleniu dla księgowych.

Czy to była jej wina, że polskie prawo podatkowe zmieniało się z prędkością światła i po prostu musiała być na bieżąco? Dziś klienta trzeba było rozliczyć tak, a tydzień później było to już naruszenie podpadające pod kontrolę i karę.

A może zapracowanie to tylko wymówka, która pozwalała jej nie myśleć o braku męża i o tym wszystkim, co na nią spadło? Szczerze mówiąc, choć nigdy nie powiedziałaaby tego głośno, tę drugą możliwość wolałaby wyrzucić sobie z głowy.

– Gdzie auto? – zapytał Maks, który właśnie wychodził z klatki schodowej.

Wskazała palcem.

– Po prawej, tam koło drzewa.

Specjalnie pozwoliła mu iść przodem, a kiedy doszli na miejsce, otworzyła klapę bagażnika i schyliła się po jego walizkę. Maks powstrzymał ją ruchem ręki.

– Nie – powiedział. – Sam włożę, mam tam ważne rzeczy.

Martyna znowu miała ochotę się zaśmiać, ale wiedziała, że nie powinna lekceważyć wagi jego spraw, więc tylko przesunęła swój bagaż tak, żeby miał więcej miejsca. Maks, sapiąc z wysiłku, załadował toboły do bagażnika i poszedł wsiąść do samochodu.

Kątem oka widziała, jak do uszu wciska sobie słuchawki i uruchamia telefon.

– Zaraz się zsikam, mamo, daleko jeszcze?

Syn od pół godziny przebierał nogami na siedzeniu pasażera i dosłownie nie mógł już wytrzymać.

– Dziesięć minut i jesteśmy na miejscu – odparła i lekko docisnęła gaz. – Wytrzymasz?

– Nie – jęknął boleśnie.

– Okej, sekunda, tu widzę parking, zjadę i skoczysz do lasu, tak?

– Mhm – mruknął chłopak i z nadzieją spojrział na prawo.

Właśnie wjechali do Niesulic i przed nimi zamajaczyła pierwsza tablica lokalnej smażalni ryb. Po prawej ciągnął się dość gęsty las, a tuż przy nim parking, na który właśnie zjeżdżała Martyna. Zdążyła zatrzymać auto, a Maks, nie czekając nawet, aż zgasi silnik, wypadł na zewnątrz. Ostatnimi siłami powstrzymywał napięty pęcherz i pędem pobiegł w głąb lasu.

Martyna sięgnęła po telefon i wysiadła z samochodu, a później przeciągnęła się szeroko, rozprostowując kości. Do celu zostało im wprowadzić niewiele, ale skoro i tak mieli tu spędzić bite dwa tygodnie, to nie musiała się już spieszyć. Kawalek z przodu zauważyła tablicę z kierunkowskazem na miejską plażę i ciesząc się, że już tu dotarli, wciągnęła w płuca świeże, leśne powietrze. Tutaj naprawdę pachniało inaczej niż w Katowicach.

Spojrziała w stronę lasu, ale Maksa jeszcze nie było widać, więc zamiast stać w parkingowym piachu, który pewnie zaraz wpadłby do jej adidasów, wyszła na pustą drogę. Odblokowała ekran i zobaczyła trzy SMS-y oraz pięć nieodebranych połączeń od szefa. Paliło się czy co? Odczytała wiadomości z informacją, że szef nie może znaleźć w jej biurze jakichś ważnych papierów. Westchnęła, wiedząc, że ma idealny porządek zarówno na biurku, jak i w szafach na segregatory, więc skoro czegoś tam szukał, to na pewno zostawił niezły bajzel. A to przecież dopiero pierwszy dzień jej wyjazdu! Czują nosem, że po powrocie zastanie masakrę.

Druga szuflada biurka, niebieska teczka, tam są.

Nagle dobiegł ją rozdzierający krzyk Maksa.

– Maaamo!

Odwrociła się niemal w tej samej sekundzie. Zanim jednak zdążyła zlokalizować syna i cokolwiek zrobić, usłyszała za sobą ogłuszający dźwięk klaksonu i aż podskoczyła. Sekundę później dostrzegła zbliżający się do niej biały samochód. Sparaliżowało ją natychmiast. Gwałtownie spięła wszystkie mięśnie, ale nie mogła się ruszyć. Widziała światła pojazdu coraz bliżej i nie była w stanie oderwać stóp od asfaltu. Jakby do niego przyrosły. Stała tak jak słup soli i z rosnącym przerażeniem w oczach patrzyła prosto na białą blachę, która zbliżała się ku niej w mgnieniu oka. Nawet nie drgnęła.

Prowadzący auto mężczyzna nerwowo zaciskał wargi, próbując wyhamować. Po chwili Martyna poczuła lekkie muśnięcie i zamknęła oczy. Serce podeszło jej do gardła.

– Mamo! – Usłyszała wydzierające się do niej Maksa.

W tle trzasnęły drzwi samochodu.

– Kurwa mać! – krzyczał mężczyzna. – Nic pani nie jest?!

Kobieta otworzyła oczy i zobaczyła, że nadal żyje, a jej kolan niemal dotyka zderzak stojącego przed nią pojazdu. Milimetry!

– Jezus Maria, w ostatniej sekundzie – powiedział facet, patrząc na jej nogi.

Maks wybiegł na ulicę i nerwowo złapał Martynę za rękę, próbując ją potrząsnąć.

– Mamo?

– Nic pani nie jest?

Martyna wypuściła powietrze z płuc, ciągle będąc w szoku, i mocno przytuliła do siebie Maksa. On też był cały roztrzęsiony.

– W porządku – wykrztusiła po chwili. – Chyba mam atak paniki.

– Niech pani zejdzie z drogi – rzucił mężczyzna, którego wyglądu Martyna nawet nie zdążyła zarejestrować. Wskazał palcem na jej samochód. – Zjadę tu obok i zaraz do pani podejść.

– Chodź, mamo. – Maks pociągnął ją za rękę i zeszli z ulicy, a po chwili syn pomógł jej się oprzeć o ich auto.

Chłopiec z przerażeniem patrzył, jak jego mama ciężko oddycha i próbuje się do niego pocieszająco uśmiechnąć.

Mężczyzna z białego pojazdu zjechał z drogi i zaparkował koło nich. Martyna tępym wzrokiem patrzyła na jego białe volvo i bardzo powoli zaczynała wracać do równowagi. Nie mogła uwierzyć w to, co się stało. Kiedy wysiadł i podszedł do niej z butelką wody mineralnej, była już prawie gotowa na to, żeby go zabić.

– Ile, do cholery, miał pan na liczniku? – spytała, podnosząc głos.

– Przepraszam – odpowiedział. – O tej porze zwykle nie ma tu ruchu, jechałem za szybko.

– Mógł mnie pan zabić! – dodała. – Myśli pan czasem o takich rzeczach, kiedy pędzi jak psychopata? – warczała, zdając sobie sprawę z tego, że do nieszczęścia było naprawdę niedaleko.

– Bardzo panią przepraszam – odparł autentycznie skruszony, a ona dopiero teraz zauważyła, że drży mu dolna warga.

Mężczyzna podał jej wodę, a ona, czując suchość w ustach, odkręciła nakrętkę i wypila dwa łyki. Potem nabierała oddech za oddechem i z namysłem wypuszczała powietrze tak, jak to czasem robiła w samolocie, kiedy denerwowała się podczas startu.

– W porządku, chłopie? – spytał mężczyzna, patrząc na rozdygotanego Maksa.

– Tak – odparł powoli nastolatek, chociaż wciąż cały się trząsał na myśl o tym, że jego mama właśnie o mało nie zginęła. – Mamo? – zwrócił się do niej, zadzierając głowę.

– W porządku, Maks. – Kiwnęła głową. – Daj mi chwilę, zaraz się uspokoję – dodała.

– Stałaś z telefonem w ręce na środku drogi! – Maks jakby nagle oprzytomniał i podniósł na nią głos. – Jak mogłaś?!

– Słucham? – spytała zaskoczona.

– Auta nie było słyhać, ale ty stałaś na drodze! – oburzał się na nią.

– No tak, chłopak ma rację, trochę nieostrożnie pani zrobiła – podchwycił mężczyzna.

Martyna głęboko wciągnęła powietrze, żeby na kogoś zaraz nie krzyknąć. Faktycznie skojarzyła, że odpisywała szefowi na SMS i nie musiała tego robić na środku jezdni, ale to kierowca pojazdu zawsze powinien mieć oczy dookoła głowy.

– To nie zmienia sytuacji! Leciał pan co najmniej osiemdziesiąt w zabudowanym – powiedziała zdenerwowana.

– Przepraszam, ja wiem, że to moja wina, ale rzeczywiście nie powinna była pani stać na środku drogi z telefonem w ręce – rzucił. – To trochę szczeniackie, biorąc pod uwagę fakt, że ma pani dziecko pod opieką.

– Słucham? – Uniosła brew. – Zamierza mnie pan teraz umoralniać?

– Skądże, nie zamierzam, stwierdzam tylko fakty.

– Mamo, przestań już. Jak w ogóle mogłaś mi to zrobić?! – denerwował się Maks. – Oboje jesteście winni i oboje nie uważaliście.

Martynę zatkało, podobnie jak stojącego obok kierowcę volva.

– Ile ty masz lat? – zapytał z ciekawości.

– Dwanaście.

– Nieżył ten pani chłopak. W zasadzie ma rację – zauważył.

Martyna pogłaskała Maksa po włosach, a on otrząsnął się, jakby to była ujma.

Mężczyzna tymczasem wyciągnął do niej rękę.

– Nazywam się Piotr Kanda.

– Martyna Wójtowicz – przedstawiła się. – A to jest Maks – dodała.

Przez chwilę stali w ciszy, próbując uspokoić w sobie emocje. Martyna popatrzyła na jego auto i dopiero teraz zauważyła charakterystyczne kształty.

– To hybryda? – zapytała.

– Tak – potwierdził.

– Pewnie dlatego jej nie usłyszałam. Podobno są strasznie ciche i to jedna z ich głównych wad.

– To prawda – przyznał Kanda. – Niestety dowiedziałem się o tym już po zakupie. Gdzie się zatrzymaliście? Może podjadę tam z wami dla pewności? – zaproponował.

– Damy sobie radę – odmówiła. – Po kolanach czuję, że jest dobrze, ledwie je musnęło.

– Wolałbym się upewnić – naciskał. – Przy takiej adrenalinie ból często pojawia się dopiero po czasie.

– Czyżby prawie puknął mnie lekarz? – zapytała, unosząc brew.

– Niestety nie, jedynie instruktor golfa – wyjaśnił. – Prowadzę zajęcia tu niedaleko, na polu golfowym i właśnie jechałem do pracy. Jeszcze raz przepraszam.

Martyna machnęła ręką i otworzyła drzwi swojego samochodu.

– Muszę usiąść – powiedziała i zgięła kolana, celowo sprawdzając, czy nie poczuje jakiegoś bólu, ale na szczęście mogła bez problemu usiąść i wstać. – Chyba miałam szczęście – dodała.

Maks przysunął się bliżej i złapał ją za rękę, gładząc pocieszająco po wierzchu dłoni, a ona spojrzała na niego zdziwiona. Zupełnie nie pamiętała, kiedy syn okazał jej tyle czułości. W duchu musiała przyznać, że to było bardzo miłe.

Dała sobie kilka minut na zebranie myśli, a potem powiedziała Maksowi, żeby wracał do auta.

– Myślę, że już spokojnie dojedziemy. – Podniosła wzrok na Piotra Kandy. – Nasz ośrodek jest niedaleko.

Trafiła na ciemne, uważnie wpatrujące się w nią oczy i na chwilę się na nich zatrzymała. Dopiero teraz lepiej przyjrzała się mężczyźnie, oceniając przez moment jego wypielęgnowaną, równo przyciętą brodę i nieznaczny wąsik rysujący się pod nosem. *Elegancik z miasta, jak nic*. Piotr Kanda miał na sobie jasną koszulkę polo i spodnie z dobrego materiału. Zwróciła na nie uwagę tylko dlatego, że dzisiaj mało kto nie miał na sobie jeansów.

– Niech pan jedzie do pracy, ostatecznie nic się nikomu nie stało, więc damy sobie radę – powiedziała pewnym głosem. – Do widzenia!

Podniosła rękę w geście niby to machania, a potem zamknęła drzwi samochodu od środka i zapięła pasy. Piotr Kanda cofnął się do swojego auta i patrzył, jak kobieta spokojnie rusza z parkingu, kierując się w głąb Niesulic. Wsiadł do samochodu i pojechał w tym samym kierunku.

Niecałe dziesięć minut później Martyna zatrzymała się przed wjazdem do ośrodka wypoczynkowego Kormoran. Maks zerknął w tylną szybę.

– Mamo, ten pan też tutaj przyjechał.

Kobieta odwróciła się, widząc, jak niedoszły sprawca wypadku wysiada z volva i idzie w ich kierunku. Kiedy otwierała drzwi i wystawiała nogę ze swojego wozu, on już stał obok.

– Byłbym totalną świnią, gdybym nie pomógł wam z bagażami – powiedział.

Martyna przypomniała sobie cholernie ciężką walizkę i uznała, że właściwie jest to całkiem dobry pomysł. Wykorzysta jego wyrzuty sumienia.

– Dziękuję.

Podeszła do bagażnika, uchyliła klapę i wyjęła lekki bagaż Maksa.

– Przy tej przyda się wsparcie – powiedziała do Piotra Kandy, wskazując mu swoje rzeczy.

Mężczyzna lekko wyciągnął rękę i złapał walizkę, a potem spróbował ją podnieść.

– O choroba – sapnął.

Pomógł sobie drugą ręką i z trudem wytaszczył bagaż z samochodu.

– Na długo przyjechaliście? – zapytał, udając, że to nie było nic trudnego.

– Dwa tygodnie – rzucił mu za plecami Maks.

Martyna podniosła wzrok i zaczęła rozglądać się za ośrodkową recepcją. Zobaczyła ją kawałek dalej i ucieszyła się, że nie będzie musiała iść daleko.

– Pójdę nas zameldować, poczekacie?

Kanda skinął, a Maks spojrzał na niego podejrzliwie.

– Popilnuję tego pana, gdyby chciał ukraść twoją walizkę, mamó – powiedział poważnie.

Martyna zdębiała i zaczęła się śmiać, co z kolei rozbawiło też Piotra Kanda.

– Mówisz, że są w niej jakieś cenne rzeczy? – zapytał tonem, który sugerował wysokie zainteresowanie jej zawartością.

– Nie pana interes. – Usłyszał rezolutną odpowiedź dwunastolatka i uniósł kąciki ust.

– To ja idę. Zaraz wracam. – Martyna odwróciła się do nich plecami i ruszyła szybkim krokiem do recepcji.

Między Maksem i Kandą zapadła cisza. Chłopiec wpatrywał się w niego, nie spuszczać go z oczu nawet na moment. Mężczyzna o mało nie zabił mu mamy, a poza tym w oczach dziecka wyglądał podejrzanie.

– Dlaczego pan tak śmiesznie wygląda? – zapytał wreszcie Maks, oceniając jego dziwne, niemodne spodnie.

– Śmiesznie?

– No. Dziwne spodnie pan ma.

– Aaa – zreflektował się Kanda. – To strój na pole golfowe. Grałeś kiedyś w golfa?

– W ten sport dla starych dziadków? – zdziwił się Maks. – W życiu nigdy.

– Wcale nie takie dziadki grają. – Kanda się uśmiechnął. – A na polu obowiązują pewne zasady co do stroju, dlatego tak wyglądam.

– Acha... taki jakby mundurek?

– Coś w tym stylu. Może podejździemy w kierunku recepcji i poczekamy tam na twoją mamę? – zapytał, zmieniając temat.

– Możemy.

Maks zaczął ciągnąć swoją walizkę i przez ramię zerkał na to, jak Piotr radzi sobie z bagażem jego mamy. Po chwili stali przy budynku, w którym zniknęła, i czekali, aż wyjdzie. Kilka minut niezręcznej ciszy, która komuś, kto by się temu przypatrywał, uświadomiłaby, że Piotr Kanda nie miał zbyt częstych kontaktów z dziećmi i niespecjalnie potrafił z nimi rozmawiać. Może i udzielał czasem lekcji golfa młodszym grupom, ale praca to praca, a rozmowa z obcym dzieciakiem twarzą w twarz to coś zupełnie innego. Z kłopotliwego milczenia wybawiła ich wychodząca z recepcji Martyna. Dopiero teraz Kanda przyjrzał się jej uważniej. Na twarz kobiety padły promienie słońca, które dzisiaj grzało wyjątkowo mocno i tym bardziej podkreślały jej ciemnowisniowy kolor włosów. Wyglądała naprawdę ładnie i pewnie przyjrzałby się jej twarzy lepiej, ale wzrok mimowolnie zsunął mu się na jej duże, pełne piersi. Mimo luźno zakrywającej je koszulki wyglądały imponująco. Zapatrzył się.

– Jestem! – zawołała, unosząc w ręce klucze do domku.

Podeszła do nich z uśmiechem, który chyba zapowiadał powrót jej dobrego nastroju. Kanda obserwował, jak kobieta idzie, delikatnie kołysząc biodrami na boki. Cicho przełknął ślinę, gromiąc sam siebie za myśl, która przyszła mu teraz do głowy.

– Domek jest niedaleko – powiedziała. – Z widokiem na jezioro, tak, jak zarezerwowaliśmy – mówiła zadowolona do syna. – Pomoże pan z tym bagażem? Byłabym wdzięczna – dodała, wskazując Kandzie kierunek.

– Jasne. Piotr, bez pan – powiedział.

– Aha... – odpowiedziała trochę zaskoczona.

– Jak twoje nogi, mamó?

– Dobrze, nie czuję żadnego bólu, więc obejdzcie się bez gipsu i dramy.

– Tym razem się wam upiekło – skwitował Maks.

– Nam?

– Tobie, że byłaś zapatrzona w telefon, i jemu, że jechał jak wariat – podsumował. – A podobno to ja mam problem z nieodkładaniem smartfona – dodał złośliwie, gromiąc ją spojrzeniem.

Martyna nie skomentowała.

W tym przypadku jej syn miał rację.

Rozdział II



1 lipca

Poniedziałek

Otworzyła oczy o piątej trzydzieści, i to bez pomocy budzika. Jej zawodowy rytm dnia wyraźnie wskazywał, że trzeba wstawać do pracy, i chociaż Martyna miała urlop, nic się w tej kwestii nie zmieniło. Spojrzała w okno, za którym rozciągała się już niemal całkowita jasność, i wciągnęła w płuca zapach drewnianego domku. Zachwyciła ją wyczuwalna ostrość żywicy, chociaż przez moment zastanawiała się, czy to nie są jednak halucynacje. Bo czy to normalne, by nosem przyzwyczajonym do wszechogarniającego, katowickiego smogu wyłapywać las i drzewa?

Wygodna ciepła pościel sprawiała, że nawet teraz Martynie było pod kołdrą wyjątkowo przyjemnie, więc zapatrzyła się na wystrój pokoju, który wybrała sobie do spania. Domek Dąb View numer dwanaście był wprawdzie pięcioosobowy, a ich było tutaj tylko dwoje, ale specjalnie wzięła właśnie taki i nie przeszkadzała jej cena. Lubiła, gdy pomieszczenia były przestronne, no i chciała zostawić Maksowi trochę więcej przestrzeni. Wysunęła stopę spod kołdry i spojrzała na swoje czerwone paznokcie. Ładnie wyglądały na tle wstawionych tu mebli i choć poczuła chłód panujący poza nagrzaną pościelą, było to miłe uczucie. Coś, jakby muskała ją poranna bryza dnia wolnego od pracy.

Uśmiechnęła się sama do siebie i odgarnęła przykrycie na bok, wyskakując z łóżka.

Przeciągnęła się szeroko i postanowiła sprawdzić, czy Maks jeszcze śpi. Narzuciła cieplejszą bluzę, przeszła cicho do jego pokoju i zobaczyła, że leży w łóżku z zamkniętymi oczami. Wyglądał tak spokojnie, że nie miała serca nawet pytać, czy już chce wstać i cieszyć się razem z nią tym pierwszym dniem wspólnych wakacji.

Począpała do salonu, w którym znajdował się aneks kuchenny i nalała wody do elektrycznego czajnika. Dobrze, że przezornie wzięła go ze sobą z domu, bo na miejscu była tylko możliwość zagrzania wody na gazie, a to pewnie trwałoby wieki. Pstryknęła przycisk, marząc o swojej ulubionej kawie, pitej z widokiem na jezioro. Czekając na bulgoczącą wodę, otworzyła drzwi domku i wpuściła do środka świeże powietrze. Potem wyszła na niewielki taras, z którego rozciągał się bajeczny widok na plażę, pomosty oraz jezioro, i zachwyciła się widokiem.

– Tego mi było trzeba – westchnęła. – Nareszcie!

Dość kominów, blokowisk i drażniącego smogu krążącego nad oknami. Czajnik w kuchni pyknął delikatnie, więc cofnęła się do środka i zalała kawę. Chwyciła kubek w dłoń, a potem w spodniach od piżamy i w rozciągniętej bluzie dresowej wyszła na zewnątrz. Pod ich domkiem, w otoczeniu drzew, stały ławeczka i drewniany stolik. Uznała, że na dzisiaj będzie to miejsce idealne. Szybko zeszła po schodkach, usiadła na ławce i rozglądając się po okolicy, sączyła pierwsze łyki gorącego napoju. Dziś smakował jej zupełnie inaczej niż w mieście.

– Chyba jestem w raju – powiedziała i w tym momencie usłyszała nad sobą ciche skrobanie.

Szybko zadarła głowę i spojrzała w górę, widząc pędzący właśnie ku szczytowi drzewa ogon wiewiórki.

– No nie wierzę! – podekscytowała się.

Martyna Wójtowicz była typową mieszkanką wielkiego miasta i takie widoki były dla niej czymś całkiem nowym. Przez dłuższy moment obserwowała wiewiórkę, podziwiając jej soczysty, rudy kolor i

energiczne ruchy.

- Maaaamo! – Usłyszała nagle głos Maks, który wydawał się rozzłoszczony.
- Tu jestem! – odrzyknęła, odwracając się w stronę domku.
- Telefon ci wibruje! Wyłącz, bo nie mogę spać! – wołał.
- Jaki wrażliwy – prychnęła, ale podniosła się i wróciła do środka.

Telefon znalazła ułożony na talerzu – nie miała pojęcia, kiedy i po co go tam zostawiła – i podczas połączenia, mimo że miała wyciszone dźwięki, wibracje były tak donośne, że nie dało się tego wytrzymać. Podniosła komórkę i krzyknęła do syna.

- Przepraszam! Już wyłączam!
- Masakra no – warknął w odpowiedzi.
- Halo, Wójtowicz – odebrała połączenie i ścisząc głos, wróciła na ławeczkę przed domkiem.
- Pani Martyno, mam kilka pytań od klienta z Wanbudu. – Usłyszała głos szefa.

Spojrzała na zegarek i z niedowierzaniem zarejestrowała, że jeszcze nie ma szóstej.

- Słucham? – W jej głosie brzmiało oburzenie. – Jest błąd świt, a ja jestem na urlopie.

– Klient z Wanbudu ma pytania, zaraz pani przeczytam. – Pracodawca w ogóle nie zwrócił uwagi na to, co powiedziała.

– Chwileczkę – powstrzymała go mocniejszym głosem. – Szefie, z całym szacunkiem, ale jestem na urlopie, a wszystkimi moimi sprawami zajmuje się Helenka Czaj i to do niej proszę kierować pytania – dodała.

- Pani Heleny jeszcze nie ma w pracy – odparł, jakby miało to jakieś znaczenie.

– Nie dziwię się, dochodzi szósta rano! – obruszyła się.

- Taaak? – spytał, wcale tego nie zauważając.

– Tak. Helenka będzie o ósmej i klient na pewno do tego czasu poczeka. Szefie, wyłączam dźwięki i wibracje, więc nie będę słyszeć połączeń, a w razie gdyby się paliło, to co trzy dni sprawdzę maila. Powodzenia i do zobaczenia za dwa tygodnie – rzuciła stanowczo i przeciągnęła palcem po ekranie, kończąc rozmowę i nie dając mężczyźnie szansy na kolejne pytanie.

Ten facet naprawdę był bezczelny. Zawracał jej tyłek na pierwszym urlopie od wielu lat, i to zaraz po wschodzie słońca.

No chyba oszalał. Nie było możliwości, żeby się na coś takiego zgodziła!

Powoli dopiła ostatnie łyki kawy, starając się nie patrzeć na ekran i uspokoić myśli.

Dopiero później poszła szykować śniadanie.

Celowo nie wykupiła wyżywienia w ośrodku, bo jej plan odbudowywania relacji z Maksem zakładał wspólne posiłki na świeżym powietrzu i brak konieczności wracania do ośrodkowej stołówki na ściśle wyznaczoną porę. Nie była oczywiście kulinarnym mistrzem, a obok perfekcyjnej pani domu nawet nie stała, ale w Katowicach rzadko miała czas zjeść razem z synem i jeszcze coś przygotować, więc postanowiła, że tutaj to nadrobi.

Wczoraj, kiedy Piotr Kanda odprowadził ich domku i odjechał, wybrała się z Maksem na spacer do pobliskiego sklepu i kupiła trochę rzeczy, z których mogła spokojnie ogarnąć dla nich przyzwoite śniadanie. Wyjęła mały garnuszek, wsadziła do niego jajka i postawiła na kuchence gazowej, a potem zabrała się do kanapek. Jej plan był prosty; robi śniadanie, budzi Maks, i razem jedzą nad jeziorem. Nie widziała sensu w tym, żeby marnować piękną pogodę na siedzenie w czterech ścianach.

- Mamo! – zawołał Maks. – Wi-Fi mi tu zacina!

– Możliwe – odpowiedziała głośniejszym głosem. – To jest wioska, a nie wielkie miasto, pewnie mają słabsze zasięgi – dodała.

- To jak mam sprawdzać w necie wszystko?! Kurde no! – złościł się.

– Chodź do kuchni, szykuję śniadanie – powiedziała, układając na chlebie plasterki wędliny. – Czytałam na ich stronie, że na plaży jest lepsze Wi-Fi, to tam zjemy i sobie sprawdzisz.

- O! Serio? – Maks nagle pojawił się za jej plecami.

Nie podskoczyła tylko dlatego, że znała już ten jego talent do pojawiania się znikąd.

- Tak napisali.

– Dobra, to ubiorę się i idę tam – stwierdził z ożywieniem.

– Czeka, pomożesz mi z rzeczami. – Spojrzała na wodę bulgoczącą w garnku. – Jajka są już prawie gotowe.

- Będziemy jeść jajka na plaży? – Maks aż się skrzywił. – To siara.
 - Jaka znów siara? To są wakacje, poza tym na plaży i tak jeszcze nikogo nie ma.
- Jej syn podszedł do drzwi i spojrzał w stronę jeziora. Rzeczywiście plaża była pusta.
- No dobra, zaraz wracam – mruknął i zniknął w swoim pokoju.

Martyna uśmiechnęła się, zdając sobie sprawę z tego, że mimo trzydziestu dwóch lat wciąż pamięta etap, kiedy jedzenie jajek na twardo w miejscach publicznych wydawało jej się obciachem. Na szczęście im starszym się jest, tym więcej ma się w dupie, dlatego od dawna takie rzeczy już jej nie przeszkadzały. Dokończyła kanapki, zawinęła je w papier i wsadziła do niewielkiego plecaczka. Chwilę później obok wylądowały również schłodzone zimną wodą jajka i solniczka.

Przeszła do pokoju Makska i zapukała do drzwi.

- Jestem gotowa – rzuciła, nie otwierając ich.
- Już idę!

Za moment chłopiec wysunął się z pokoju w czystych, krótkich spodenkach i dresowej bluzie. Nos trzymał skierowany w dół, nie spuszczając z oczu smartfona. Szedł do przodu zupełnie tak, jakby nie musiał patrzeć pod nogi i zatrzymał się na wprost Martyny.

– Mamo, nie rób wiochy, włóż krótkie spodenki – powiedział, widząc, że wciąż jest w spodniach od piżamy.

Martyna spojrzała na siebie i zaczęła się śmiać.

- Poczulałam wakacje – parsknęła i szybko ruszyła do walizki leżącej w sypialni.
- W trzy sekundy zdjęła piżamę, rzuciła ją na łóżko i zaraz była gotowa.
- Idziemy! – zarządziła, łapiąc plecak w rękę. – Weź tylko sok z blatu – dodała.
 - Który?
 - Pomarańczowy może być.
 - Dobra. – Maks złapał karton i wyszedł przed domek.

Powoli zszedł po schodkach i zerkając w stronę telefonu, skierował się na plażę. Chłopiec doskonale wiedział, że im szybciej złapie dobry zasięg, tym bliżej będzie musiał iść następnym razem, więc nie zważając na wyprzedzającą go mamę, ciągnął się za nią krok za krokiem.

- No pospiesz się. Zaczyna mi burczeć w brzuchu.
- Mhm – mruknął.

Doszli do kamiennych schodów prowadzących na plażę i na ich końcu Martyna zdjęła sandały, żeby poczuć piasek pod stopami. Był jeszcze dość chłodny, ale wyczuwała przyjemność naturalnego peelingu, jaki będzie ją tutaj codziennie czekał. Pomyślała, że stopy wygładzi sobie na bóstwo! To pewne. Doszli prawie do brzegu i Martyna zamarła na moment, widząc, jak czysta jest tutaj woda. Przy samej granicy z piaskiem pływały nawet maleńkie rybki.

– Zobacz, rybki! – zawołała do Makska, ale ten był dopiero w połowie plaży i rybki kompletnie go nie interesowały.

Usiadła na piasku, otworzyła plecak i wpatrując się w dal, sięgnęła po pierwszą kanapkę.

- Bosko – powiedziała ni to do syna, ni do siebie.
- A nie możemy usiąść na pomoście? – zapytał Maks, stając jej za plecami.
- Siadaj, tu jest fajnie.
- Piasek mi się powbija w buty, a to obrzydliwe. – Skrzywił się.
- No rzeczywiście, to byłby dramat – prychnęła. – Zdejmij te buty, po co ci one?
- A jak wdepnę w jakąś osę?
- Nie wdepniesz, daj spokój, to jest plaża, nie łąka.
- Dobra, tylko żeby nie było, że nie mówiłem.

Martyna przewróciła oczami, zastanawiając się, skąd w jej synu takie irracjonalne strachy, ale po chwili zdjęła buty i siadł obok niej, więc odpuściła sobie wnikanie.

- Z szynką czy z serem? – zapytała, zerkając do plecaka.
- Z serem.

Podawała mu kanapkę, a potem zaczęła obierać do woreczka pierwsze jajko. Zarejestrowała oczywiście, że Maks rozejrzał się dookoła, sprawdzając, czy nikt tego nie widzi.

- Jest zasięg! – zawołał nagle, jakby to było w tej chwili najważniejsze.

– Mhm, fajnie.

Od razu pomyślała, że da mu jeden dzień na zaaklimatyzowanie się i dopiero jutro zabierze telefon. Cały czas zastanawiała się, jak to rozegrać, żeby nie było hysterii, i jedyne wyjście, jakie przychodziło do głowy, to jeden na jeden – dzień ze smartfonem, dzień bez. Może wtedy nie dozna takiego szoku.

Ciszę na plaży przerwał głos jakiegoś chłopaka, a Maks w tym momencie mało nie zakrzuszył się jajkiem.

– Aaaa! Juhuuuu! – wołał biegnący właśnie w ich kierunku nastolatek w kąpielówkach.

Tempem godnym podziwu przebiegł plażę, minął ich i z impetem wparował do jeziora. Wokół niego rozprysnęła się woda i za chwilę zniknął, nurkując.

– Ale ekstra! – krzyknął, gdy tylko się wynurzył. – Dzień dobry! – Pomachał do nich.

– Dzień dobry – rzuciła Martyna. – Ciepła woda?

– Idealna! – odkrzyknął i znowu zanurkował.

Siedzący obok Maks dopiero teraz potajemnie ugryzł jajko drugi raz, wiedząc, że chłopak go już nie widzi. Wyglądał na trochę starszego, więc dwunastolatek z pewnością nie chciał sobie przy nim robić obciachu.

– Nie masz ochoty popływać? – spytała Martyna.

– Jem – burknął. – Sama mówiłaś, mam, że nie pływa się zaraz po jedzeniu.

Martyna nie miała kontrargumentu na własne argumenty, więc wzruszyła tylko ramionami i ugryzła kolejny kęs kanapki. Tymczasem chłopiec pływający w jeziorze stanął na nogi, otrząpął się i zaczął iść w ich stronę.

W przeciwieństwie do Maksa miał trochę więcej ciała i dłuższe włosy, ale wyglądał na bardzo aktywnego.

– Hej – kiwnął głową w kierunku jej syna – Dawid jestem, a ty?

– Maks.

– Fajnie poznać, z którego domku jesteście? – spytał, otrzepując włosy z wody.

– Ej, zimna! – Ochlapany Maks aż się wzdrygnął.

– Spoko, nie rozpuścisz się, to nie kwas – prychnął Dawid. – Mieszkam tu po prawej z rodzicami – powiedział, wskazując domek sąsiadujący z ich dwunastką.

– O, to jesteśmy sąsiadami – podchwyciła Martyna.

– Super! – Chłopak prawie się ucieszył, a Martyna dostrzegła, że łąpczywie przygląda się ich śniadaniu.

– Rodzice jeszcze śpią? – spytała.

– Taaak – odparł, przeciągając głoskę i nieznacznie oblizując wargi.

– To może się poczęstujesz? – zaproponowała, uchylając plecak i pokazując mu, że mają więcej.

– Chętnie! – rzucił i od razu wyciągnął sobie pierwszą kanapkę z brzegu. – Ooo, i nawet jaja macie. – Zaśmiał się, zerkając głębiej, a Maks zrobił się czerwony. – Prawdziwy piknik! Mogę jedno?

– Nie krępuj się. – Martyna skinęła, widząc jednocześnie, że jej syn odдыcha z ulgą.

To było doprawdy niesamowite, że denerwował się jedzeniem jajek na plaży przy innym dziecku. Dawid usiadł obok i nie przeszkadzając sobie, zaczął wcinąć.

– Pycha śniadanko – wybełkotał z pełnymi ustami. – Ile masz lat? – zagał Maksa.

– Prawie trzynaście. – Maks naturalnie musiał się postarzyć, chociaż do trzynastu to mu było jeszcze daleko.

– Ja czternaście. – Dawid wyciągnął wolną rękę i krótko się uściskali. – Sam tu jestem z rodzicami od wczoraj i trochę się nudzę – dodał. – W razie czego będę do ciebie wbijał.

– Jasne. – Maks uśmiechnął się, ale w duchu wcale nie był zachwycony nowym towarzystwem.

– Zapraszamy – wtrąciła Martyna.

Chłopak posiedział z nimi kilka minut, dojadł, a potem pożegnał się i poleciał do swojego domku.

– No widzisz, może nawet będziesz miał kolegę?

– Mamo! – jęknął Maks. – Nie musisz mi szukać kolegów.

– Nie szukam, sam przecież przyszedł.

– Chodź. – Wstała z piasku. – Przejdziemy się po pomoście, a potem pozwiemy ośrodek.

Maks uznał, że zawsze lepsze to niż siedzenie i czekanie, czy ten z domku obok zaraz nie wróci, więc podniósł się z piachu i ruszył za nią na pomost.

– Opleć kij rękami, najpierw tą. – Piotr Kanda właśnie pokazywał nastoletniej dziewczynie, jak wykonać ten chwyt poprawnie. – Dobrze, a teraz dołóż drugą. Ooo tak!

Reszta niewielkiej grupy, którą miał dzisiaj pod opieką, uważnie przyglądała się temu, jak układa dłonie, i próbowała powtórzyć to samo na trzymany przez siebie kijach do golfa. Kanda podchodził do każdego z nich, sprawdzał sposób trzymania kija i chwalił tych, którzy dobrze go ułożyli.

Doskonale pamiętał swoje pierwsze lekcje golfa i to, jak ważne było dla niego każde słowo doceniające pierwsze postępy.

To właśnie jego nauczyciel, lata temu, zaszczerpił w nim miłość do tej gry i sprawił, że z czasem rozrywka stała się jego sposobem na życie. Za każdym razem, kiedy dostawał nową grupę dzieciaków do nauczania podstaw, skupiał się na tym, żeby obudzić w nich żądzę gry. Oczywiście marzyło mu się, że któryś z tych młodych gniewnych weźmie się do golfa na poważnie i może kiedyś to właśnie on będzie wspominał jego – swojego nauczyciela, ale jak dotąd żaden z jego uczniów nie przychodził na pole częściej niż dwa, trzy razy w sezonie. Tyle mniej więcej trwał początkowe zauroczenie. Potem większość z nich się zniechęcała, a po golfie w ich życiu zostawało tylko mętne wspomnienie, czasem kilka fajnych fotek.

– Dobrze, teraz kiedy już wiecie, jak trzymać kij, przejdźmy na strzelnicę i spróbujmy pierwszych uderzeń – powiedział i wskazał dłonią znajdującą się za nimi wiatę.

Przed zadaszeniem strzelnicy na Kalinowych Polach ciągnął się sznur oddalonych od siebie stanowisk z charakterystyczną zieloną trawką i śladami po piłkach. Kanda przeszedł do znajdującego się tutaj kantorka i zaczął wyjmować z niego puste kosze na piłki, następnie podawał je każdemu z uczestników letniej szkółki. Później wskazał im automat, z którego mieli nabrać sobie piłek i ruszyć na pierwsze „strzelnicze” stanowisko. Chciał im najpierw zademonstrować uderzenia i sposób wykonywania zamachu.

– Wszyscy mają już piłki? – zapytał po wydaniu ostatniego koszyka.

– Ja nie, jeszcze się ładują – odparł któryś z chłopców kończący właśnie napełnianie pojemnika.

– Świetnie, chodźcie za mną, staniemy tutaj i pokażę wam, co i jak – zaczął, idąc w stronę stanowiska.

Nie umknęło jego uwadze kilka spojrzeń uważnie obserwujących go nastolatek, które chichotały pod nosem, zerkając na jego umięśnione ramiona i typową dla graczy opaleniznę. Piotr Kanda doskonale zdawał sobie sprawę z tego, że dziewczynki w tym wieku oceniają wizualnie starszych mężczyzn, podkochują się w tych co przystojniejszych i są na etapie bycia w nieco innym świecie niż ich rówieśnicy. Wiedział o tym nie tylko z opowieści, ale i z różnych nieprzyjemnych historii, które się z tym wiązały.

Rok temu, kiedy prowadził zajęcia golfa w innej części Polski, jedna z takich niby to niewinnych nastolatek oskarżyła jego kolegę po fachu o molestowanie. Gdyby nie fakt, że pomieszczenia w całym ośrodku golfowym były monitorowane i wybitnie wykluczały winę instruktora, to facet miałby przechłapanie. Koniec pracy, kariery i zamknięta droga na jakiegokolwiek lekcje, które jakby nie patrzeć, stanowiły trzon dochodu w tej branży. Kanda minął obserwujące go dziewczyny bez słowa, okazując im totalne lekceważenie. Miał nadzieję, że jego mina mówiła wszystko.

Kiedy cała grupa już się przy nim zgromadziła, postawił kij na ziemi, rozejrzał się wokół, a potem wyprostował plecy i przyjął poważny wyraz twarzy.

– Pierwsza zasada na strzelnicy – zaczął. – Nigdy nie stawaj za kimś, kto trzyma kij! – podkreślił i poprosił osoby stojące za jego plecami o przejście do przodu.

Dopiero gdy był sam, przyłożył kij do ustawionej niżej piłeczki i zaczął go powoli unosić.

– Zobaczcie, jak duży jest zamach osoby szykującej się do uderzenia – mówił. – Gdyby ktokolwiek stał teraz za mną, a ja wziąłbym pełny zamach, groziłaby mu nie tylko utrata zdrowia – zaznaczył. – Może wam się wydawać, że golf to sport dla dziadków, ale to nie jest prawda. Prędkości, jakie osiąga golfista w czasie zamachu, a potem piłka podczas lotu potrafią zabić, dlatego zanim zaczniecie grę, uważnie obserwujcie, czy obok nikt nie stoi. I sami też nie podchodźcie nikomu pod ręce – dodał.

W pół sekundy później, jakby chcąc udowodnić swoje słowa, wykonał szybki zamach, którego siła mogłaby powalić dorosłą osobę, a potem lekko uderzył piłkę, która przeleciała nad polem i zniknęła dzieciom z oczu.

– Wow! Ale moc! – odezwał się ktoś z grupy, a pozostali charakterystycznymi pomrukami dali wyraz uznania jego uderzeniu.

– Zaraz sprawdzicie tę moc sami, ale wróćmy do uderzenia i postawy – mówił, po czym wytłumaczył

im, jak mają się ustawić przy piłce i co robić.

Po kilku pokazowych uderzeniach zaprosił grupę na osobne stanowiska. Dzieci od razu rzuciły się do zajmowania miejsc i zaczęły swoje pierwsze próby.

Kanda cofnął się do kantorka i sięgnął po stojącą tam butelkę mineralnej. Wypił kilka łyków i obserwował z daleka ich poczynania, próbując wyłapać tych, którzy radzą sobie dobrze lub wyjątkowo słabo.

Kiedy widział ich chybotanie nogami do przodu i próby uginania kolan tak, jak robią to zawodowcy, przez głowę przeszły mu wczorajsze wydarzenia. Z miejsca serce podeszło mu do gardła. Pomyślał, że tak niewiele brakowało, żeby cała jego przyszłość rozsypała się jak domek z kart. Golf, piękna pogoda, uczniowie, wśród których szukał mistrza, lata pracy nad poznawaniem kolejnych pól golfowych, konkursy, pasje, chora mama wymagająca opieki – jego umysł pracował na najwyższych obrotach i wręcz widział konsekwencje tego, co mogło się wydarzyć. Nie, wcale nie myślał o tym, że dziecko Martyny Wójtowicz straciłoby matkę. Myślał o tym, co on mógł stracić i co to jemu na zawsze by odebrano. Bez względu na to, czy gapiłaby się wtedy w telefon, stała, przebiegała czy tańczyła na ulicy salsę, to on wyleciał z zakrętu i jechał w dół na pełnym gazie. Był tak przyzwyczajony do tej drogi, że dałby sobie głowę uciąć, iż o tej godzinie będzie pusta. Uratowały go chyba tylko refleks i dobre hamulce pieprzonej hybrydy.

A potem... pomyślał o tym, jak po raz pierwszy zobaczył tę kobietę, kiedy wysiadł z auta. Najpierw dostrzegł jej wystraszoną bladą twarz, a później wielkie piersi, które nerwowo unosiły się i opadały, gdy próbowała złapać powietrze. Czy on był normalny, żeby w chwili, kiedy mało nie zabił babki na drodze, skupiać się na jej biuście? Pukał się w myślach w czoło, ale wciąż za uszami miał ten powracający widok. To nie było normalne. No, chyba że był już tak wyposzczony od ostatniego razu z kobietą, że zwyczajnie mózg nie pracował mu, jak powinien.

Otrząsnął się i ruszył w kierunku pierwszego stanowiska, na którym karkołomne wyczyny z kijem wyprawiał może trzynastoletni chłopiec.

– Czekaaj, czekaaj! – zawołał. – Zaraz pokażę ci, jak złapać odpowiednią pozycję.

Rozdział III



2 lipca

Wtorek

Martyna siedziała razem z synem na tarasie przylegającym do domku numer dwanaście i zachwycała się drugim śniadaniem w tym niezwykłym miejscu. Usiadła przodem do jeziora, tak żeby móc swobodnie podziwiać widoki. Maks tkwił naprzeciwko z nosem w telefonie i nie przeczuwał tego, co się zaraz stanie, a ona nie zamierzała zacząć, dopóki nie skończy jeść. Jaki jest pierwszy foch dziecka po odebraniu mu ulubionej zabawki? Nie jem, nie lubię, nie chcę, nie pójdę, nie, nie, nie. Dlatego wołała, żeby najpierw zjadł. Ugryzła swoją kanapkę i wypila łyk fantastycznie dobrej kawy.

– Pięknie tu, prawda? – zapytała.

Jej syn mruknął coś pod nosem, ale nie układało się to w żadne sensowne zdanie. Martyna patrzyła na niego z czułością, widząc teraz, jak bardzo w niektórych sytuacjach jest podobny do swojego ojca. Opuszczona głowa, kosmyk włosów opadający na oko i ta skupiona mina, która pokazywała, że jest szalenie zajęty. Cały tatuś. Kiedyś będzie łamaczem damskich serc, to pewne.

Wypila kolejny łyk i zauważyła, że na plażę znów biegnie ten chłopak z sąsiedniego domku, który zaczepił ich wczoraj.

– O patrz, nowy kolega znowu biegnie pływać – powiedziała.

– Kto? – spytał Maks, nie podnosząc głowy.

– Damian? Dawid? – Udała, że nie pamięta imienia. – Ten chłopiec, który mieszka obok.

– Dawid.

Martyna patrzyła przez drzewa, jak młody wskakuje do wody i zanurza się w niej cały, razem z głową.

– Chyba też pójdę dzisiaj popływać, jeszcze nie ochrzciłam jeziora – stwierdziła.

– No, koniecznie. – Maks brzmiał tak, jakby miał to totalnie w nosie.

– A ty nie zamierzasz?

– Taak, tak, pójdę jutro – rzucił zdawkowo, a potem podniósł się z miejsca. – To ja już zjadłem, idę do pokoju – dodał.

– Maks – powiedziała, powstrzymując go ruchem ręki. – Pokaż mi telefon.

Chłopiec skrzywił się, ale wysunął rękę i podał jej smartfona. Spojrzała na wyświetlacz, odblokowała go ruchem palca, a potem nacisnęła boczny przycisk, wyłączając urządzenie.

– Ej! – Maks od razu to zauważył. – Mamo, jak nie umiesz, to powiedz, co chcesz zrobić, bo właśnie go zgasiłaś – obruszył się.

– Wiem, Maks, i to właśnie miałam w planie – odparła, po czym wrzuciła jego telefon do leżącej obok torebki.

– Ale co jest? – Potrząsnął głową, jakby nie rozumiał.

– Nowa wakacyjna reguła – wyjaśniła. – Jeden dzień z telefonem, jeden bez. Wczoraj miałeś go cały dzień, dziś przerwa.

– Że co? A to dlaczego? – W jego głosie czuć było rosnącą złość.

– A dlatego, że to wakacje. Ja wyłączyłam dzwonki, wibracje i szefa, ty wyłączasz Internet – powiedziała. – To chyba uczciwe?

– Nie. Ja nie mam problemu, żebyś dzwoniła do szefa, mamo. – Skrzyżował ręce na klatce piersiowej.

- Mam prawo do swojego telefonu.
- Ja również. Zapłaciłam za niego.
- Maaaamo! – Maks nie wytrzymał. – Ja się zanudzę bez smartfona! Tu nie ma co robić! Tylko piach, woda i las!
- Na pewno znajdziesz sobie zajęcie, a jutro dostaniesz telefon na cały dzień.
- O Jeezus – jęczał. – To mają być wakacje?!
- Chodź ze mną na spacer albo razem popływajmy – zaproponowała.
- Co? – prychnął. – No jasne, odbierasz mi telefon i myślisz, że wtedy będę z tobą radośnie pływał?

Nie jestem już dzieckiem!

- Okej, Maks, nie musisz. – Wzruszyła ramionami.
- I nie będę! – warknął, a potem odwrócił się i pobiegł w dół, w stronę plaży.

Martyna powoli podniosła do ust swoją kawę i obserwowała go, pijąc ze spokojem kolejne łyki. Klasyk. Właśnie tego się po nim spodziewała. I proszę: udało jej się! Pierwszy raz poszedł się przebiec, he, he. Uśmiechnęła się pod nosem, czując się prawie jak podstępny agent zagranicznego wywiadu. Cel numer jeden osiągnięty: dziecko biega. Teraz chciała dać mu trochę czasu, póki foch nie minie, i bynajmniej nie zamierzała go błagać o wspólne zabawy. Przed nimi jeszcze trzynaście długich dni, przyzwyczaj się.

Ze stoickim spokojem dojadła śniadanie i nie przejęła się tym, że na chwilę straciła go z oczu. Była pewna, że nie pojawi się przynajmniej przez kilka godzin, zapewne próbując ją ukarać i wystraszyć swoją nieobecnością, ale ona za dobrze go знаła, żeby się tym martwić. To sprytny i rozsądny dzieciak, a do tego całkiem cwany, więc trochę swobody nad jeziorem mu nie zaszkodzi.

Pozbierała naczynia ze stołu na tarasie, zabrała je do domku, umyła i pobieżnie ogarnęła bajzel. Potem spakowała do torebki kilka rzeczy, włożyła kostium kąpielowy i położyła ręcznik na krześle stojącym przy wyjściu.

Sięgnęła po kartkę, napisała na niej, że opala się na plaży, i przymocowała ją do drzwi od zewnątrz, na wypadek, gdyby jednak Maks jej szukał. Potem zabrała rzeczy, zamknęła domek i poszła na kąpielisko.

Maks szedł brzegiem i wściekał się o odebrany przez matkę telefon. Czuł się potraktowany jak dziecko, któremu zabrano wszystkie przywileje. Czy to, że ona płaci za ten telefon, znaczy, że ma do niego całkowite prawo? Przecież on też jest człowiekiem i nie można go tak traktować! Nie pchał się wcale na ten świat, ale skoro już na nim jest, to ona, jako matka, chyba ma wobec niego jakieś obowiązki?! Kopnął szyszkę, która nawinęła mu się pod nogi, i ze złością szukał następnej. Myśl o tym, że ma cały dzień spędzić, gapiąc się na kretyńskie widoki, zamiast robić ważne rzeczy na telefonie, przyprawiała go o ciarki. Pomyślał, że jeśli mama liczy na to, że on nagle będzie skakał z radości, spędzając z nią cały czas, to chyba oszalała. Nie było takiej możliwości!

- Cześć, Maks! – Usłyszał nagle czyjś głos, gdzieś z lewej strony.

Odwrócił się i zobaczył głowę Dawida, który siedział na brzegu jeziora, schowany w niewysokich krzakach. Chłopak podniósł się trochę i machnął do niego ręką.

Wciąż zły na swój los dwunastolatek podszedł bliżej i zobaczył, że sąsiad siedzi na kamieniu, moczy nogi w wodzie i trzyma w ręku patyk z jakimś sznurkiem.

- Cześć – odpowiedział. – Co tu robisz?
- Ryby łowię. A ty spacerek? Jak stare dziadki? – zapytał, uśmiechając się złośliwie.
- E, nie. – Maks pokręcił głową. – Mama mnie wkurzyła. Zabrała mi telefon i mam na dzisiaj szlaban.
- Powaga? – zdziwił się. – U mnie mój telefon moja sprawa.
- Też tak myślałem, ale jej nie wytłumaczysz.
- Siadaj tutaj – powiedział Dawid, wskazując mu duży kamień tuż obok siebie. – Skoro i tak nie masz co robić, to możesz ze mną połowić – dodał.

- Nie znam się na tym. – Maks podszedł bliżej. – Mogę popatrzeć.

– Jak chcesz. – Chłopak wzruszył ramionami i zamachnął się patykiem, wrzucając do jeziora sznurek z czymś zatkniętym na jego końcu.

- Jak ta ryba ma się złapać?
- Na końcu przywiązałem chleb, one to lubią.

– I co złapałeś już coś dzisiaj?

– Jeszcze nie, ale może przyniesiesz mi szczęście – odparł. – Zdjąłbyś buty i położył tam trochę po wodzie, to może coś nagonisz na wędkę – dodał.

– To tak działa? – zdziwił się.

– No. Ryby się boją, płyną w drugą stronę i wpadają prosto na moją przynętę.

– Aaa. Okej, dobra, mogę spróbować.

Maks zdjął adidas, położył je za sobą na trawie i zamoczył stopę w wodzie.

– O kurde, zimna. – Wzdrygnął się.

– Nie rozpuścisz się.

– Gdzie mam iść? Tam? – spytał, wskazując palcem.

– Może być.

Maks zaczął krążyć po płytkiej w tym miejscu wodzie i co rusz zerkał na dno, żeby sprawdzić, czy są tam ryby. Pierwsze dojrzał dopiero wtedy, gdy odszedł już kawałek od brzegu i skierował się bliżej trzcin. Małe rybki zaczęły mu podpływać do nóg, a kiedy się poruszał, wystraszone odbijały w bok.

– Boją się! Faktycznie! – zawołał do siedzącego przy brzegu Dawida.

– No mówiłem.

– Nawet nie taka zimna ta woda – bąknął. – A jak złowisz, to co z nią zrobisz? – zawołał głośniej.

– Nie wiem. Jak duża, to zaniosę tacie, żeby zabił, i zjemy na obiad.

– Nigdy nie jadłem takiej ryby z jeziora.

– Nie ma lepszej. Te ze sklepów to szajs – stwierdził Dawid tonem tak pewnym, że nie ulegało wątpliwości, iż ma rację.

Maks rozglądał się uważnie, ale nie mógł wypatrzyć żadnej dużej sztuki. Chodził po wodzie dobre pół godziny i zaczął odczuwać, że robi mu się gorąco.

Nogi do kolan miał chłodne i było mu fajnie, ale pod koszulką zaczynał się pocić. Zerknął na Dawida, który w skupieniu moczył patyk w jeziorze.

– Długo się tak łowi? – spytał.

– Ile chcesz.

– Chyba dzisiaj nic nie złapiesz.

– Bo słabo zaganiaasz.

– Taaa. Akurat.

Dawid podniósł głowę w jego kierunku i odłożył patyk w krzaki.

– Idziemy popływać? – zaproponował. – Chyba faktycznie dzisiaj lipa z rybami.

Maks uznał, że to dobry pomysł. Wyszedł na brzeg i chciał włożyć buty, kiedy zobaczył obok siebie boso stopy Dawida. Nie chciał wyjść na jakiegoś dziwnego, więc złapał adidas w rękę i boso poszli w stronę kąpieliska. Z daleka widzieli, że na plaży zebrało się już trochę ludzi, ale większość siedziała na piasku i tylko się opalała.

– Wlatujemy z rozbiegu – zarządził Dawid i ściągnął koszulkę, żeby być gotowym.

– Nie za ostro?

– A co ty baba jesteś czy dziadek? – odparował Dawid, wytrącając mu argumenty z ręki.

– No weź, co ty!

Maks poczuł się urażony i żeby nie wyjść na słabego, poszedł za przykładem starszego kolegi, zdejmując swój T-shirt. Po chwili doszli do kąpieliska, stanęli przy wejściu do wody, odłożyli rzeczy na piach i zaczęli ściągać krótkie spodenki. Dawid był szybszy i jako pierwszy wparował do jeziora, rozpryskując wodę na wszystkie strony. Maks patrzył na to z pewnym podziwem. Jego sąsiad nie miał żadnych oporów. Chłopiec przełknął ślinę i poczekał, aż Dawid się wynurzy.

– No dawaj! – krzyknął do niego z jeziora. – Woda jest super!

– Dobra, już... raz kozie śmierć – mruknął, rozpędził się i wbiegł do wody aż do pasa. – Aaaa, zimna!

– Nurkuj!

Dwunastolatek ugiął kolana i zamoczył się, ale tylko do szyi. Zaczął płynąć żabką i dopiero po chwili poczuł, jak woda robi się ciepła.

– Uf, super! – krzyknął do Dawida, ale ten już tego nie usłyszał, bo właśnie zniknął pod taflą.

Kilkoro dzieciaków siedzących na plaży patrzyło na nich z zaciekawieniem. Wreszcie zaczęli dołączać.

Maks od razu poczuł się lepiej, wiedząc, że wszyscy już nie gapią się tylko na nich. Popłynął w stronę pomostu i wspiął się po drabince. Spojrzał w dół, a potem podjął ważną, męską decyzję. Złapał w usta, ile się tylko dało powietrza, i skoczył na bombę, podkurczając nogi. Kiedy wpadał do wody, był pewien, że właśnie wzbila się wokół niego fontanna.

– Zajębiście! – krzyknął Dawid, kiedy tylko Maksowi udało się wynurzyć. – Lecimy z tym!

Za chwilę obaj byli na pomoście i już szykowali się do kolejnego skoku.

– Na trzy! – zarządził Dawid. – Raz! Dwa! Trzy!

Martyna leżała na plaży z zamkniętymi oczami i cieszyła się odgłosami lata. Ludzie na sąsiednich kocach o czymś rozmawiali, dzieciaki z piskiem radości wbiegały do jeziora, a ona czuła, jak gorące słońce muska jej stosunkowo blade ciało, i wpadała w ten przyjemny stan błogości, którego brakowało jej od lat. Wręcz czuła, jak zmarszczone czoło wygładza jej się pod wpływem odpoczynku i chociaż nie miała Maksu na oku, to była pewna, że nic mu się nie stanie. Jeśli świetnie dawał sobie radę w Katowicach, to tym bardziej poradzi sobie tutaj. Z drugiej strony przeszło jej przez myśl, że pewnie wszystkie *najlepsze matki świata* uznałyby ją za potwora, który samopas puszcza swojego potomka nad jezioro. Przecież wokół czaiło się tyle niebezpieczeństw wprost czyhających na takie niewinne, słodkie dziecko. Uśmiechnęła się na myśl o tym, że na tej podstawie można byłoby ją uznać za najgorszą matkę w okolicy, chociaż wiedziała, że tak nie jest. Wystarczyło, żeby wróciła pamięcią do własnego dzieciństwa i tego, co razem z koleżankami wyprawiały, nie mając jeszcze nastu lat. Przy tym dzisiejsze zagrożenia wydały jej się błahostką.

Maks był do niej podobny. Ciekawy świata, ale mimo wszystko ostrożny, dlatego opalała się ze spokojem i nie wzruszała ją wizja krytycznych spojrzeń, którymi mogłyby ją obdarzyć inne kobiety. Tak, ona nie była ani tą chuchającą na dziecko na każdym kroku, ani zabraniającą mu wszystkiego.

Nie dbała psychopatycznie o dobre odżywianie, sterylną czystość czy podsuwanie synowi wyłącznie zabawek mogących uczynić z niego małego geniusza. Nie miała aspiracji do niszczenia mu dzieciństwa wiecznymi zakazami i nadmierną troską. No... może poza dzisiejszym zabranieniem mu telefonu.

– Tyyy, patrz, jakie cycki! – Usłyszała gdzieś obok głos młodego chłopaka.

Nie otworzyła oczu, ale była pewna, że mowa o niej. Oczywiście nie oburzyła się na to i nie zrobiła awantury, chociaż feministki mogłyby ją za to ukrzyżować. Po głosie wносиła, że dzieciak mógł mieć dwadzieścia kilka lat, a kobieta, której niedawno stuknęło trzydzieści dwa, nie wybrzydza na komplementy od młodych gniewnych. Zresztą, bądźmy szczerzy – Martyna była tych komplementów spragniona. Od kilku lat żyła bez seksu, bez zwracania uwagi na facetów, bez pożądania. Tylko praca i Maks. Maks i praca. Kolejność wymienna.

Leżała na kocu z niewzruszoną miną. Cieszyła się słońcem i tym, że włożyła dziś ten fioletowy, dwuczęściowy kostium. Wiedziała, że wybitnie podkreślał jej „walory” i sprawiał tym samym, że czuła w nim większą pewność siebie. Atrakcyjność, którą na co dzień, w Katowicach, stale chowała pod biurowym mundurkiem poważnej pani księgowej.

– Dzień dobry. – Usłyszała nagle znajomy głos. – Opalamy się?

Otworzyła oko, żeby upewnić się, czy to do niej. Nad jej głową stał mężczyzna, który zasłaniał sobą słońce. Zmrużyła powieki i wtedy rozpoznała Piotra Kandę, golfistę, który mało nie zrobił jej kuku w dniu przyjazdu.

Piotr patrzył na nią z góry, uśmiechał się promiennie i chyba zerkał na jej biust. Wyglądał dzisiaj nieco inaczej i z tej perspektywy wydawał się wyższy. Krótkie spodenki khaki i biała koszulka polo ładnie opinająca tors.

– Cześć – powiedziała, przysuwając rękę do czoła.

Piotr schylił się i usiadł obok niej na piasku, a ona się uniosła, podparła rękoma i odwróciła w jego stronę.

– A co ty tutaj robisz? – zdziwiła się, odpuszczając sobie formę „pan”.

– Odwołali mi jedną grupę, więc postanowiłem sprawdzić, czy wszystko u ciebie w porządku – wyjaśnił. – Widzę, że nogi okej?

– Mhm, tak – mruknęła. – Korzystam ze słońca.

– Zauważyłem – odparł. – Byłem w waszym domku i znalazłem kartkę na drzwiach.

Uśmiechnął się.

– Aha... No tak, plaża nie jest pełna, więc wyzwania z poszukiwaniem raczej nie miałaś.

– Nie. Jesteś dość... – zaczął, ale urwał w połowie, mimowolnie zsuwając spojrzenie na jej piersi. Nie umknęło to jej uwadze.

– Dość co?

Kanda zająknął się, ale szybko znalazł odpowiednie słowo.

– Charakterystyczna.

Martyna uniosła brwi i wybuchnęła śmiechem, a on od razu zrobił się lekko czerwony. Domyśliła się, jaką charakterystyczność miał na myśli.

– Ale wpadłeś! – Pokręciła głową, widząc jego zażenowanie.

– Przepraszam – odpowiedział natychmiast. – Trochę głupio wyszło – tłumaczył się. – Ja wcale nie chciałem, żebyś...

– Dobrze, dobrze, nie pograżaj się.

– Miałem na myśli fioletowy strój, żywy kolor i...

Martyna znowu parsknęła.

– Brniesz jak nic – rzuciła między kolejnymi napadami śmiechu.

Piotr patrzył na nią z coraz większą przyjemnością. Dawno nie widział w żadnej kobiecie takiej szczerości, a jej żywy wybuch wprowadził go w dobry nastrój.

– No dobrze – przyznał wreszcie. – Jako rasowy samiec szukałem cię po piersiach – wypalił.

Martyna z rozbawieniem otarła łzę tkwiącą w kąciuku oka.

– Wybaczam. – Rechotała.

– Czyli czujesz się w porządku? – próbował zmienić temat.

– Tak, tak. Mieliśmy szczęście, kolana mam całe, jest okej.

– A gdzie Maks?

– Gdzieś biega. Zabrałam mu dzisiaj telefon, więc strzela focha, a ja udaję, że się tym martwię.

– Uuu, zarekwirowałaś mu komórkę? Odważnie.

– Wyższa konieczność. Inaczej nawet nie zauważyłby, że jesteśmy na wakacjach.

Piotr spojrział na jej bladą skórę i rzucił okiem w stronę słońca.

– Nasmarowałaś się? – spytał. – Jak nie, to spalisz się tu na raka.

– A widzisz, zapomniałam.

Sięgnęła do leżącego na końcu koca plecaczka i wyjęła z niego krem z wysokim filtrem. Nagle zorientowała się, po co on w ogóle zadał jej to pytanie, i zatrzymała rękę w połowie drogi do nakrętki.

– Pewnie masz ochotę mi pomóc? – zapytała.

– Jasne. – Piotr nie zawahał się nawet sekundy i sprawnie przejął krem z jej dłoni. – Plecy czy z przodu?

– Plecy poproszę.

Odwrociła się na ręczniku, układając się na brzuchu. Piotr lekko odgarnął jej włosy z karku, sprawiając, że poczuła przyjemny dotyk jego palców, a potem odkręcił butelkę i rozprowadził sobie emulsję na dłoniach. Położył ręce na jej plecach i delikatnie wsmarowywał krem w skórę. Martyna zamknęła oczy i udając, że jego dotyk spływa po niej jak po kaczce, cieszyła się przyjemnością poczucia na sobie męskich rąk. Kiedy to ostatnio ktoś w ogóle jej dotykał? To było tak dawno temu, że wołała nawet nie sięgać pamięcią.

Mężczyzna sprawnie, ale niespiesznie wsmarowywał środek w jej skórę, a potem zawisł na chwilę w powietrzu.

– Już? – zapytała.

– Plecy tak, ale nasmarowałbym też uda i pośladki – powiedział, siląc się na luźny ton. – Ostre słońce potrafi je nieźle spalić.

– Mhm – mruknęła. – Z pewnością.

– Mogę?

– Ale wiesz, że nie musisz być dla mnie taki uprzejmy? – spytała. – Nie pozwę cię przecież, poza tym do potrącenia w gruncie rzeczy nie doszło.

– Że co? – zdziwił się Kanda. – Nawet o tym nie pomyślałem.

– W takim razie możesz.

Piotr chciał coś jeszcze dodać, ale odpuścił. Położył dłonie na pośladkach Martyny i zaczął wcierać

emulsję aż do granicy kostiumu, a ona zdała sobie sprawę z tego, że ją to podnieca. Tyle lat bez męskiego dotyku robiło swoje i wystarczyły małe gesty, żeby czuła się ugotowana. Odsunęła pulsującą jej teraz w głowie myśl, że przecież wcale go nie zna i pozwala mu na zbyt wiele.

Mężczyzna zjechał dłońmi na uda i powoli krążył po nich raz w dół, w kierunku kolan, raz w górę, ku pośladkom. Przełknęła ślinę, zastanawiając się, czy powinna to przerwać, czy wręcz przeciwnie? To chyba nie świadczyło o niej zbyt dobrze. Zanim zdążyła to sobie przemyśleć, Piotr sprawnym ruchem wsunął dłoń między jej uda i lekko je rozsunął.

Zamarła.

– Jeszcze te białe miejsca na bokach – wyjaśnił, a Martyna poczuła, jak na jej nogach pojawia się gęsia skórka, która nie miała nic wspólnego z chłodem.

Momentalnie dostała wypieków, a Piotr zauważył mrowienie, które przebiegło po jej udach.

– Przepraszam. Mam przestać? – spytał.

Kobieta zawahała się, wiedząc, co powinna powiedzieć, a co chciała. To były dwie różne rzeczy.

– Broisz... – rzuciła wreszcie.

– Przysięgam, że nie miałem zamiaru – odparł tonem niewiniątka.

Usłyszała pstryknięcie zamykanej butelki i za chwilę Piotr Kanda wyciągnął się obok niej, prosto na piachu.

– Teraz musisz tak trochę poleżeć, żeby się wchłonęło – dodał, jakby nic się nie stało.

– Dorabiasz na szkoleniach z odpowiedniego plażowania? – spytała, starając się rozbić atmosferę, jaka zawisła między nimi w ciągu tych ledwie kilku minut.

A może to jej się tylko wydawało?

– Tak. – Kanda się zaśmiał. – Biegam po plaży i uczę kobiety smarowania, ale robię to całkowicie pro bono.

– Pro bono? Akurat. – Śmiała wątpić.

– Nie wliczam w to przyjemności, jaką daje mi dotykanie pięknych ciał – wypalił.

– W złym kierunku zmierzasz, panie instruktorze – odpowiedziała.

– Może robię to celowo? – zaryzykował.

– A jaki miałbyś w tym cel? – Uchyliła oko i popatrzyła mu prosto w twarz.

Piotr wyszczerzył zęby jak dzieciak, a Martyna niemal zauważyła, jak pod jego wypiełgnowanym wąsem przebiegła niegrzeczna myśl, której jednak nie wypowiedział.

– Mimo wszystko czuję wyrzuty sumienia o tamtą sytuację z samochodem – przyznał. – Chciałbym ci to jakoś wynagrodzić.

– Nie ma potrzeby, sam widzisz, że nic się nie stało.

– Może nie, może tak. – Wydał nieco usta. – Ale żebym poczuł się lepiej, zapraszam cię na darmową lekcję golfa. Grałaś kiedyś?

– Serio? Nie, nigdy nie próbowałam, to nie mój świat.

– To dobra zabawa, odprężysz się, a ja nauczę cię paru sztuczek – mówił. – W końcu jesteś na wakacjach, więc przydadzą się nowe atrakcje.

– Jest to jakiś argument.

– To jak?

– Nie mogę, nie zostawię tu Maksa – zauważyła.

– Zapraszam was razem. Zabierz go, skoro nie ma telefonu, to będzie to dla niego sposób na zabicie czasu, prawda?

– Mhm – mruknęła. – Kiedy?

– Jestem na polu codziennie od jedenastej przynajmniej do piętnastej – powiedział. – Jeśli traficie na okienko, to będę tylko dla was, a jeśli nie, to dołączę was dwoje do jednej z grup. Stoi?

– Przemyśle to – odparła.

– Spodoba ci się. – Piotr mrugnął. – To jak? Smarujemy teraz z przodu czy odpuszczasz?

Martyna mimowolnie się zaśmiała i uznała, że z przodem ciała jednak da sobie radę sama. Oczyma wyobraźni zobaczyła, co by się stało, gdyby jego dłonie zadziały podobnie również w okolicach jej biustu, i stwierdziła, że nie będzie ryzykować.

Maks siedział na tarasie przed zamkniętym domkiem letniskowym i czuł, że zaczyna mu burczeć w żołądku. Oczywiście, że widział kartkę, którą mama zostawiła mu na drzwiach, ale ani myślał szukać jej na plaży. To chyba jasne, że to ona miała się o niego martwić, a nie na odwrót. Zerkał w stronę kąpieliska i próbował ją wypatrzeć wśród opalających się kobiet, ale część widoku zasłaniały mu drzewa. Dobre dwadzieścia minut wpatrywał się w plażę, zanim wreszcie ją zauważył. Szła już w jego kierunku, więc pewnie musiała leżeć w jednym z tych miejsc za drzewami. Szybko przesiadł się na ławkę, która miała widok na domek, a nie na plażę i udawał, że wcale na nią nie czekał.

– Już idę, Maks! – Usłyszał jej głos, a potem zobaczył, jak wchodzi bosą po schodkach na taras. – Długo czekasz? – zapytała.

– Dopiero przyszedłem – burknął.

– Ubiorę się i idziemy na obiad, tak? Tu obok jest restauracja, więc zjemy frytki, może rybę. Pasuje ci?

– Może być.

Chłopiec udał, że mu to zwisa, ale na sam dźwięk słowa frytki usłyszał burczenie w brzuchu.

Martyna otworzyła domek, wrzuciła do środka ręcznik i włożyła krótkie spodenki plus luźną koszulkę. Do plecaka wcisnęła portfel.

– No to chodź – powiedziała, ponownie zamykając drzwi.

Maks od niechcienia zwał się z ławki i poczłapał za nią. Przeszli dosłownie kilkadziesiąt metrów i zobaczył, że faktycznie restauracja jest blisko. Nie wyglądała luksusowo, ale zapach frytek wyczuł od razu.

– Jemy w środku czy na zewnątrz? – spytała, wskazując palcem stoły z parasolami.

– Tutaj. – Maks od razu zajął jeden z wolnych stolików. – To ja poczekam.

– Okej, frytki i ryba, a jak nie będzie, to coś innego?

– Obojętnie.

Martyna nie próbowała się uśmiechać, żeby nie dawać mu do zrozumienia, jak doskonale po nim widać, że jest głodny, i sama weszła do środka.

Kolejki akurat nie było, więc szybko wzięła dwie podwójne porcje frytek i rybę z surówką.

Poczekala, aż nałożą wszystko na tacki, a potem obładowana wróciła do stolika, przy którym siedział jej syn.

– Łap – powiedziała. – Skoczę jeszcze po picie, chcesz coś?

– Sok pomarańczowy.

Znow zniknęła we wnętrzu budynku i przez szybę spojrzała na Maksa, który natychmiast rzucił się na frytki. Wiedziała! Niespiesznie kupiła dwa soki i do niego wróciła. Usiadła na przeciwko, sięgnęła po frytkę i wrzuciła ją sobie do ust.

– O, dobre!

– No, niezłe. – Maks jakby przestał zgrywać obrazonego i jadł z apetytem.

– Pozwiedzałeś trochę okolicę?

– Nie. Łowiłem ryby.

– Ryby?

– Tak. Spotkałem nad wodą Dawida i siedzieliśmy razem – powiedział, pakując sobie do ust kilka frytek jednocześnie.

– Świetnie – rzuciła z uznaniem. – A jak zmoczyłeś włosy?

– Potem trochę pływaliśmy.

Chłopiec twardo udawał, że nie zrobiło to na nim wrażenia.

– Aha. Czyli nie było tak źle bez telefonu?

– Mamo! – zajęczał, a w głosie od razu włączyła mu się złość. – Daj mi spokój.

Martyna wolała nie przeciągać struny jego cierpliwości, więc nie skomentowała i skupiła się na obiedzie. Spojrzała w dal i zobaczyła, że w wodzie siedzi coraz więcej ludzi. O tej porze robił się tutaj tłum, z rana było jednak o wiele luźniej. Pomyślała przez moment o ciepłych dłoniach Piotra Kandy na swoim karku i uśmiechnęła się pod nosem.

– Dobra, zjadłem – stwierdził Maks. – Wracamy?

– Tak, chwila, już kończę.

Przełknęła ostatni kęs ryby, popiła sokiem i zaczęli się zbierać. Maks ruszył kilka kroków przed nią,

wyraźnie niezadowolony albo po prostu udający, że nie potrzebuje jej towarzystwa. Pod domkiem puścił ją przodem, a kiedy otworzyła, wszedł do środka, poszedł do swojego pokoju i ostentacyjnie trzasnął drzwiami. Martyna zastanawiała się, co on tam będzie robił bez telefonu, ale uznała, że nie będzie go naciskać.

Podeszła do czajnika i nastawiła wodę na kawę. Marzyła o tym, żeby wyciągnąć teraz nogi na tarasie i poczuć zapach czarnego, mocnego napoju, który tak uwielbiała. Sięgnęła do szafki po kubek, wsypała miarkę, a kiedy woda już się zagotowała, wlała ją do środka i wyszła na zewnątrz.

Nie minęło nawet pięć minut ciszy, gdy z pokoju wynurzył się Maks.

– Nie mam co robić – stwierdził z wyrzutem. – Idę do Dawida.

– Mhm. Baw się dobrze – odparła, a on odwrócił się, jakby chciał ją zmiażdżyć spojrzeniem.

Martyna doskonale знаła swojego syna i wiedziała, że nie wytrzyma w czterech ścianach bez zajęcia. Jedynym wyjściem byłby sen, a jemu najwyraźniej spać się nie chciało.

Patrzyła, jak idzie w stronę domku sąsiadów, i zauważyła przed nim jakiś ruch. Maks pomachał ręką i wszedłszy na ich taras, usiadł przy stole. Średniego wzrostu kobieta, zapewne matka Dawida, podała mu coś na talerzu.

– Mały cwaniak – powiedziała do siebie, widząc, że właśnie zorganizował sobie dodatkowe żarcie.

Dopiła kawę, podziwiając jezioro, a później zamknęła domek i poszła do sąsiadów. Uznała, że w tej sytuacji warto byłoby się chociaż przedstawić. Maks siedział tak, że nie widział, kiedy do nich podeszła, ale mama Dawida zauważyła ją od razu.

– Dzień dobry pani! – Kobieta pomachała jej ręką. – Zapraszamy na ciasto!

– Dzień dobry, dzień dobry. – Martyna uśmiechnęła się do niej szeroko i za chwilę była już obok. –

Tak myślałam, że mają tu państwo coś dobrego, skoro Maks się skusił.

Jej syn spojrzał na nią z marsową miną, ale się nie odezwał.

– Martyna Wójtowicz – przedstawiła się, wyciągając rękę w kierunku kobiety. – Mama Maksa.

– Miło nam poznać. – Sąsiadka uściśniła jej dłoń. – Monika Kiełbasa, a tam w tle siedzi mój mąż,

Adam.

W tym momencie Maks zaczął się krztusić ciastem i było widać, że jednocześnie się śmieje.

Martyna klepnęła go kilka razy w plecy, a on szturchnął siedzącego obok Dawida.

– Masz na nazwisko Kiełbasa? – spytał, nie przestając się śmiać.

– No. – Dawid wzruszył ramionami. – Pocieszam się, że nie Parówa – dodał, wywołując w Maksie kolejną salwę śmiechu.

– Maks no już, przestań, bez przesady. – Martyna przyjęła ton strofujący.

– No już, już. – Śmiał się. – Przepraszam, nie mogłem się opanować. Przepraszam. – powtarzał.

– Przyzwyczailiśmy się, spokojnie – powiedział Adam Kiełbasa, który właśnie wyszedł na taras z napojami. – Zapraszamy, niech pani siada.

– Bez pani, wystarczy Martyna. – Podała dłoń tacie Dawida. – Będę się czuła młodsza.

– No to, Martyna, zapraszamy – rzucili jednocześnie, jakby stanowili naprawdę zgraną parę.

Podziękowała im i usiadła obok chłopców, a rodzice Dawida zajęli miejsca naprzeciwko.

– Widzę, że nasi chłopcy się zakolegowali?

Mężczyzna podał jej kawałek ciasta.

– Dziękuję – odpowiedziała, zastanawiając się, gdzie zmieści ten deser po podwójnych frytkach z rybą.

– Bardzo się cieszę, Maks nie ma rodzeństwa, więc jesteśmy tu sami, a zabawa z mamą jakoś mu nie pasuje.

– Skąd my to znamy? – westchnęła Monika. – Nasz też jest jedynakiem, więc towarzystwo dobrze mu zrobi.

– Ale przynudzacie – odezwał się Dawid. – Damy sobie radę, spokojna głowa.

Maks skinął potwierdzająco i poprosił o dokładkę ciasta. Chłopak nie miał żadnych oporów, za to jego żołądek chyba nie miał dna.

– Macie jakieś plany na jutro? – spytała mama Dawida. – Wybieramy się na spacer dookoła jeziora, jeśli macie chęć, to chodźcie z nami, w grupie weselej – dodała.

– Hm, pomysł świetny, ale koło jedenastej wybieramy się na pobliskie pole golfowe – odparła Martyna.

– Mamy gratisową lekcję u jednego instruktora i chcemy ją wykorzystać.

– Co? – Maks spojrzał na nią zdziwiony. – Nie będę grał w golfa, to sport dla starych dziadków. Mowy nie ma!

– Też bym nie chciał – zgodził się z nim Dawid. – Stać z kijem i uderzać piłkę, co to za rozrywka?
– Panowie, panowie – odezwał się Adam. – Żeby coś krytykować, trzeba najpierw spróbować.
Chłopcy wzruszyli ramionami, a Maks jeszcze raz powiedział, że on golfa nie chce i nie idzie.
Martyna nie zamierzała z nim teraz dyskutować, wiedziała przecież, że i tak nie zostawi go samego w domku, a nie chciała przy obcych robić mu sceny. W końcu chodziło o dobrą zabawę, a nie o kłótnię.

– Słuchajcie, a może mały kompromis? – zaproponowała nagle Monika.

Jej syn spojrział na nią z zaciekawieniem.

– Jaki, mamó? – zapytał.

– My zaopiekujemy się jutro przez kilka godzin Maksem, ty skorzystasz spokojnie z lekcji golfa, a innego dnia weźmiesz naszego łobuza, wtedy my trochę od niego odsapniemy? – wyjaśniła, patrząc na Martynę i czekając na jej zdanie.

– Jestem za – powiedział Maks.

– Za! – potwierdził Dawid.

– Mamó? Możemy tak zrobić?

Syn spojrział na nią swoimi najśliczniejszymi oczyma. Wersja „błagam lux”, którą znała doskonale.

– Właściwie... czemu nie? – odparła, a chłopcy przybili sobie piątkę. – Ale gdy przyjdzie moja kolej, to ja wybieram, co robimy, a wy jesteście grzeczni.

– Stoi!

– No i mamy układ.

Rodzice Dawida uśmiechnęli się, a Monika spojrzała na nią z jakąś wdzięcznością w oczach.

– To my idziemy na plażę, a wy tu sobie wszystko obgadajcie – rzucił Dawid i wypchnął Maksa z ławki.

Kilkanaście sekund później już ich nie było, a Adama Kielbasę oderwał od stołu dzwoniący we wnętrzu domku telefon.

– To na pewno z biura. Muszę odebrać – wyjaśnił. – Zaraz wracam.

Kiedy kobiety zostały same, Monika upewniła się, że mąż jej nie słyszy, i nachyliła się w stronę Martyny.

– Dzięki – powiedziała. – Jeszcze tylko ukradnę mężowi telefon i wreszcie spędzimy trochę czasu razem, bez syna – szepnęła, demonstracyjnie przewracając oczyma. – Od wieków nie mieliśmy paru godzin tylko dla siebie.

– Aaa. Czyli nie chodziło tylko o wybrnięcie z focha mojego dziecka? – zapytała Martyna, uśmiechając się szeroko.

– Skąd! – Monika lekceważąco machnęła ręką. – Chłopcy codziennie mają fochy, ale czasem i my możemy zrobić na tym jakiś deal, prawda?

Martyna pokiwała głową i nagle dostrzegła naprzeciwko siebie matkę, która chyba mogła doskonale ją zrozumieć.

Wyobraziła sobie jutrzejszą lekcję golfa jeden na jeden. Tylko z Piotrem Kandą.

Poczuła dreszczyk ekscytacji.

Rozdział IV



3 lipca

Środa

Maks był umówiony na spacer z rodziną Kiełbasów dopiero o dziesiątej, więc Martyna wstała rano i przygotowała śniadanie z myślą o tym, że zjedzą je sobie wspólnie, w miłych okolicznościach przyrody. Wczoraj, już podczas obiadu, wypatrzyła na sąsiedniej, trawiastej plaży bardzo fajne stoliki z zadaszeniem i z widokiem prosto na jezioro. Dziś właśnie tam miała ochotę zjeść razem z synem. Nigdy wcześniej chyba tak jej nie zależało na tym, żeby pierwszy posiłek w ciągu dnia miał odpowiednią oprawę i był wyjątkowy. Może nastrojał ją tak sam urlop, może przyjemny zapach jeziora i lasu, a może po prostu czuła, że tutaj odskocznia od codziennych rytuałów jest trochę bardziej magiczna.

Martyna nigdy nie była jakąś specjalnie romantyczną duszą i nie podniecały jej do bólu bajkowe opowieści, krajobrazy czy czułe słówka. Twardo stąpała po ziemi, nieraz musiała w życiu walczyć o swoje, więc chyba bardziej określiłaby siebie jako realistkę niż optymistkę. A już na pewno nie nazwałaby siebie marzycielką. Czasem miała wrażenie, że marzenia są dla słabych, którzy nie potrafią sobie w życiu dać rady i trudno jest im walczyć o coś więcej. Ona z kolei walczyła za pięciu i... no cóż, nie miała czasu na marzenia.

Posmarowała bułki masłem i nałożyła na nie sałatę, ser i wędliny. W termosie zaparzyła kawę dla siebie, obok postawiła sok dla Maksa i poszła do jego pokoju, żeby wreszcie go obudzić. Zapukała cicho, by go nie wystraszyć, a później weszła do środka. Jej syn spał jak dziecko, obśliniając poduszkę na w pół otwartymi ustami. Kiedy to zobaczyła, znów w jej głowie pojawiło się wspomnienie męża. To on spał tak codziennie – z rana zaśliniony, a jednak taki kochany.

– Maks? Pobudka, idziemy na śniadanie – powiedziała miłym, ciepłym głosem.

– Nieee, ja śpię – mruknął cicho i tylko zamknął usta, nie poruszywszy się nawet o centymetr.

– Pyszne kanapki, soczek, wszystko gotowe.

– Zooostaw, mam, chcę pospać – zrzędził nieprzytomny.

– No dobrze, myślałam, że do śniadania będziesz chciał zerknąć do Internetu – szepnęła, sięgając po ostateczny argument.

Maks natychmiast otworzył oczy i usiadł na łóżku.

– Co? To dziś już mogę?

– Zgodnie z umową – potwierdziła. – Dziś tak, jutro nie.

– Ekstra! – krzyknął, wyskakując z łóżka. – Poproszę sprzęt – rzucił krótko i natychmiast wyciągnął rękę.

– Już leży przy kanapkach. Ubierz się i idziemy zjeść nad jezioro.

– Trzy sekundy!

Martyna wróciła do kuchni, spakowała rzeczy do plecaka i czekała na syna przy drzwiach. Nie minęła nawet chwila, gdy Maks stał przed nią w spodenkach i koszulce, w pełni wybudzony i gotowy do wyjścia. Podała mu telefon i powiedziała, że zanim się włączy, to jeszcze zdąży umyć zęby. Maks nacisnął przycisk i w podskokach poleciał do łazienki. Kiedy wrócił z niej kilka minut później, widziała, że już wisi z nosem w ekranie.

– Tylko na schodach się nie potknij – ostrzegła, zamykając za nimi drzwi domku letniskowego.

– Dobra, dobra – rzucił niedbale i zszedł w dół, patrząc w smartfon tak, jakby teren znał już na pamięć.

Kiedy szli w kierunku biesiadnej altany, jak to Martyna wyczytała na internetowej mapce ośrodka Kormoran, ona podziwiała widoki i bezruch panujący jeszcze na plaży, a on machał palcem po wyświetlaczu, zupełnie jakby nie miał urządzenia w ręce przez rok, a nie ledwie jeden dzień. Nawet nie zauważył, kiedy i jak doszli na miejsce. Martyna wybrała jeden ze stolików z okrągłym zadaszeniem, rozsiadła się na ławeczce tak, żeby widzieć przed sobą jezioro, i zaczęła wyjmować prowiant. Po pierwszą bułkę Maks sięgnął odruchowo i pewnie ugryzłby ją razem z folią, gdyby mu o niej nie przypomniała.

– Hej! Nałogu... – powiedziała z żartem w głosie. – Zobacz chociaż, jaka piękna pogoda.

– No, no. Cudowna – odparł z pełnymi ustami, nawet nie patrząc na okolicę.

Jego mama pomyślała wtedy, że chyba syn ma z tym smartfonem większy problem, niż przypuszczała, ale zasada była zasadą. Jutro znowu zamierzała mu go zabrać, a dzisiaj przymknie na to oko. Nalała kawę z termosu, wyciągnęła nogi na słońce i z przyjemnością wypila pierwszy, poranny łyk.

Kawa smakowała cudownie! Odetchnęła głęboko, jakby mogła nałapać się tego powietrza na zapas.

– Podoba ci się tutaj, Maks? – spytała, gdy była już w połowie kubka, a on cały czas milczał, śledząc ekran.

– Jest spoko.

– Mnie się bardzo podoba – przyznała. – Nie pamiętam... czy my kiedykolwiek byliśmy razem na wakacjach? – zapytała, a potem nagle ugryzła się w język.

– Tak. Byliśmy. – Chłopiec nagle przytomnie podniósł głowę. – Ja ich nie pamiętam, ale oglądałem zdjęcia znad morza. Ty, tato i ja. Miałem chyba pięć albo sześć lat.

– Ach, rzeczywiście – potwierdziła. – To był piękny urlop – dodała, szukając w głowie tego wspomnienia i nastrojając się trochę sentymentalnie.

– Ale odkąd tato zginął, nigdzie nie byliśmy. – Maks zgasił ją na moment. – Nie chciałaś ze mną jeździć.

– To nie tak, Maks. – Potrząsnęła głową. – Nie tak, że nie chciałam.

– Nie gadajmy o tym, mamó, okej? – poprosił, kładąc rękę na jej ramieniu. – Ja to rozumiem, nie jestem dzieckiem.

Martyna spojrzała w jego duże, spokojne oczy i pierwszy raz pomyślała o tym, że jej syn naprawdę wiele przeszedł i może przez to nie był takim typowym dwunastolatkiem. A może tylko tak to sobie tłumaczyła, by oddalić myśl, że przez ostatnie lata zwyczajnie go zaniedbywała?

– Kocham cię, Maks – powiedziała, przytulając go do siebie.

– O Jeeezu, mamó, nie rób siary – burknął, ale nie wyrwał się z jej uścisku. – Ja ciebie też.

Siedzieli przytuleni do siebie, a potem syn wysunął się z jej ramion i wrócił do przeglądania telefonu.

Wszystko, co piękne, szybko się kończy.

– Popływamy razem, zanim pójdziesz z rodzicami Dawida na spacer? – zmieniła temat.

– Nie mam kąpielówek.

– Ja też nie mam kostiumu, zaszalejmy i wejdźmy w ubraniach – zaproponowała.

– Serio? – Maks się ożywił.

– Pewnie, przecież się nie rozpuszczą.

– Dobra! – Chłopiec uśmiechnął się zawadiacko. – Ostatni w jeziorze robi kolację! – krzyknął i rzucił się pędem do wody.

Martyna nie zdążyła nawet odstawić kubka z kawą, kiedy głośny plusk oznajmił, że Maks już wykonał zadanie. Zdjęła klapki i z uśmiechem ruszyła za nim.

Odstawiła syna do Kiełbasów kilka minut przed dziesiątą i jeszcze raz podziękowała mamie Dawida za to, że bierze dziś jej chłopaka na spacer. Maks od razu pobiegł do kolegi i zajęli się sobą, więc szybko się pożegnała i ruszyła na parking. Wprawdzie mapy Google pokazywały, że na Kalinowe Pola jest stąd niecałe osiem minut, a z Piotrem Kandą umówiła się dopiero na jedenastą, ale wolała być na miejscu trochę wcześniej i rozejrzeć się po okolicy.

Czuła, że ta wyprawa dobrze jej robi, bo o ile na co dzień nie miała zbyt wiele czasu dla Maksa, to już na pewno nie miała go dla samej siebie. Wszystko posypało się wtedy, gdy zginął jej mąż. Cudowne, ułożone życie nagle poszło w zapomnienie, a ona poza depresją, w którą wówczas wpadła, skupiła się tylko na pracy.

Na tym, żeby utrzymać siebie i małego na powierzchni i żeby stawiać krok za krokiem nawet wtedy, gdy nie chciało jej się kompletnie nic. Wyczytała w jakimś mądrym artykule, że w przypadku załamania nerwowego nie wolno myśleć na wiele tygodni naprzód. Nie planować kolejnego roku, dwóch lat, pięciu. Koncentrować całą swoją uwagę na tym, żeby zrobić jeden krok, dołożyć drugą nogę i wykonać kolejny. Tylko tyle i aż tyle. Do bólu.

Podeszła do swojego niebieskiego suzuki swift i poklepała auto po dachu.

– No to jedziemy, mały.

Wsiadła, odpaliła silnik i wyjechała z terenu ośrodka Kormoran, kierując się tak, jak pokazywała jej nawigacja. Trafiła na długą drogę wśród niesamowitych drzew, które rzucały przyjemny cień na trasę. Zdziwiła się, kiedy faktycznie po niecałych ośmiu minutach jazdy zobaczyła po swojej lewej stronie zabudowania, za którymi ciągnęło się pole golfowe.

– Rzeczywiście blisko – mruknęła i zaczęła szukać miejsca do zaparkowania.

Zajeżdżała pod duży budynek z oznaczeniami golfowymi i stanęła tak, żeby widzieć przed sobą pole. Nie miała pojęcia, jak bardzo jest rozległe, ale na oko ciągnęło się aż po horyzont. Miała szczerą nadzieję, że Kanda nie planuje chodzenia po tych wszystkich łąkach, bo kondycją spacerową zdecydowanie nie grzeszyła. Rozejrzała się na boki, a potem weszła do wnętrza budynku. Przeszła przez niewielki korytarz i trafiła na kogoś z obsługi.

– Dzień dobry. – Uśmiechnęła się uprzejmie. – Szukam instruktora, Piotra Kandy.

– Dzień dobry pani – odpowiedział jej sympatyczny brunet, który był na tyle wysoki, że musiała zadrzeć głowę, kiedy do niej podszedł. – Piotr jest na strzelnicy. Jak wyjdzie pani z budynku, to na lewo do takich niskich, długich zabudowań.

– Dziękuję bardzo!

– Pani pierwszy raz u nas, prawda? – zapytał.

– Tak, właśnie zamierzam spróbować swoich sił z kijem.

– Świetnie, Piotr na pewno wszystko doskonale wytłumaczy.

– Dziękuję raz jeszcze.

Strzelnicę udało jej znaleźć bez pudła, nawet sprzed drzwi do budynku było widać kilka osób, które wybijały piłeczki na rozległe, zielone pole. Ruszyła w tamtym kierunku i kiedy przeszła już za ogrodzenie, zauważyła Piotra z daleka. Stał właśnie przy jakiejś kobiecie i pokazywał jej chyba, jak uderzać piłkę, bo po jego twarzy i jej skupieniu było widać, że coś jej tłumaczy.

Martyna podeszła bliżej, minęła niewielki kantorek i idąc pod zacienionym zadaszeniem, przesunęła się w stronę stanowiska Piotra i tej kobiety.

Kanda miał na sobie krótkie spodenki materiałowe i białą koszulkę polo z logo pola golfowego. Ten strój naprawdę wyglądał trochę jak mundurek, ale ładnie podkreślał jego zbudowaną klatkę piersiową, co oczywiście nie umknęło jej uwadze. Postanowiła, że nie będzie mu przeszkadzać w pracy. Usiadła na ławce pod daszkiem i przysłuchiwała się temu, jak tłumaczy wykonanie prawidłowego zamachu.

Słuchając tonu jego głosu, miała wrażenie, że jest iście nauczycielski. Wyćwiczony i wypracowany, ale też w jakiś sposób naturalny, z pasją. Jednym słowem: czuło się, że lubi to, co robi, i jest w to naprawdę zaangażowany.

Przez dobrych kilka minut przysłuchiwała się rozmowie, a potem patrzyła, jak kobieta próbuje uderzyć piłkę zgodnie z jego wskazówkami. Piotr przesunął się do przodu, zostawiając jej wolne pole do wykonania manewru, i z uwagą śledził zamach, dorzucając kolejne rady.

Kiedy trzy razy z rzędu wykonała ruch prawidłowo, uśmiechnął się i powiedział, żeby teraz poćwiczyła samodzielnie. Potem odwrócił się w stronę kantorka i wtedy ją zauważył.

– O! – Uniósł brwi, a na jego czole pojawiła się zmarszczka zaskoczenia. – Jesteś.

Martyna podniosła się z ławki.

– Zaskoczony?

– Zadowolony – poprawił ją szybko. – Właśnie miałem zrobić przerwę na kawę, napijesz się ze mną?

– Ale nie podasz mi żadnej lury?

– Skąd, golfowy luksus. – Zaśmiał się. – Chodź, zapraszam do mojego kantorka – powiedział, wskazując palcem szopę na końcu zadaszenia. – Dawno przyjechałaś?

– Kilka minut temu.

– A gdzie Maks?

– No cóż, uznał, że to nie jest sport dla niego i wybrał się dziś z nowym kolegą na wycieczkę – wyjaśniła. – Z rodzicami oczywiście.

– Szkoda – powiedział Piotr. – Liczyłem, że pokażę mieszcuchowi parę mocnych uderzeń.

– Naprawdę? – Martyna podniosła głowę zaciekawiona.

– No... tak. Przynajmniej w części.

Weszli do kantorka i Piotr nastawił wodę w czajniku, a ona rozglądała się po wnętrzu, podziwiając ogrom zgromadzonego tam sprzętu. Kijów było tu naprawdę sporo, a ona z zainteresowaniem zarejestrowała, że nie są identyczne.

– Po co aż tyle różnych? – zapytała.

– Do różnych uderzeń i sytuacji stosuje się różne kije – wyjaśnił. – Jedne przydadzą się, gdy piłka jest tuż przed dołkiem, inne wtedy, gdy musisz uderzyć ją na kilkaset metrów.

– Nieźle. – Wydeła usta. – Myślałam, że to trochę prostsze. Kij, piłka i lecis.

– No tak się właśnie najczęściej ludziom wydaje. A potem dwie, trzy lekcje i patrzysz zupełnie inaczej.

– Piotr zalał kubki gorącą wodą i podszedł do Martyny stojącej przy sprzęcie. – Zaraz wybiorę ci odpowiedni na strzelnicę.

Ocecił szybko jej wzrost i wybrawszy jeden, podał jej go do ręki.

– Ten powinien być idealny – powiedział. – Wypijemy kawę i pokażę ci kilka sztuczek.

– Super, to będzie mój debiut.

– I to, nie chwając się, pod okiem dobrego fachowca.

– No, no, oczywiście – parsknęła. – Długo uczysz golfa?

– Czwarty rok. Wcześniej grałem, startowałem w różnych turniejach, a teraz w sezonie zatrudniłem się na polach i szkole grupę.

– Czyli nie jesteś tu na stałe?

– Nie. Akurat jeden z instruktorów wypadł im z grafiku, więc skorzystałem na te wakacje.

Piotr podał jej kawę i sam wypił kilka pierwszych łyków. W pomieszczeniu nie było żadnego krzesła, na którym mogliby usiąść, więc wyszli na zewnątrz i patrzyli na trenujących na strzelnicy.

– Myślę, że ci się spodoba – powiedział po dłuższej ciszy, która zaczynała być trochę niezręczna.

– Golf?

– Tak. Uczy cierpliwości – dodał.

– A skąd pomyśl, że nie jestem cierpliwa?

– Aj, Martyna, nie to miałem na myśli – powiedział, uśmiechając się do niej promiennie, a ona skupiła się w tej chwili na jego lśniących, białych zębach.

– Ile ty masz w ogóle lat? – spytała, zdając sobie właśnie sprawę z tego, że chyba jej wspominał, ale kompletnie tego nie pamięta.

– Wystarczająco – rzucił bez wahania.

– Hę? Wystarczająco na co?

– Na ciebie? – spytał, zawieszając głos.

Spojrzał jej prosto w oczy, aż zrobiło się dziwnie.

– Hm. Czy tu się dzieje coś, o czym nie wiem? – spytała.

– Myślę, że wiesz, no... chyba że... nie wiesz? – Mrugnął do niej, a potem zmienił temat. – Kawa wypita? Idziemy?

Martyna spojrzała do kubka i zauważyła, że rzeczywiście jest już prawie pusty. Kiwnęła głową, na co Piotr zabrał jej naczynie i odstawił do kantorka. Po chwili był już obok i szarmanckim gestem wskazał pierwsze wolne stanowisko na strzelnicy.

– Panie przodem – powiedział.

Kolejne trzy godziny Kanda pokazywał jej różne sposoby uderzania piłeczki na strzelnicy, a kiedy ćwiczyła, on zajmował się pozostałymi osobami, które w tym samym czasie były w jego grupie. Martyna dobrze się bawiła i chociaż ręka już ją trochę bolała od trzymania kija, co wcale nie było takie proste, to nie poddawała się i czuła, że z każdym uderzeniem jest coraz lepsza. Kilka razy udało jej się nawet posłać piłkę daleko i wtedy dosłownie puchła z dumy. Jednocześnie kątem oka obserwowała nowego znajomego i jego podejście do ludzi. Miała nieodparte wrażenie, że przy ćwiczeniach z chwytem kija czy braniem zamachu

zdecydowanie bliżej ustawiał się przy niej niż przy innych graczach. Pewnie, że jej to schlebiali. Ba! Łapała się nawet na tym, że sprawia jej to przyjemność.

Bo potrzebowała męskiej uwagi, a może nawet za nią tęskniła? Bo od tylu lat żaden facet jej tak ewidentnie nie podrywał? Bo była na wakacjach i wiedziała, że za dwa tygodnie nie będzie go już musiała widywać? Ostatnia myśl była dla niej dziwnie wygodna.

Tak, pierwszy raz od dawna przyszło jej do głowy, że może rzeczywiście istnieje coś takiego jak wakacyjna przygoda. Przypadkowe spotkanie, dwoje ludzi, którzy czują do siebie pociąg i... Cofnęła tę myśl i od razu zaczęła się zastanawiać, czy ona właśnie samej sobie przyznała, że czuje pociąg do Kandy? Zmarszczyła czoło. A może chciała tylko wykorzystać sytuację i napaść się tym, że komuś wpadła w oko? I czy to w ogóle miało jakieś znaczenie?

Uderzyła piłeczkę tak, że przez chwilę nie widziała, dokąd poleciała.

– Wow! – wyrwało jej się, kiedy zobaczyła, jak ta upada za tabliczką czterdziestu metrów.

– Nieźle ci idzie – stwierdził z uznaniem Piotr, który nagle wyrósł tuż przed nią.

– To całkiem dobra zabawa – przyznała.

– Wiem. Odprężona?

– Jasne, dziękuję.

– Zaraz kończę pracę, może dasz się zaprosić na obiad? – spytał. – Naprawdę dobrze tu karmią.

– Obiad? – Martyna dopiero teraz zerknęła na zegarek. – O kurczę, to już czternasta, Maks pewnie wrócił i czeka na jedzenie – dodała. – Straciłam rachubę czasu.

– Od tego są urlopy. – Uśmiechnął się. – Dobrze, to pojedziemy po Maksa i wrócimy tu na obiad, pasuje ci?

– Będziesz musiał go sam namówić, golf uważa za sport dla dziadków.

– Przyjedzie tu przecież jeść, a nie grać – odpowiedział Piotr. – Zatem postanowione. Pozbieram tylko kij od ludzi i możemy ruszać.

Martyna wydawała się zadowolona z takiego obrotu sprawy i poszła w stronę jego kantorka, żeby schować w środku kij. Miała mieć darmową lekcję, a wyszły prawie cztery godziny, i to spędzone lepiej niż przypuszczała.

Piotr pochował sprzęt, podziękował ludziom z grupy szkoleniowej i ruszyli razem w stronę samochodu.

– Moim czy twoim? – zapytał, kiedy dochodzili już na parking.

– A moim. Nie przepadam za turbopędkościami w takim terenie. – Mrugnęła do niego porozumiewawczo.

– Nie zapomnisz mi tego, co?

– Będziesz się musiał lepiej postarać.

– Okej. Mam kilka pomysłów.

Na jego twarzy pojawiła się mina w typie szelmy.

– Wskakuj – powiedziała, otwierając samochód.

Piotr obszedł wóz i wsunął się na siedzenie pasażera, a potem rozejrzał po wnętrzu.

– Spodziewałem się góry opakowań po McDonalddie, przyklejonych żelków i innych atrybutów matki z dzieckiem, ale masz tu nawet dość czysto – zauważył.

– Pozory. – Martyna machnęła ręką i włączyła silnik. – Przed wyjazdem do ciebie odskrobałam żelki z siedzenia.

– Tak przypuszczałem – parsknął.

Martyna ruszyła i po minucie byli już na drodze do Niesulic. Kobieta patrzyła przed siebie, czuwając, żeby przed koła nie wyskoczyła jej zblakana sarna, ale czuła, że Piotr wcale nie patrzy na drogę, a na nią.

– Gapisz się na mnie?

– A co mam zakaz?

– W sumie nie... Łechtasz moją próżność – rzuciła, a później postanowiła być bezpośrednia. – O ile jest to spojrzenie mówiące, że ci się podobam.

– A chciałabyś, żeby takie było?

Teraz ona parsknęła, ale nie odpowiedziała na pytanie. W duchu przyznała, że Kanda gadane też miał całkiem przyzwoite. Minęła kilka zakrętów i zauważyła, że powoli zbliżają się do Kormorana.

– Wiesz, Piotr, dawno mnie nikt nie podrywał, więc mówiąć szczerze... sprawia mi to frajdę.

– Taka jesteś niedostępna, że nie próbowali? – zaciekał się.
– Nie sądzę. – Wzruszyła ramionami. – Po prostu przez długi czas nie zwracałam uwagi na nic innego poza pracą i Maksem.
– Najlepsza matka świata?
– Nie. Straciłam męża kilka lat temu.
– A... – jęknął. – Przepraszam.
– Myślałeś, że podrywasz kobietę, która zostawiła męża w domu, wzięła dziecko na urlop i szuka wakacyjnej przygody? – zażartowała, nie chcąc, żeby ta rozmowa przerodziła się w żale.
– Szczerze? – Uśmiechnął się szeroko, pokazując swoje białe zęby. – To byłoby bardzo wygodne.
Westchnęła rozbawiona.
– Faceci to jednak fantaści.
– Chyba muszę zmienić strategię.
Piotr podrapał się po głowie.
– Słucham?
– Nie masz męża, więc nie muszę aż tak owijać w bawełnę – wyjaśnił. – W końcu to ty mnie podrywasz, a nie ja ciebie.
– Że co?
– A kogo przeszły dreszcze podczas smarowania ud emulsją? – Mrugnął do niej szelmowsko. – Jestem facetem, czytaj: jestem wrażliwy na takie sygnały.
– O matko! – Zaśmiała się, wracając skupieniem do drogi. – Rozsunąłeś mi nogi, świrze, to jak miałam zareagować? – spytała, kręcąc głową z niedowierzaniem.
– Właśnie tak – wyjaśnił. – Wystarczyło mi, że się nie oburzyłaś.
– Cwaniak. Po paru latach bez dotyku kobiety też byś się oburzał.
Zaczęli się śmiać, a Martyna właśnie wjechała na parking w Kormoranie.
– Dobra, nie było tematu – powiedziała, gasząc silnik.
– Jak nie?
Spojrzał na nią rozczarowany.
– Normalnie, teraz wchodzimy w etap „nie przy dzieciach” – dodała i wysiadła z samochodu.
Piotr obszedł auto i stanął naprzeciwko niej tak, że gdyby się dobrze nachylił, to mógłby ją dotknąć.
– W porządku – odparł. – Zatem wróćmy do kwestii kulturalnego obiadu i tych tam... końskich zalotów?
– O, to, to – potwierdziła i energicznym krokiem ruszyła w stronę domku letniskowego.
Piotr musiał nieco przyspieszyć, żeby dotrzymać jej kroku i czuł, że w Martynie właśnie budzi się typowa matka biegnąca niemal na złamanie karku do swojego wygłodniałego dziecka. Jak za dotknięciem różdżki zniknął gdzieś jej powolny krok ze strzelnicy i spokój ducha, który w niej wtedy dostrzegł.
– Myślisz, że on umiera z głodu? – zapytał.
– Maks?
– Tak. Idziesz tak szybko, jakby się paliło.
– Hm. Masz dzieci, Piotr?
– Nie mam i nie planuję.
Uśmiechnęła się.
– No to nie wiesz, jak to jest.
– Przecież nie było cię ledwie parę godzin, daj spokój – prychnął. – Mówiłaś, że ma opiekę.
– Instykt matki – wyjaśniła. – To taki niewytłumaczalny impuls, który każe ci biec do swojej pociechy, jakby od tego zależało twoje życie.
– Zgroza.
– Zgadzam się całkowicie – odparła. – Zanim Maks się urodził, śmiałam się z koleżanek, którym na głowę uderzało macierzyństwo. Słyszałaś, że matka to stan umysłu?
– Coś mi się obilo o uszy, ale myślałem, że to dowcip.
– No nie. Sama prawda. – Wzruszyła ramionami, ale trochę zwolniła.
Nie musiała się już zresztą spieszyć, bo właśnie zobaczyła domek Kiełbasów i syna siedzącego razem z Dawidem na tarasie.

– Hop, hop, panowie! Wróciłam! – zawołała, zbliżając się do domku.
– Mamo, było super! – zawołał Maks, odwracając do niej głowę. – Jeździliśmy na rowerach wodnych.
– Ooo, a spacer wokół jeziora?
Z wnętrza domku wynurzyła się Monika Kielbasa i przywitała ją ciepło.
– Ze spaceru nici, nie dało się iść samym brzegiem, a nie chcieliśmy się przedzierać lasami – wyjaśniła.
– Stąd pomysł na rowery wodne. Dzień dobry panu – dodała, zwracając się do stojącego obok Martyny mężczyzny.
– Dzień dobry, Piotr Kanda – przedstawił się.
– Monika, mama Dawida – odpowiedziała, ściskając mu rękę i dyskretnie obcinając go wzrokiem.
– A jak było na golfie, mamo, zanudziłaś się? – spytał Maks.
– Coś ty, było świetnie, aż mnie ręka boli – odparła, czochrając go dłonią po włosach. – Chodź, pan Piotr zaprasza nas dzisiaj na obiad.
– Ooo, a na co?
Maks wyraźnie się ożywił.
– A wybierzesz sobie, co zechcesz – wtrącił Piotr. – Nawet jakąś słodką truciznę, na którą mama pewnie ci w domu nie pozwala. – Mrugnął.
– Zajebiecie! – Maks wstał z ławki i pożegnał się z Dawidem. – Wpadnę wieczorem, dobra? Kolega kiwnął głową i szybko pożegnali się z Kielbasami, ruszając w stronę parkingu.
– Serio mogę coś supersłodkiego i nie będzie akcji? – Maks ożywionym krokiem maszerował do auta.
– Mhm – mruknął Piotr Kanda. – Twoja mama zgodziła się, żebym to ja dzisiaj rządził, więc pozwalam ci na wszystko. – Zaśmiał się.
– Że co? – Martyna uniosła brwi. – A kiedy ja coś takiego mówiłam?
– Mamo! Przecież ten pan by nie kłamał. – Maks od razu wyczuł okazję. – Poza tym sama widzisz, mamy większość. – Wzruszył demonstracyjnie ramionami.
– Nie podoba mi się to.
– A mi bardzo – dodał jej syn i już stał pod drzwiami auta. – To gdzie to żarcie?
– Osiem minut stąd – odpowiedział Kanda i po chwili wszyscy byli w samochodzie.

Dochodziła jedenasta w nocy, a Martyna wciąż siedziała przy stoliku na tarasie i podziwiała jezioro. Wprawdzie nie było go już niemal widać, a na zewnątrz, poza kilkoma lampami panowała ciemność, za to był to idealny moment na złapanie oddechu po intensywnym dniu. Kurs golfa z Piotrem, potem wspólny obiad, na którym Maks kilka razy tak go zagiął, że mężczyzna o mały włos zbierałby z wrażenia szczękę z podłogi, i ta atmosfera wakacji, która tak jej się tutaj udzielała. Patrzyła na ciemniejące jezioro oraz lekko oświetloną plażę i pomyślała o tym, że to wymarzony czas na spacer. Podniosła się z ławki i sprawdziła, czy Maks już śpi, chociaż przypuszczała, że zapewne wykorzystuje ostatnie godziny na ślęczenie z nosem w telefonie.

– Śpisz? – zapytała, wchodząc do jego pokoju bez pukania.

– Nie.

Syn nawet nie podniósł głowy znad smartfona.

– Idziemy na nocny spacer?

– Teraz?

– Czemu nie? Trochę mroczny klimat, ale jest jeszcze ciepło.

– Dobra.

Ku jej zdziwieniu, Maks podniósł się z łóżka, wsadził telefon do kieszeni i złapał za przewieszoną przez krzesło bluzę.

– Jestem gotowy!

– Super! – ucieszyła się.

Oboje ochoczo ruszyli do wyjścia i za chwilę schodzili po lekko trzeszczących schodkach, rozglądając się uważnie na boki. Wokół nie było żywej duszy, zupełnie jakby wszyscy już spali, co nawet było trochę dziwne. W czasach młodości Martyny pewnie siedzieliby teraz razem z przyjaciółmi na plaży i pili piwo, ale chyba czasy się pozmieniały albo ludzie szybciej się męczyli.

– Ale ciemno – zauważył Maks. – Idziemy na pomost?

– Możemy.

W zasadzie Martyna nie pamiętała, czy kiedykolwiek o tak później porze była ze swoim synem na spacerze, więc energiczny marsz w stronę wody bardzo jej się podobał. Weszli na pomost i zachwycali się razem widokami. Nie było księżycy, który oświetlałby im drogę, ale od lamp stojących na brzegu i tak padało na tyle światła, że jezioro z brzegu było dobrze widoczne. Wyglądało trochę tak, jakby lśniło w rytm migających z dala żarówek.

– Ładnie tu. – Maks zatrzymał się i popatrzył gdzieś daleko.

Usiedli na drewnianych deskach, zwieszając luźno nogi, i zamiast rozmawiać, po prostu chłonęli ciszę. Niewielkie fale na wodzie uderzały w drewnianą konstrukcję i zdawały się mruczeć im pod nogami.

– Fajnie dziś było. – Maks odwrócił głowę w jej stronę. – Dawid jest super, a ten pan Piotr też miły. Samochodem jeździ jak cipa, ale poza tym jest spoko.

– Maks! Jak ty się wyrażasz?

– O Jezu, no... – Machnął ręką.

Martyna z trudem przełknęła to, jakiego użył słowa, ale nie chciała go dzisiaj strofować.

– Cieszę się, że dobrze się bawiłeś.

– No. – Wzruszył ramionami. – Nie jest tak źle, jak myślałem.

Objęła syna ramieniem i cmoknęła go w głowę.

– Mamo, tylko się nie rozczulaj. – jęknął.

– Przecież nikt nie patrzy.

– Ale ja widzę!

– Serio jesteś już taki dorosły, że stara matka nie może cię trochę poprzytulać? – zażartowała.

Maks rozejrzał się na boki, jakby upewniając się, czy nikogo nie ma, a potem na chwilę się do niej przytulił. Trwało to może z dziesięć sekund, ale tak mocno ją tym zaskoczył, aż poczuła, że coś rośnie jej w gardle.

– Dobra. Już – powiedział, odsuwając się i robiąc tę swoją odpychającą minę. – Idziemy tam, wzdłuż plaży? – spytał, wskazując palcem miejsce mocniej zaciemnione.

– Nie ma tam żadnych lamp, trochę strasznie – odparła.

– Ja się nie boję.

– Okej, to chodź, sprawdzimy, czy coś nie siedzi w tych trzcinach. – zażartowała.

– Dobra! – Maks podniósł się i był gotów iść od razu. – Może znajdziemy jakieś potwory?

– No, no, nie strasz.

– Sama mówiłaś, mamo, że lubisz się czasem bać.

– Ale chodziło mi o filmy. – Zaśmiała się.

Maks poszedł przodem i za chwilę zeszli z pomostu, ruszając w kierunku ciemnego brzegu i trzcin chybotających się na lekkim wietrze. Jej chłopiec szedł z przodu i udawał, że nic go nie rusza, ale Martyna zakładała, że tak właśnie będzie. Miał to po tatusiu: wszystko będzie dobrze, nic się nie stanie, ja cię uratuję, nie bój nic i takie tam. Doskonale pamiętała, jak często mąż to powtarzał. Im Maks był starszy, tym częściej zresztą go przypominał. Trochę obawiała się tego, że jak dorośnie, to będzie taki jak on, a przez to ona będzie za nim tęsknić jeszcze bardziej. Niby minęło już kilka lat, ale jeśli dziecko jest kopią nieżyjącego ojca, matka widzi go nawet wtedy, gdy jego już nie ma. Dziwne uczucie. Czasem piękne, czasem okrutne.

Zauważyła, że Maks zatrzymał się w ciemniejszej części nadbrzeżnej łąki i machał na nią ręką. Podeszła zaciekawiona i zobaczyła, jak jej syn pokazuje coś palcem. Trochę dalej, za małym zakrętem coś szeleściło w trzcinach.

– Co to? – spytała cicho.

– Ciii...! – uciszył ją. – Może to jakaś wielka ryba? Dawid mówił, że tu są szczupaki – powiedział. – Chodźmy tam bliżej, tylko bądź cicho, mamo!

Martyna, widząc jego podekscytowanie, wczuła się w rolę. Ruchem palców pokazała, że sznuruje sobie usta, a później pochyliła się, udając, że się skrada. Chłopiec od razu to podłapał i niczym szpiedzy sunęli powoli w stronę zakrętu. Im byli bliżej, tym lepiej było słyhać szelest trzcin.

– To szczupaki nie siedzą pod wodą? – zapytała najcichszym szeptem, na jaki było ją stać.

– Ciii...! – Maks zmarszczył czoło. – Mógł się w nich przecież zaplątać – dodał tonem, który wskazywał, że jego mama chyba nie myśli.

Martyna miała ochotę parsknąć, ale trzymała fason i kiwnęła poważnie głową, jakby chciała mu podziękować za to jakże rezolutne wytłumaczenie. Przeszli jeszcze kawałek i syn wskazał jej kępę krzaków, za którą miał zamiar się schować. Ruszyła za nim, ale nagle poczuła się dziwnie zaniepokojona. Trzciny w tym miejscu, które obserwowali, wydawały jej się chybotać za mocno. Może to jakieś zwierzę? Bóbr? Nie pamiętała, czy przeglądając informacje o tym jeziorze, trafiła na cokolwiek o bobrach, ale gdyby rzeczywiście tutaj były, to zobaczyłaby takie zjawisko pierwszy raz w życiu.

Maks przykucnął za krzakami, a ona po chwili do niego dołączyła i zaczęli wpatrywać się w trzciny, zadzierając głowy.

– Widzisz coś?

– Jeszcze nie.

Właśnie w chwili, kiedy Maks chciał przesunąć się do przodu, szelest w trzcinach ustał i zapadła cisza. Spojrzeli na siebie zaskoczeni.

– Kurczę, ten szczupak chyba odpłynął.

W głosie jej syna było słycać rozczarowanie.

Martyna wysunęła się z krzaków i stanęła obok, zerkając jeszcze raz w tym kierunku. I wtedy usłyszała wyraźny plusk kroków. Zamarła na moment, a kiedy trzciny znów zaczęły się trząść i zobaczyła, co z nich wychodzi, serce podskoczyło jej do gardła. Maks złapał ją za rękaw, a jego oczy pytały, co robić.

– Nie ruszaj się – powiedziała bezgłośnie, tak, żeby mógł odczytać z ruchu warg.

Na brzeg, dosłownie kilkanaście kroków od nich wyszedł wielki, czarny, nabity mięśniami pies. Martyna w mgnieniu oka rozpoznała rottweilera. Jedna z tych cholernych, morderczych ras, której nie chciałaby spotkać w ciemnej ulicy. Przyjrzała mu się i zauważyła, że ma obrożę, ale na plaży nie było widać właściciela. Pies jeszcze ich nie widział, więc liczyła, że będą mieć trochę szczęścia i po prostu sobie pójdzie. Poczula zapach własnego potu i rozejrzała się wokół, szukając jakiegoś patyka, kija, czegokolwiek. Niestety plaża przy wodzie i łąka za nimi były idealnie czyste.

Pies przestał wąchać ziemię, podniósł łeb i zaczął warczeć. Zauważył ich. Martyna przełknęła ślinę i bardzo powoli wysunęła się przed Maksa, tak, żeby stanął za jej plecami.

– Jeśli zacnie na nas biec, uciekaj i sprowadź pomoc – szepnęła, czując, jak na rękach i szyi ze strachu robi jej się gęsia skórka.

Rozszarpani przez psa? Najgorszy koszmar. Nerwy miała napięte do granic i myślała tylko o tym, jak uratować swoje dziecko.

Rottweiler ruszył przednimi łapami i zrobiwszy kilka kroków, stanął w lepiej oświetlonym miejscu. Widziała, jak dyszy, otwiera swój wielki pysk i zaczyna mu z niego lecieć długa, ciągnąca się aż do ziemi ślina. Zwierzę pochyliło kark i warczało coraz mocniej, a to nie mogło wróżyć niczego dobrego. Martyna starała się nie patrzeć mu w oczy.

– Maks, wycofujemy się bardzo powoli – powiedziała. – Zrób dwa kroki i czekaj, aż cofnę się do ciebie.

Syn nie odpowiedział, ale nie puszczając jej ramienia, zrobił krok wstecz, ciągnąc ją powoli w swoją stronę. Martyna ruszyła prawą nogą do tyłu, czując, jak ciężkie jest teraz jej ciało, i wciąż nie odwracając się do psa plecami, cofnęła się do Maksa.

Rottweiler zauważył ten ruch, pochylił się jeszcze bardziej i również zrobił krok w ich kierunku. Chrapliwie warczał, a Martyna czuła, że to się dla nich źle skończy. W tym momencie usłyszała chrzęst pod własną nogą, spojrzała w dół i zobaczyła, że stanęła na jakiś badyl. Niestety, nie było nawet sensu go podnosić, za mały, za krótki, za wiotki – dla tego bydlęcia przed nimi nie stanowiłby żadnego zagrożenia. Wróciła do obserwowania psa, który w tym momencie oderwał od niej spojrzenie, skrzył głowę w lewo i popatrzył na coś na drugim końcu łąki. Kobieta powiodła za nim wzrokiem i dostrzegła czyjś cień. Wysoki mężczyzna niespiesznie szedł w ich kierunku. Z nadzieją pomyślała, że może to jego właściciel. Czy mogła krzyknąć i go zawołać, czy lepiej było siedzieć cicho?

– Hektor! – krzyknął mężczyzna, a pies wyprostował się i natychmiast pobiegł w jego stronę.

Martyna odetchnęła z ulgą, widząc, jak facet schyla się i zapina go na smycz.

– Jezu, całe szczęście – szepnęła.

Dopiero po chwili ciśnienie uderzyło jej do głowy ze zdwojoną mocą.

– To pana pies?! – zawołała.

– Ta! – odkrzyknęła jej z daleka mężczyzna. – Wieczorny spacerek – dodał, jakby nic się nie stało.

– Mógł nas zabić, do cholery! – wydarła się na niego. – To jest ośrodek wypoczynkowy! Powinien go pan mieć na smyczy! – krzyczała, idąc już w jego kierunku.

– Mamo, chodźmy stąd.

Za plecami drżał głos jej wystraszonego syna.

Martyna ani myślała tak to zostawić.

Podeszła do mężczyzny trzymającego rottweilera na smyczy, zachowując jednak bezpieczną odległość kilku kroków. Facet miał na oko pięćdziesiąt lat, może trochę więcej i zdecydowanie górował nad nią wzrostem.

– Nie wolno takich psów puszczać luzem. Tu jest dziecko, do diabła! – Podniosła głos cała zdenerwowana.

W reakcji na jej gwałtowny ton mężczyzna odparował ze złością.

– Dzieci o tej porze powinny spać, paniusiu.

– Co proszę?! Jak pan śmie? Jak pan się nazywa? – zawołała, czując, jak jej wściekłość rośnie. – Złożę na pana skargę!

Maks ścisnął ją za rękę, jakby chciał uspokoić, a mężczyzna prychnął i w tej samej chwili schylił się do obroży rottweilera.

– Niech pani stąd spierdala w podskokach razem z tym swoim szczyłem albo go spuszczyć! – zawołał z kamienną miną, po której mogła domyślić się, że facet nie żartuje.

– Słucham?! – oburzyła się. – To pan niech z nim spierdala, zanim wezwę policję!

– Mam prawo tu być, durna babo! Mój pies też. – Mężczyzna nie wytrzymał. – Cały dzień siedzi w domku, wychodzę z nim dopiero teraz, jak jest pusto! – krzyczał. – Macie dla siebie cały dzień, więc wypierdalać mi stąd, bo naprawdę go spuszczyć!

Martyna gotowała się w środku, widząc, jak facet ponownie przykłada rękę do smyczy tak, jakby rzeczywiście chciał to zrobić.

– Nie daruję panu tego! – zawołała, cofając się o kilka kroków. – Taki pies musi mieć kaganiec! Inaczej kogoś zagryzie!

– Głucha jesteś, kobieto? Spieprzaj!

– Mamo! – błagał rozpaczliwie Maks, ciągnąc ją za rękę. – Mamo, proszę cię, chodź!

Martyna odwróciła się na pięcie i zaczęła iść w stronę głównego kąpieliska. Powtarzała sobie, że robi to tylko dla Maksa, tylko dla niego. W środku cała wrzała i była gotowa rozerwać faceta na strzępy, ale jej wystraszone dziecko było ważniejsze.

Kiedy byli już kawałek dalej, a mężczyzna nie ruszał się z miejsca, spojrzała na przerażonego syna i kazała mu się zatrzymać.

– Daj mi telefon – powiedziała stanowczo.

– Co?

– Telefon!

Maks wyjął smartfon z kieszeni, a ona złapała go, odwróciła się i zrobiła kilka zdjęć mężczyzny i psa. Kiedy z daleka usłyszała jego przekleństwa, ruszyła dalej i za chwilę była już z Maksem pod domkiem. Chłopak przerażony wpadł do środka i pobiegł do swojego pokoju. Poszła za nim, chociaż wiedziała, że nie będzie w stanie go teraz uspokoić, sama cała się jeszcze trzęsła.

– Maks, nie bój się, jutro zgłoszę to na policję – oznajmiła. – Zrobię facetowi piekło na ziemi – dodała podniesionym głosem.

Maks dygotał, więc przykryła go kocem i usiadła obok.

– No już, spokojnie, nic nam się nie stało – mówiła, głaszcząc go po plecach.

– Nigdy więcej tak nie rób, mamo – powiedział z wyrzutem. – On mógł spuścić tego psa!

– Maks... – westchnęła, siląc się na spokój. – Takich rzeczy nie można zostawiać bez słowa. Jutro inne dziecko pójdzie tam na spacer, czyjaś mama, czyjś brat. Jeśli ten facet nie będzie w zasięgu, to jego bydlę kogoś rozszarpie, rozumiesz? – pytała. – Najedliśmy się strachu, ale trzeba im zwracać uwagę, trzeba zgłaszać, nie można udawać, że się nic nie stało.

– Mamo! Mogłaś to zgłosić bez robienia mu awantury – rzucił stanowczo. – Jak byśmy już byli bezpieczni!

Syn miał do niej żal. Martyna policzyła w myślach do dziesięciu, żeby się uspokoić.

– Poniosło mnie, to prawda – powiedziała po chwili. – Ale miałam ochotę go tam zatłuc. Przepraszam, Maks.

Chłopiec nic nie mówił, a potem nagle się do niej przytulił.

– Ja przecież mam już tylko ciebie... – stwierdził z rozdzierającym smutkiem.

Dopiero wtedy do Martyny dotarło, jak on się teraz czuł. Uświadomiła sobie, że nigdy nie myślała o tym, że jej dziecko mogłoby się bać straty drugiego rodzica.

Poczuła w skroniach pulsujący ból i objęła go mocniej.

Rozdział V



4 lipca

Czwartek

– No mówię ci, że facet jest nienormalny. Ten pies by nas zagryzł – powiedział Maks, skubiąc rosnącą tuż przy jego nogach trzcinę.

– Co to za rasa? – zapytał Dawid, który siedział właśnie z patyko-wędką nad wodą i słuchał jego rozemocjonowanej opowieści.

– Rottweiler, czarny, bardzo duży.

Maks szeroko rozłożył ręce, chcąc pokazać wielkość psa. Chłopiec chodził w wodzie po kostki tam i z powrotem, próbując nagonić Dawidowi ryby.

Od rana był zestresowany wczorajszą sytuacją i po prostu musiał się tym podzielić z kolegą. Wczoraj długo nie mógł przez to zasnąć i czuł, że potrzebuje się komuś wygadać.

– A ten koleś jak wyglądał?

– Stary dziad, wysoki – odparł Maks. – Nie przyjrzałem się tak dobrze, bo stał w cieniu – dodał, nie przyznając się, że tak naprawdę schował się za plecami mamy.

– A to nie ten, co mieszka w domku za wami? – Dawid podniósł na niego wzrok. – Jak się tu meldowaliśmy, to akurat w recepcji był taki gość z dużym rottweilerem. Zbigniew jakiś tam, czekaj, niech sobie przypomnę. – Myślał, drapiąc się po głowie. – Zawada? Zarada? Jakoś tak. Spytam później mamę.

– W którym domku za nami? – zdziwił się Maks. – Ja go wcześniej nie widziałem.

– No w tym centralnie z tyłu. Widziałem go raz, jak wychodził wcześniej rano z psem, ale miał go na smyczy.

– No właśnie, a w nocy puścił go luzem, koszmar, mówię ci.

Maks odruchowo spojrział w stronę brzegu i rzeczywiście zobaczył, że kawałek dalej za ich domkiem stoi jeszcze jeden.

– Mama poszła dzisiaj do recepcji zgłosić to wszystko, na policję też zadzwoni.

– Bałeś się, co? – Dawid uśmiechnął się przekornie, patrząc, jak Maks przy tym całym opowiadaniu wciąż macha rękami.

– No pewnie, że tak. Nie było cię tam, więc nie wiesz, ale wyglądało to bardzo groźnie – powiedział na tyle poważnie, że Dawid przestał się podśmiewywać.

– Ciekawe, po co taki facet tu przyjeżdża? – Zastanowił się, maczając patyk w wodzie. – Jak widać go tylko z samego rana albo w nocy?

– Nie wiem, ale gość mi się nie podoba – stwierdził Maks.

– Pewnie ma coś na sumieniu.

– Myślisz?

– No a jak! W dzień się chowa, żeby go nikt nie zobaczył, nocami chodzi z takim psem bez smyczy i wyłazi tylko rano – podsumował Dawid. – Przecież nocą, gdy nikt na ciebie nie patrzy, można bez obaw robić różne... złe rzeczy, nie?

– Może to przestępca? Albo czegoś tu po nocy szuka? – podchwycił wątek.

– Chyba trupów. – Jego kolega się zaśmiał. – Przecież tu w nocy nikogo nie ma.

– Podejrzane, nie?

– Bardzo. – Dawid podrapał się po czole i podniósł z kamienia, na którym siedział. – Słuchaj, musimy to sprawdzić, Maks. Jeśli dzieje się tu coś niedobrego, to trzeba reagować.

– Daj spokój, nie będę sprawdzał niczego, jak obok jest taki pies. To morderca.

Dawid ściszył głos i spojrzał na niego znacząco.

– Może nie tylko pies jest mordercą?

– Bez jaj.

– Sprawdźmy to, chłopie. Chodź, pokręcimy się koło jego domu i po prostu poobserwujemy.

– Chyba zwariowałeś!

– Wręcz przeciwnie. – Mina czternastolatka była bardzo poważna, Maks miał jednak wątpliwości.

– Ale nie chcesz tam chyba wchodzić?

– Co ty. Obserwacja jest najważniejsza. – Dawid poklepał go po ramieniu, a Maks z ulgą kiwnął głową.

– W razie czego, jak coś odkryjemy, to od razu dajemy znać mamie, tak? – upewnił się.

– Jasne. – Dawid schował patyko-wędkę w krzakach i ruszył w stronę domku Maksa.

Rozmawiali po drodze, ale im bliżej byli, tym bardziej Dawid zmieniał temat. Wyjaśnił mu, że lepiej będzie, jak ich mamy nie usłyszą o tym pomysle, bo zaraz będą panikować. To kobiety przecież. Maks potakiwał ze zrozumieniem.

– Tajemnica? – spytał Dawid, wyciągając do niego rękę.

– Tajemnica – odparł dwunastolatek i na znak sekretu mocno ścisnęli sobie dłonie.

Zanim poszli obejść dom właściciela rottweilera, Dawid zapytał Maksa, co widzi z okien swojego pokoju. Ten zmarszczył czoło, a potem powiedział, że chyba tylko domek jego rodziców. Przyznał też, że nie sprawdzał innych okien, więc nie ma pojęcia, jaki jest z nich widok. Obaj uznali, że wejdą na chwilę i upewnią się, czy z któregoś z pomieszczeń nie widać domu mężczyzny. Mogliby stamtąd bezpiecznie go obserwować, sami pozostając niezauważeni.

– Hej, mammo! – krzyknął Maks, widząc Martynę siedzącą na tarasie.

– Cześć, chłopcy, jak tam ryby? Biorą? – zapytała, uśmiechając się do nich i podnosząc głowę znad kubka kawy.

– Zanęcamy je na razie, ale wreszcie będą nasze – rzucił Dawid. – Maks chce mi pokazać wasz domek, możemy wejść? – zapytał grzecznie.

– Jasne, od razu nalejcie sobie coś do picia.

Chłopcy weszli do środka, a niczego nieświadoma Martyna cieszyła się, że Maks znalazł tu towarzysza. W Katowicach nigdy nie odwiedził ich żaden jego kolega, więc zdawało się, że jej dziecko robiło tutaj postępy.

Przed dwunastą Martyna wybrała się do rodziców Maksa. Miała pewien pomysł na to popołudnie, ale nie była pewna, czy ci nie mają już innych planów, więc chciała zapytać. Monikę Kiełbasę zastała siedzącą na zewnątrz i wpatrującą się w stół. Przez ułamek sekundy wydawało jej się, że kobieta jest smutna, i poznała w niej spojrzenie, które sama miała wypisane na twarzy przez kilka miesięcy po śmierci męża.

Totalne otępienie, bezradność i taki „brak”, który po prostu się widzi.

Podeszła do niej i spytała, czy ma chwilę.

– Jasne, całą wieczność – odpowiedziała smutnym głosem sąsiadka. – Siadaj.

– Stało się coś?

– Niby nie, standard małżeński. – Monika rozłożyła ręce. – Adam pojechał godzinę temu do Poznania, bo oczywiście nie może żyć bez pracy, a oni tam bez niego umrą. Ma wrócić wieczorem albo jutro. Szlag mnie już na to trafia.

– Aj, współczuję. – Martyna nie bardzo wiedziała, co powiedzieć. – To może nie będę ci przeszkadzać?

– W czym? W użalaniu się nad sobą? – prychnęła. – Przeszkadzaj śmiało. Adam ma pierdolca na punkcie pracy, ale w ostatnich miesiącach przegina zupełnie. Telefon włączony dwadzieścia cztery godziny na dobę, a ja się jakoś przestałam liczyć – ciągnęła.

– To może... – zaczęła Martyna. – Oderwiesz się od tego myślenia i skoczmy gdzieś we czwórkę, z dziećmi? Dobra zabawa poprawi nam nastroje, co ty na to?

– Brzmi lepiej niż moje marudzenie. Masz jakiś plan?

– Mam cztery godziny darmowego sprzętu wodnego, w ramach pobytu. Myślałam o rowerach

wodnych, ostatnio chłopakom się podobało, a my poopalałybyśmy się trochę – zaproponowała.

– Super, jestem za. – Monika uśmiechnęła się trochę udawaną radością, chociaż sam pomysł jej się spodobał. – Odszkodnia mi się przyda. To kiedy?

– Możemy i teraz, o ile znajdziemy naszych chłopców.

– Poszli niedawno pływać na plażę, więc na pewno tam jeszcze są. – Monika wychyliła głowę, ale drzewa zasłaniały jej tutaj większość kąpieliska.

– To co? Wbijamy się w stroje i widzimy się za dziesięć minut przy pomoście?

– Idealnie.

Kobieta wstała i zniknęła wewnątrz domku, a Martyna wróciła do siebie. Szybko włożyła strój i wrzuciła do plecaka kilka rzeczy. Soki do picia, krem z filtrem, ręczniki. Po niecałych pięciu minutach była gotowa i zamykając za sobą drzwi, spojrzała w prawo. Monika Kiełbasa też już wychodziła, więc pomachała do niej i zaczęła schodzić w dół, na kąpielisko. Spotkały się chwilę później, przy schodach prowadzących na plażę.

– Piorunem się uwinęliśmy.

– Jak to matki, dwadzieścia rzeczy w pół minuty. – Monika mrugnęła i weszły na plażę.

Swoich synów zobaczyły od razu. Maks właśnie skakał za Dawidem do wody i widać było, że go naśladuje. Nawet identycznie wybijał się z pomostu. Dzielili ich tylko dwa lata, ale to Dawid był tym, który tutaj wyznaczał kierunek.

Kobiety podeszły do samego brzegu i czekały, aż chłopcy wypłyną.

– Dawid! – zawołała Monika, machając do niego ręką. – Chodź z Maksem! Idziemy na rowery wodne! – dodała, starając się przekrzyknąć tłum pływających dzieci.

Syn dostrzegł ją, a potem szturchnął Maksa i wyszli na brzeg.

– Gdzie idziemy? – spytali niemal równocześnie, kiedy stanęli już na piasku.

– Na rowery wodne – odpowiedziały chórkami.

Chłopcy spojrzeli na siebie, kiwnęli głowami, jakby wyrażając wzajemną aprobatę dla tego pomysłu, a potem ruszyli za swoimi matkami. Obie pomyślały, że to podejrzana zgodność. Do wypożyczalni sprzętu nie było daleko, więc już po paru minutach całą czwórką stali w kolejce.

Resztę popołudnia pływali po jeziorze, raz po raz wracali do brzegu i odkrywali jego nowe zakamarki. Chłopcy skakali do wody, doprowadzając Martynę prawie do wylewu, bo chociaż woda była idealnie czysta, to za każdym razem jej wyobraźnia podsuwała okropne scenariusze. Na szczęście nikomu nic się nie stało, a oni bawili się przednio. Maks bez telefonu też wydawał się mniej nerwowy, więc obie nasmarowały się kremem z filtrem i cieszyły się słońcem.

Przy okazji, gdy chłopcy siedzieli w wodzie, Martyna dowiedziała się od Moniki nieco więcej o ostatniej oschłości jej męża i jego nałogowym zerkaniu w telefon. Kobieta była na skraju załamania nerwowego, a gdy mówiła o tym, że jutro mu ten telefon połamie, schowa albo utopi w jeziorze, wcale nie brzmiało to jak żart. Raczej jak... obietnica. Słuchając opowieści o Adamie, Martyna zdała sobie sprawę z tego, że jej praca i obowiązkowość, z jaką ją od paru lat wykonywała, mogły być podobnie odbierane przez Maksa. Czy dzieci widzą takie rzeczy, czy tylko dorosłym wydaje się, że nie mają o tym pojęcia?

– Mamo, patrz! – krzyknął nagle Maks i Martyna spojrzała w jego stronę.

Jej syn stał właśnie na mieliźnie, kilka metrów od roweru wodnego i robił salto, wpadając z hukiem do wody. Wynurzył się cały roześmiany i powtórzył manewr.

– Ekstra, co?! – zawołał. – Dawid mnie nauczył!

Martyna wydała z siebie okrzyk podziwu i podniosła rękę z uniesionym kciukiem. Chłopcy wrócili do zabawy.

– Cieszę się, że na was trafiliśmy – powiedziała, odwracając głowę do Moniki.

– Mhm – potwierdziła. – Więcej świętego spokoju dla nas wszystkich.

Piotr Kanda włożył klucz do drzwi mieszkania swojej matki i cicho wszedł do środka. Codziennie po pracy, zanim poszedł piętro wyżej – do siebie – zaglądał do niej i sprawdzał, czy wszystko jest w porządku. Jego mama miała już lekko ponad siedemdziesiąt lat, a w zeszłym roku przeszła dość ciężki wylew i chociaż powoli dochodziła do formy, to pewne zmiany w jej umyśle były nieodwracalne. Mężczyzna wszedł cicho do

salonu, żeby jej nie obudzić, gdyby przypadkiem spała, ale zauważył, że siedzi w swoim starym fotelu i ogląda telewizyjny kabaret.

– Cześć, mamuś! – przywitał się od progu.

Kobieta spojrzała na niego, nie rozumiejąc, co tutaj robi.

– Synek! – odezwała się wreszcie. – W kuchni masz ciasto, nałóż sobie.

– Dobrze, a jak się dzisiaj czujesz, mamuś? – spytał, wiedząc, że w kuchni wcale nie ma żadnego ciasta.

Kiedyś jego mama robiła wypieki nałogowo i w domu zawsze musiało być ciasto, ale od czasu wylewu nie radziła sobie ani z piekarnikiem, ani z zagniataniem mąki z resztą składników, więc została jej tylko pamięć tamtych dni.

– Bardzo dobrze, wyśmienicie. – Uśmiechnęła się. – Spójrz, jaki piękny kabaret, jacy oni elegancy!

Piotr rzucił okiem na telewizor i pokiwał głową. W umyśle jego mamy zachodziły zmiany, które miały swoje plusy i minusy. Była mniej nerwowa niż kiedyś, oglądała programy, którym nigdy wcześniej nie poświęciłaby uwagi, no i bawiły ją sceny kompletnie niezabawne. Śmiała się z wypadków samochodowych, morderstw, terroryzmu, oszustw na seniorach – miał wrażenie, że wszystko, co złe i straszne, nagle zaczęło ją szalenie bawić. Lekarze pocieszali go, że mogło być gorzej. Po wylewie mogła być niesprawna, agresywna albo zapomnieć, że ma dzieci, a jednak ta ciemna strona mocy jej nie dotknęła.

Piotr poszedł do kuchni i wyłożył na talerze obiadokolację, którą codziennie zamawiał w restauracji z polskim jedzeniem, mieszczącej się na parterze ich bloku. Dzisiaj szef kuchni serwował klopsiki w sosie pomidorowym, ziemniaki i ogórka. Piotr starał się wybierać takie zestawy, które jego mamie były dobrze znane. Żadnej chińszczyzny i kuchni egzotycznych. Nigdy nie pomyślałby, że to on będzie podawał swojej mamie kolację. Jasne, wiedział, że kiedyś i ją dopadnie starość, ale odkładał to na wieczne nigdy, a tutaj, zaraz po wylewie, wszystko działo się tu i teraz.

– Mamo, obiad nałożyłem – powiedział, wnosząc oba talerze do salonu.

Kobieta spojrzała na niego, wzięła talerz i popatrzyła na to, co było na nim.

– Tak, Piotrusiu, zrobiłam twoje ulubione klopsiki – powiedziała, rozpoznając kształt mięsnych kulek.

– Dziękuję, mamo, jesteś kochana. – Cmoknął ją w policzek i usiadł w fotelu obok, zabierając się do jedzenia.

– Właściwie, Piotrusiu, to mogłaby ci je już robić twoja żona, nie uważasz? – spytała. – Żeby matka gotowała takiemu staremu koniowi obiadki. Wstydź się – dodała całkiem poważnie.

– Wiem, mamo, wiem. – Zachował powagę. – Ciągle jeszcze nie trafiłem na odpowiednią kobietę, więc jesteś moją jedyną miłością.

– A fe! – oburzyła się. – Czy ty nie jesteś za bardzo wybredny?

– Skądże, nigdy! – mówił, połykając pierwszego klopsa.

– Chyba przestanę ci gotować, czas odciąć pępowinę, Piotrusiu.

W jej głosie nie było cienia żartu.

– Poszukam sobie jakiejś miłej dziewczyny, mamo. – Wzruszył ramionami. – Za jakiś czas.

– Ty już, synku, nie masz czasu! – Pokręciła głową. – Masz trzydzieści sześć lat, a ja czekam i na twoją żonę, i na wnuki. Chyba nie pozwolisz mi umrzeć bez tego?

– Nie umierasz, mamo.

– Ale mogłabym! – odparła i demonstracyjnie przewróciła oczami, opierając się przy tym o fotel tak, jakby właśnie zasłała. – Gdybym chciała, to umarłabym dzisiaj.

– Nie zostawisz mnie samego, prawda? – Udał zmartwionego.

– Będę musiała, inaczej na zawsze będziesz takim maminsynkiem, co nawet obiadu nie ugotuje.

Pomachała mu groźnie palcem przed nosem.

– Oj, mamo.

– Twój ojciec był taki sam, dopóki go wreszcie nie usidliłam – skwitowała. – A właśnie, gdzie on jest? Znowu spóźnia się na obiad?

– Hm... Nie pamiętasz, mamo? – Piotr wyprostował się i przyjrzał się jej uważniej.

Starsza kobieta przez chwilę zastanawiała się nad czymś, a potem nagle jej twarz się rozpromieniła, a ona zaczęła się histerycznie śmiać.

– Pamiętam, pamiętam! – zawołała z entuzjazmem w głosie. – Umarł przecież, ha, ha!

Piotr poczuł, jak klops staje mu w gardle, a jego mama tak się śmiała, aż łzy popłynęły jej z kącików

oczu. Cała twarz trzęsła jej się tak, że dosłownie widział, jak podskakują wszystkie zmarszczki.

– Wziął i sobie umarł! – powtarzała, zanosząc się.

– Właśnie... – wykrztusił.

– Przynieś mi w takim razie jego klopsy. – Śmiała się dalej. – Przecież narobiłam ich więcej.

Piotr nie wytrzymał i parsknął.

Spojrzał na wiszący za plecami matki portret ojca i był pewien, że gdyby ten żył, to tak by mu teraz zasunął w łeb, że spadłby z tego fotela.

Rozdział VI



5 lipca

Piątek

Maks schował się za firanką w jednym z pokoi ich domku letniskowego i starał się, żeby sąsiad od rottweilera go nie zauważył. Wstał dzisiaj bladym świtem i zgodnie z umową, którą zawarł z Dawidem, poszedł obserwować sąsiedni domek. Mama jeszcze spała, więc przemknął do pokoju na tyłach i ostrożnie zamknął za sobą drzwi. Z okna wszystko było widać niemal idealnie. Maks liczył wprawdzie, że nie zobaczy tego mężczyzny i będzie mógł bez okłamywania powiedzieć, że go nie było, ale niestety był.

Zbigniew Zarada, bo tak nazywał się sąsiad, czego Dawid dowiedział się jeszcze wczoraj od swoich rodziców, wciągał właśnie do wnętrza domku podejrzanie gruby worek. Maks nie widział, co to było, ale dałby sobie odciąć rękę, że to ciało zawinięte w wór albo w dywan. Nerwowo przełknął ślinę i miał nadzieję, że jest schowany na tyle dobrze, iż mężczyzna go nie zauważy. Na zewnątrz wisiała lekka mgła, ale odległość między ich domkami była na tyle niewielka, że przypatrywał się z uwagą i starał się wszystko zapamiętać.

Zarada schował worek w środku, a potem wyszedł na zewnątrz i stanął na trawie. Rozejrzał się wokół, sięgnął po siatkę leżącą na zewnętrznym stoliku i wyjął z niej duży kawał czegoś ociekającego wodą. Maks włączył telefon, przyłożył kamerę do okna i zrobił zooma, żeby lepiej widzieć. Dopiero wtedy zorientował się, że to coś było kawałkiem mięsa i wcale nie ciekła z niego woda, a krew.

Wstrzymał oddech i poczuł, że serce bije mu szybciej. Z wnętrza domku wynurzyła się głowa dyszącego rottweilera, który na ruch ręki Zarady od razu usiadł na tylnych łapach. Pies wbił w mężczyznę spojrzenie, a ten rzucił mu trzymany w ręce kawał mięsa. Bydlę natychmiast dorwało się do niego swoimi zębami, zaczęło szarpać, rozrywało go na kawałki i połykało poszczególne części prawie w całości. Maks wyobraził sobie, co ten pies mógłby zrobić z nim i z jego mamą, i od tego myślenia cały zdrętwiał. Zrobił telefonem kilka zdjęć tej okropnej sceny i jeszcze bardziej ukrył się za firanką. Wcale nie podobało mu się to, co zobaczył, ale wiedział już, że ten człowiek jest niebezpieczny.

Dawid miał rację. Kto normalny rzuca psu surowe mięso do rozszarpania? I dlaczego robi to wtedy, kiedy wszyscy śpią? I... co było w tym worku, który wtaszczył do domku letniskowego?

Maks czuł, że dzieje się tutaj coś niedobrego. I oni musieli odkryć co.

Martyna otworzyła oczy i spojrzała na stojący obok zegarek. Siódma rano. Przeciągnęła się i zaczęła ziewać, a później stwierdziła, że chyba i tak już nie zaśnie. Zza okna wpadały do środka promienie słońca i delikatnie muskały jej twarz, dając sygnał, że mogłaby skorzystać z pogody, a nie wygrzewać się w pościeli. Wstała z łóżka, cicho zajrzała do pokoju Maksa i zobaczyła, że jej syn smacznie śpi. Wróciła do sypialni, ubrała się w strój kąpielowy i bosą, na palcach wybiegła z domku. Miała piekielną ochotę popływać w jeziorze. Tylko ona i zimna woda opływająca ciało na dzień dobry. Zbiegła z niewielkiego wzniesienia, na którym stał ich domek, szybko przeszła przez plażę i zamoczyła stopy w jeziorze.

– Brrr. – Wzdrygnęła się, a potem nie czekając, aż przez chłodną temperaturę zdąży się rozmyślić, energicznym krokiem weszła na pomost i ruszyła na sam jego koniec.

Złapała się drabinki i szybko weszła do wody. Po chwili machała już mocno ramionami, zanurzając głowę i co sił wprawiając ciało w rozgrzewający ruch. Po niecałej minucie woda zdawała się już ciepła, więc

obróciła się na plecy i spokojnie płynąc, podziwiała bezchmurne niebo.

Ogarnęło ją to cudowne uczucie wolności i przygody. Nie jakiś tam zimny prysznic w łazience zamkniętej w blokowisku, ale swoboda przestrzeni, głębia pod plecami i ogrom wody. Tylko dla niej. Odwróciła się i zanurkowała.

Pod wodą powoli otworzyła oczy i zdała sobie sprawę z tego, że woda bez chloru wcale nie szczypie. Przyzwyczała oczy do nowego środowiska i spojrzała w dół. Głęboko pod nią, jak na dłoni widać było rosnące na dnie rośliny i pływające wokół nich rybki. Woda w niesulickim jeziorze miała niesamowitą przejrzystość – szczególnie wtedy, gdy nie mąciły jej jeszcze tłumy oszalałych dzieciaków skaczących z pomostu. Zachwycona widocznością podwodnych roślin, nabrała ochoty, żeby ich dotknąć. Spróbowała zanurkować głębiej i chwycić jedną, ale musnęła ją tylko palcami i potrzebowała się wynurzyć dla złapania oddechu. Kiedy poczuła, że jest już nad powierzchnią, odetchnęła i pomyślała, że musi gdzieś w okolicy kupić dla Maksa maskę do nurkowania albo okulary. Widok pod wodą po prostu oszalał.

Odwróciła się i chciała znów zanurkować, ale usłyszała gdzieś z tyłu charakterystyczne pluski.

Spojrzała w tym kierunku i zauważyła, że w wodzie nie jest już sama. Kawałek dalej jakiś pływak urządzał sobie właśnie sprint kraulem. Jego ramiona lekko wchodziły w wodę, ale tempo, w jakim to robił, naprawdę jej zaimponowało. Sama kraulem pływała rzadko, zbyt ją ten styl męczył, ale podziwiała tych, którzy potrafią go utrzymać w takiej prędkości. Mężczyzna mknął w stronę dalszej części jeziora, więc obserwowała go jeszcze chwilę, a potem zanurkowała, żeby znów podziwiać dno.

Dziesięć minut później zadowolona wspięła się na drabinę, uznając, że czas wracać do domku i przygotować synowi śniadanie. Czuła, jak przepływa przez nią dobra energia, i wiedziała już, że tak właśnie musi teraz zaczynać każdy dzień. Coś pięknego. Energicznym krokiem ruszyła przez pomost w stronę plaży.

– Haaalo! – Usłyszała z tyłu męski głos. – Martyna?

Odwróciła się zdziwiona i zobaczyła, jak do skraju pomostu, na samym jego końcu podpływa facet od kraula.

– Zaczekaj! – krzyknął, a ona dopiero teraz rozpoznała w nim Piotra Kandę.

A ten, co tu robi o tej porze? Zdziwiła się i patrzyła, jak chwyta drabinę i powoli się po niej wspina. Zatrzymała wzrok na jego umięśnionym torsie i wyrzeźbionym prawie na płasko brzuchu. Bez dwóch zdań facet trzymał formę. Kanda stanął na pomoście w mokrych, granatowych kąpielówkach i zaczął iść w jej kierunku. Przeczesał ręką włosy i za chwilę stał już przy niej.

– A ty co tu robisz o świcie? – spytała, bez pardonu obcinając jego sylwetkę.

– Cześć! – odparł. – Chciałem do was zajrzeć przed pracą, ale widziałem, że jest trochę za wcześnie, więc skoczyłem popływać – wyjaśnił.

– Niezły kraul – rzuciła z uznaniem. – Podziwiałam podczas nurkowania.

– Dzięki, musiałem się rozgrzać, woda jeszcze wcale nie jest taka ciepła. – Uśmiechnął się, a potem zsunął wzrok na jej nogi, kostium i piersi. – Niezłe ciało – dodał.

Martyna zaśmiała się i pokiwała mu palcem przed nosem.

– No, no, widzę, że nie owijasz w bawełnę.

– A ja widzę, że wcale ci to nie przeszkadza – odparował.

– Jestem łasa na pochlebstwa, przyznaję.

Uniosła kąciki ust i mrugnęła do niego.

– Rozumiem, że to zaproszenie na śniadanie? – spytał, a potem wysunął rękę i odgarnął jej do tyłu mokre włosy przyklejone do ramienia.

– Końskich zalotów ciąg dalszy? – spytała.

– Dopiero się rozkręcam – odpowiedział i zrobił krok w jej kierunku, tak, że jej biust prawie dotykał jego klatki piersiowej. – Nie spodziewałem się z rana takich widoków, liczyłem raczej, że zobaczę cię w poroziąganej piżamie.

– Rozczarowany?

Piotr spojrzał na jej biust kusząco opięty górą stroju kąpielowego i wypatrzył nad nim jakąś kroplę. Dotknął jej palcem tak, że spłynęła między piersi kobiety, a później jego palec zsunął się lekko, jakby idąc jej śladem.

– Wręcz przeciwnie – odparł. – A teraz uważaj, złapię cię w pasie i będziemy się całować.

Martyna parsknęła śmiechem i od razu zrobiła krok w tył.

– Żeby nie czasem – rzuciła. – Teraz to możesz najwyżej pomóc mi w śniadaniu.
– Zgroza. – Mężczyzna opuścił ramiona, udając rozczarowanie. – A mogło być tak pięknie! Wszystko popsułaś, kobieto.

– Słyszałeś, że na przyjemności trzeba sobie zasłużyć?
– Serio? To jakaś brednia – rzucił. – Z przyjemności się korzysta.
– Jak się zasłuży.

Mrugnęła i odwróciła się do niego plecami, idąc żwawo w stronę plaży.

– Nie masz litości. – Usłyszała jego głos.

Trzymał się tuż za nią.

– Straszne, prawda?

– Okrutne. Ale uznam, że po prostu w taktowny sposób chciałaś mi pokazać swoje pośladki – zażartował, uważnie się im przyglądając.

– Masz tupet. – Zaśmiała się, nie zwalniając kroku.

– Powiedz mi, w tych Katowicach wszystkie księgowo mają takie zgrabne pupy?

– No proszę, zapamiętałaś, że jestem księgową?

– Sprytna zmiana tematu. – Kanda nadal patrzył na jej pośladki. – Maks mówił o tym na obiedzie w restauracji, a ja umiem słuchać.

– Jestem pod wrażeniem.

Martyna odwróciła się przez ramię i krótko na niego spojrzała, rejestrując, gdzie teraz błądzi spojrzeniem. Ewidentnie obcinał jej tyłek. Co gorsza, sprawiło jej to przyjemność, więc w duchu musiała przyznać, że brak mężczyzny źle na nią działa.

– To jak? – ciągnął Piotr. – Mają?

– Nie wiem, nie oglądałam wszystkich pośladków koleżanek po fachu – odparła.

– Chwila, chwila! – Piotr przyspieszył, zrównał się z nią i obok siebie zeszli z pomostu na plażę. – To znaczy, że jednak jakieś widziałaś? – zaciekał się.

– Pewnie. – Wzruszyła ramionami.

– Moja fantazja zaraz oszaleje. – Podekscytował się. – Oglądałaś nagie, damskie pośladki?

Martyna miała ochotę go pacnąć, ale się powstrzymała.

– A co, marzą ci się dwie kobiety w sypialni?

– Nie będę ukrywał, ale każdy facet o tym marzy – przyznał z ekscytacją w głosie.

– Bo żaden nie wie, że dwóm kobietom nie dałby rady zrobić dobrze – parsknęła.

– Ej! Wątpisz w moje możliwości?

– Raczej znam możliwości i potrzeby kobiet. Dwie na jednego to taka męska mrzonka. Sorry.

– Rujnujesz moje marzenia.

Byli już prawie pod domkiem, więc Martyna dała mu znać, że wchodzi w etap „nie przy dzieciach”. Piotr kiwnął głową ze zrozumieniem, a kiedy ona weszła na schodki prowadzące na taras, przyspieszył kroku tak, żeby móc swoim ciałem dotknąć jej ciała. Jego klatka piersiowa przylgnęła na chwilę do jej pleców, a on objął ją w pasie i zatrzymał. Martyna poczuła na pośladkach zdecydowane wybrzuszenie jego kąpielówek i zrobiło jej się gorąco.

– Ej... – powiedziała, odwracając się do niego twarzą i wymownie zerkając na jego spodniki. – Marsz do łazienki i zrób z tym coś!

– Ojej, jak to się mogło stać? – Przyłożył rękę do ust i udał zszokowanego.

– Sio! – zarządziła, śmiejąc z niego.

Gdy weszli do domku, Martyna od razu pokazała mu palcem drzwi łazienki. Piotr zniknął w środku, a ona z idiotycznym uśmiechem na ustach poszła nastawić kawę.

Przez moment przeszło jej przez myśl, że zwariowała, czując w sobie taką ekscytację z samej jego obecności, słów i gestów, ale potem machnęła na to ręką. Nie była już nastolatką, która musi się krygować na to, że coś ją oburza, jeśli nie oburza. Ba! Tym bardziej że podobało jej się to, co się między nimi dzieje, i potrafiła się do tego przyznać.

Wyjęła z lodówki jajka, mleko, masło i pomidory, a potem sięgnęła po chleb. Woda w czajniku już bulgotała, kiedy Piotr wyszedł z łazienki i oznajmił, że zostawił swoje ubrania na plaży. Wybiegł z domku, mówiąc, że za trzy sekundy wraca, a ona patrzyła przez okno, widząc, że rzeczywiście się spieszy. Biegł w

kąpielówkach, co chwilę trafiając na szyszki i podrygując przy tym boleśnie. Śmiejąc się z niego, zalała kawę i napiła się, czując, jak napój przyjemnie ją rozgrzewa. Potem cofnęła się do łazienki, zdjęła mokry kostium, pobieżnie wytarła się ręcznikiem i włożyła T-shirt oraz krótkie spodenki. Kiedy wróciła do kuchni, Piotr już przechylał do ust kubek z kawą. Był ubrany w długie spodnie z jakiegoś brązowego materiału i białą koszulkę z kołnierzykiem.

– Elegancik – zauważyła.

– Masz tu patelnię? – spytał tak lekko, jakby sam tutaj mieszkał.

Martyna wskazała mu palcem szafkę. Pomyślała, że ta znajomość jest jednak dziwna. Kilka dni temu mało jej nie zabił, a teraz podrywa i jeszcze zamierza coś ugotować? Szybko.

– Jestem mistrzem omletów, masz chęć? – spytał.

– Jasne. Jestem wszystkożerna – odparła, chwytając kubek i obejmując go dłońmi.

– Dobra, to szykuj się na zajebiste danie popisowe skończonego singla – oznajmił i znalazł sobie wolną miskę. – Jajka?

– Tam po prawej, na blacie.

Maks przebudził się i usłyszał głosy dochodzące z kuchni. Od razu przeszły go ciarki, bo pomyślał, że Zbigniew Zarada dostrzegł go z rana w oknie i przyszedł teraz do mamy na skargę. Wytężył słuch, a kiedy upewnił się, że rzeczywiście słyszy głos mężczyzny rozmawiającego z mamą, wstał, podkradł się do drzwi i cichutko je uchylił. Odetchnął z ulgą, widząc, że to facet od golfa, a nie podejrzany sąsiad z psem, i od razu wysunął się z pokoju, ruszając do kuchni. Stał w przejściu i patrzył, jak mama się śmieje, popijając kawę, a mężczyzna w tym momencie podnosi patelnię, podrzuca jej zawartość i łapie z powrotem spadający spod sufitu placek.

– O wow! – wyrwało mu się.

Mama i Piotr od razu na niego spojrzeli.

– Cześć, Maks! Wstałeś idealnie na śniadanie – odezwał się mężczyzna. – Lubisz omlety?

– Yyy, chyba tak, ale mama rzadko robi – przyznał i podszedł bliżej.

Piotr zgromił Martynę spojrzeniem, jakby chciał spytać, jak może nie robić mu omletów, a potem dyskretnie do niej mrugnął.

– Pan Piotr zaoferował się dzisiaj robić dla nas za kucharza – wyjaśniła.

– Fajnie. – Maks wskoczył na krzesło przy stole i złapał widelec. – To pierwszy dla mnie.

– No co ty, chłopie? – Piotr pokręcił głową. – Pierwsze jedzą kobiety – dodał.

Przerzucił gotowy omlet na talerz i podał go Martynie.

– Eee? Do kitu – skrzywił się Maks. – Zawsze pierwsze jedzą dzieci.

– Dobra, dobra, ale jakie z ciebie dziecko? – Piotr uniósł brwi. – Chodź, pomożesz mi z drugim? – spytał.

– A mogę przerzucić?

– Jasne, pokażę ci, co i jak.

Maks ochoczo zsunął się z krzesła i podszedł do Piotra, a Martyna zdziwiona tym, że tak łatwo udało jej się dostać pierwszego omleta, zaczęła jeść.

– Niezły! – rzuciła po pierwszym kęsie.

– No oczywiście, ja robiłem. – Piotr od niechcenia wzruszył ramionami.

Martyna z zaciekawieniem patrzyła, jak mężczyzna tłumaczy Maksowi, w jaki sposób przerzucać omlet. Dałaby sobie uciąć głowę, że takie rzeczy robi się tylko z naleśnikami. Kiedy jej syn chwycił patelnię, poczuła nadchodzącą katastrofę. Piotr policzył do trzech, a potem Maks z energią wyrzucił omleta do góry. Martyna patrzyła tylko, jak mokry placek leci pod sufit i z charakterystycznym plaśnięciem do niego przywiera.

– Ups. – Maks zaczął się śmiać, a potem odsunął się o krok, a omlet wylądował tuż pod jego nogami.

– Bardzo dobrze! – rzucił niezarażony tym Piotr. – Każdy fachowiec zaczyna od sufitu, zaraz spróbujemy ponownie.

Maks miał, zdaje się, niezły ubaw, bo tylko przesunął stopą mokrą ciapę na podłodze i zerkając na postawioną na gazie patelnię, czekał na kolejną próbę. Martyna bąknęła coś o sprzątaniu, ale oni nic sobie z tego nie robili. Po kilku minutach drugi omlet był gotowy.

– Dobrze, Maks, teraz podrzut o połowę słabiej – zarządził Piotr.

– Tak jest!

Chłopiec złapał uchwyt i znów wykonał wyrzut do góry. Tym razem omlet pięknie obrócił się w powietrzu, a potem idealnie wylądował na patelni.

– Haaa! – Z ust dwunastolatka wyrwał się okrzyk dumy. – Udało się!

– Brawo – pochwalił Piotr i postawił patelnię na palniku. – Ten jest twój, a potem przyjdiesz przerzucić mojego, okej?

– Ba!

Martyna patrzyła na tę scenkę z uśmiechem i pomyślała sobie, że tego właśnie na co dzień brakuje Maksowi. Dorosłego faceta. Zastanowiła się przez moment, jak dzisiaj wyglądałby jej mąż i czy również nauczyłyby go czegoś takiego? Może chodziliby razem do kina, na kręgle albo znaleźli wspólny sport? Potrząsnęła głową, chcąc odsunąć od siebie te myśli. Miliony matek samotnie wychowują swoje dzieci i jedyne, co mogą, to cieszyć się od czasu do czasu takimi „okazjami”. Wujek wpadający w odwiedziny, sąsiad, kolega z pracy, facet, który o mało nie zabił jej na drodze. Małe męskie przerywniki, które dla dzieci mają znaczenie.

Maks usiadł przy niej, spróbował swojego omleta i napchał sobie nim policzki. Kiedy Piotr zawołał go do przerzucenia jego porcji, Martyna sięgnęła po swój telefon i sprawdziła, czy nie otrzymała żadnej wiadomości z pracy. O dziwo, szef nie dzwonił, ale jeden z SMS-ów sugerował jej konieczność sprawdzenia maila. Zalogowała się na pocztę i zanim otworzyła wiadomości, zobaczyła kątem oka, jak Maks bezbłędnie przerzuca następny placek.

– Nooo, chłopie! – pochwalił go Piotr. – Teraz możesz strzelać omlety codziennie.

– Dzięki! – Maks uśmiechnął się i razem wrócili do stołu.

Kiedy siedzieli już i jedli, Martyna szybko odpisała na maile i wróciła do swojej kawy.

– A pan ma dzieci? – zapytał nagle Maks.

– Jeszcze się nie dorobiłem. – Piotr rozłożył ręce.

– A to dobrze, podobno to same problemy – dodał chłopiec, a Martyna mało się nie zakrzuszyła. – To może pan do nas wpadać i robić śniadania, jak pan chce, żeby sobie poćwiczyć – dokończył, uśmiechając się podstępnie.

– Cwany jesteś.

– Muszę. Mama mówi, że trzeba sobie radzić – odparł rezolutnie.

– I nieźle ci to idzie – potwierdził Kanda. – To jak, może skusisz się dzisiaj na golfa? Dam ci wycisk i sprawdzimy, czy jesteś lepszy niż stare dziadki.

Maks wydał usta, jakby to było oczywiste.

– Dziadki nie mają ze mną szans.

– Zakład? – Piotr mrugnął okiem.

– O co?

– Jak będziesz cieńszy niż dziadki, to wypucujesz mi auto łącznie z oponami. – Zaśmiał się. – A jak będziesz lepszy, to zabiorę was jutro na wycieczkę do miasta i stawiam McDonalda.

– Uuu – jęknął Maks. – Już pan przegrał. Podwójne duże frytki, Big Mac, cola i lody.

– Pożyjemy, zobaczymy.

Piotr wymownie przewrócił oczami, wcale nie dowierzając możliwościom chłopca.

– To kiedy ten golf?

– Po śniadaniu? Chyba że wymiękasz?

– Stoi! – Maks wyciągnął rękę przez stół i przybił zakład uściskiem dłoni. – Mamo, jesteś świadkiem. Wykończę mu portfel – dodał.

Martyna patrzyła na to wszystko, jakby nikt nie wziął tu jej zdania pod uwagę, ale szczerze mówiąc, podobała jej się ta scenka. Maks niby taki duży, a dał się zapędzić w róg jak dziecko.

– Okej, jestem świadkiem. – rzuciła, a Piotr spojrział na nią tymi swoimi wielkimi oczami i mrugnął porozumiewawczo.

Późnym popołudniem, kiedy Martyna wróciła razem z Maksem do ośrodka wypoczynkowego, jej syn

wyglądał tak, jakby wygrał los na loterii. Wysiadł z auta niemalże w glorii wiekopomnego zwycięstwa. Piotr, który pokazywał mu, jak uderzać piłkę na strzelnicy musiał – oczywiście z wielkim bólem – przyznać, że jej dziecko jest dużo lepsze niż „dziadki” i ma potencjał, żeby zostać dobrym golfistą. Martyna nie do końca wiedziała, jak Maksowi udało się kilka razy uderzyć piłkę dalej niż jej, ale zrobił to, więc teraz puchł z dumy.

– No to załatwiłem nam jutro obiad! – mówił, szczerząc zęby. – Dobry jestem, co?

– Świetny – odpowiedziała. – Tylko jako syn księgowej mogłeś wybrać jakąś inną restaurację niż ten cały McDonald.

– Raz się żyje! – zakrzyknął wesoło i mówiąc, że biegnie do Dawida, zostawił ją samą jeszcze na parkingu.

Martyna z szerokim uśmiechem pomaszzerowała do domku zrobić sobie kawę. Miała sporo wrażeń jak na jeden dzień. Spojrzała na zegarek i zauważyła, że dochodzi już siedemnasta. Poranne pływanie, śniadanie z Piotrem, golf, obiad w restauracji – sama nie wiedziała, kiedy ten czas zleciał. Zanim otworzyła domek i zajrzała do środka, usiadła na ławce i wyciągnęła telefon.

Dziękuję za dzisiaj, Piotr. Maks był zachwycony.

Napisała wiadomość i wysłała na zdobyty w czasie lekcji golfa numer Kandy.

W zasadzie... nie musiała go nawet zdobywać, bo on sam niemalże jej go wcisnął.

Dopiero wtedy otworzyła domek, weszła do kuchni i nastawiła czajnik. Zerknęła w stronę domku Kiełbasów i zauważyła, że Maks i Dawid już gdzieś razem biegną. Obaj wyglądali tak, jakby skradali się za drzewami. Przyjrzała się im i uniosła brwi ze zdziwienia. Jej syn miał ostatnio niespożyte siły i co ciekawe, wcale nie wisiał na smartfonie tak często, jak zakładała przed wyjazdem, ale żeby bawić się ze starszym kolegą w podchody? Tego się nie spodziewała. Wzruszyła ramionami i z kubkiem gorącej kawy poszła nad jezioro.

Do plaży było tak blisko, że miała ochotę napić się, mocząc stopy w wodzie. Ostrożnie przemknęła brzegiem, tak, żeby nie wylać na nikogo zawartości parującego kubka, a potem weszła na długi, rozgałęziający się w różne strony pomost i wypatrzyła dla siebie wolne miejsce w jednym z jego brzegów. Doszła tam i usiadła na deskach, zsuwając nogi do jeziora. Poczowała przyjemny chłód na stopach i obserwując kąpiące się dzieciaki, powoli piła kawę.

Zapewne, gdyby wiedziała, że w tej samej chwili jej syn razem ze swoim kolegą okrążają właśnie dom Zbigniewa Zarady i zaglądają przez okna, żeby upewnić się, czy nie ma tam czegoś podejrzanego, to nie siedziałaby na pomoście taka spokojna. Wcześniej zgłosiła na policję sytuację z psem tego człowieka i poinformowała o wszystkim ośrodek, ale ponieważ nic się nikomu nie stało, a Zarada rzadko wychodził ze swoich czterech ścian, to i nie mogli mu niczego zrobić. Policjant pouczył go wprawdzie o konieczności zakładania psu kagańca w przypadku puszczenia luzem takiego zwierzęcia, ale cała sprawa nie skończyła się innymi konsekwencjami. Nieświadoma więc tego, co teraz robi jej dziecko, relaksowała się na pomoście, sącząc kawę i przypominając sobie wszystkie miłe gesty, jakie robił dzisiaj w jej kierunku Piotr Kanda.

Jego zainteresowanie wręcz jej schlebiało.

Kilka minut przed dziewiętnastą, kiedy Martyna siedziała na tarasie i czytała książkę, usłyszała za domkiem awanturę. Ktoś silnym, męskim głosem darł się na kogoś niemiłosiernie, a jakieś dzieciaki krzyczały, żeby puszczał, że mu nie wolno i tak dalej. Zaniepokojona, podniosła się z ławki i zerknęła na prawo, ale z tej pozycji nie widziała kompletnie nic. Dopiero po chwili, kiedy wrzeszczące osoby zaczęły się zbliżać, rozpoznała, że jedną z nich jest Maks. Na jej przedramionach z miejsca wystąpiła gęsia skórka.

Wyczuła, że syn jest przestraszony.

Szybko zbiegła po schodkach, ale zanim zdążyła skrócić na tyły domu, wyrosła przed nią sylwetka porządnie wkurzonego Zbigniewa Zarady. Mężczyzna trzymał za ucho jej krzyczącego syna i ciągnął go tak w jej kierunku.

Martyna poczuła, jak krew podchodzi jej do twarzy i wyskakuje na policzki.

– Niech go pan puści! – warknęła. – Co tu się dzieje?!

Zarada puścił ucho Maksa i pchnął go w jej stronę.

– Niech pani pilnuje tego bachora! – wydarł się. – Od godziny łazi mi pod oknami, zerka do środka, puka i denerwuje psa! Ma pani szczęście, że go nie spuściłem!

– Co pan opowiada, do cholery? Jakim prawem szarpie pan za ucho moje dziecko? – Martyna coraz

bardziej podnosiła głos. – Wszystko w porządku, Maks? – Odwróciła się do syna, ale on tylko schował się za jej plecami.

– Prawem świętego, kurwa, spokoju! – odburknął Zarada. – Odpoczywam tu tak samo jak pani, a ten szczył razem ze swoim kolegą puka mi w okna i rozdrażnia psa! Mam dość! Mało pani problemów? Kupiłem psu kaganiec po tym, jak doniosła pani na policję, nie rzucam się w oczy i nie przeszkadzam, więc o co, do ciężkiej cholery, wam chodzi? Mam zgłosić do opieki społecznej, że nie radzi sobie pani z tym bachorem? – Zarada wyrzucał z siebie zdanie po zdaniu, nie dając jej dojść do słowa.

– Moje dziecko nie jest bachorem i proszę nas nie obrażać – powiedziała stanowczo, a potem wyciągnęła Maksa za ramię zza swoich pleców. – Przeszkadzałeś temu panu i budziłeś mu psa? – spytała.

– Nie! Mamo! – zaprotestował Maks. – On jest niebezpieczny! Na pewno ma coś na sumieniu, wiemy to z Dawidem i chcieliśmy sprawdzić, co ukrywa – powiedział tak szybko, że mało z tego zrozumiała.

– Co ty wygadujesz, Maks? – zapytała, a po minie Zbigniewa Zarady widziała, że facet jest o włos od rzucenia się na nią z rękami.

– Ja widziałem dzisiaj, jak rzucał psu zakrwawione mięso! – wyjaśnił Maks. – Mamo, posłuchaj mnie, on chyba kogoś zabił!

– No ja pierdołę... – wysyczał Zarada i przyłożył sobie rękę do czoła, jakby nie wierzył w to, co słyszy. – Czy ciebie, szczyłu, powaliło?!

– Mamo! – Maks patrzył na nią z rozpaczliwą miną.

– Po co pukałeś w okna, Maks? – Martyna cały czas starała się dowiedzieć, co tak naprawdę się stało.

– Oj, nie pukałem! Sprawdzaliśmy, czy nie ukrył tam zwłok, potknąłem się o kamień i niechcący walnąłem czołem w szybę – tłumaczył. – Wtedy pies się zerwał i zaczął szczekać.

Martyna odetchnęła ciężko i nie wiedziała, co powiedzieć.

– Zwłok? – odezwał się Zarada. – Co za filmy pozwala mu pani oglądać, że wymyśla takie bzdury?! To niepedagogiczne!

– No pan to chyba akurat nie ma żadnego prawa, żeby mi mówić, co jest pedagogiczne, a co nie – zirytowała się.

– Ktoś musi pani powiedzieć, bo to woła o pomstę do nieba – warknął. – Zgłoszę to dziś na policję, to jest próba nękania!

– Niech pan zgłosi – wtrącił się Maks. – Wtedy przeszukają pana dom i znajdą tego trupa! – krzyknął zdenerwowany. – Mamo, dzwoń na policję!

Zarada znów dotknął czoła i pukał się w głowę, słysząc, co ten chłopak wygaduje.

– Surowe mięso to element diety psa – powiedział ostro, siląc się jednak na wyjaśnienie, chociaż do stracenia panowania nad sobą dużo mu nie brakowało. – Kupiłem je w sklepie, pies zżarł i już go tam nie ma. To nie były żadne zwłoki!

– Można rozkroić psa i przez DNA sprawdzić, czy nie zjadł człowieka! – upierał się Maks. – Widziałem to w jednym filmie, nie ukryje pan prawdy!

Martyna słuchała własnego syna i nie wierzyła, że on to naprawdę powiedział.

– Mamo! To morderca, na pewno! – ciągnął chłopiec, który był już bardzo pobudzony.

– Maks, idź do swojego pokoju – zażądała stanowczo.

– Ale, mamo! Dawid to potwierdzi, mówię ci!

– Do pokoju! – Podniosła głos.

Maks burczał coś pod nosem, ale powoli ruszył do domku.

– Pani z nim do lekarza pójdzie, to dziecko jest nienormalne! – wtrącił Zarada. – Dlatego nienawidzę dzieci. Wszystkie są nienormalne, żadnej odpowiedzialności! – Nakręcał się.

– Panie Zarada – zaczęła Martyna, starając się go nie uderzyć. – Nie obchodzi mnie, czy pan lubi dzieci, czy nie, ale nie ma pan prawa ani dotykać, ani bić cudzych, rozumiemy się? – spytała. – Jeśli Maks ponownie będzie panu zakłócał spokój, to proszę mi o tym powiedzieć bez scen. Inaczej do końca urlopu będziemy się spotykać na policji.

– Niech się pani zajmie wychowaniem syna, to będzie spokój – burknął pogardliwie. – Ma złe wzorce!

– Sam pan masz złe wzorce! – wysyczała.

Zarada odwrócił się i ruszył w stronę swojego domu.

– Jeszcze raz, kurwa! – zawołał na odchodne. – Jeszcze raz i spuszczę psa!

– Takie groźby są karalne! – krzyknęła za nim, ale już nawet na nią nie spojrział.

Dopiero wtedy Martyna zauważyła, że ich rozmowę słyszała Monika Kielbasa, która już od jakiegoś czasu stała na tarasie swojego domku i obserwowała sytuację.

Kiedy Zarada zniknął, kobieta zawołała Dawida, który zdążył schować się w swoim pokoju, i razem z nim przysłała do Martyny.

– Słyszałaś to? Co za gość! – Martyna patrzyła na nią i kręciła głową z niedowierzaniem.

– Masakra, a mógłby się wydawać takim sympatycznym dziadkiem – odpowiedziała. – Dawid idź do Maksa, zaraz przyjdziemy do was na rozmowę – powiedziała do syna i kiedy zniknął, spojrziała na Martynę. – Co z tym robimy? Zgłaszamy?

– Na policję? – Martyna podniosła brwi. – Coś mi się wydaje, że naszych chłopców poniosła fantazja. Surowe mięso i zwłoki? Wyglupimy się.

– Też się tego obawiam. – Monika skinęła głową. – Coś sobie nawbijali do głów i bawią się w Jamesa Bonda.

– Chyba w młodych skautów... – westchnęła Martyna, rozkładając ręce. – Nie znoszę tego faceta i chętnie bym się go stąd pozbyła, ale nie wiem, czy policja to dobry pomysł. Mogę co najwyżej zgłosić, że wytargał mi dziecko za uszy. I tak od awantury do awantury.

– Porozmawiajmy z nimi – zaproponowała sąsiadka. – Może uda im się wybić z głowy te pomysły?

– Ech, czarno to widzę.

Chcąc nie chcąc obie ruszyły do domku. Maks i Dawid siedzieli już przy stole w kuchni i patrzyli w ich kierunku z minami zbitych psów.

– Przegięliśmy? – spytał Dawid.

– I to mocno – powiedziały niemal jednocześnie.

– Mamo, ja to wyjaśnię – odezwał się znowu Dawid, który wprowadził zwiął wtedy, gdy Maksa dopadł Zarada, ale doskonale wszystko widział.

– Proszę i lepiej, żebyś miał dobre wyjaśnienie – odparła jego mama.

Chłopcy popatrzyli na siebie, a potem kiwnęli głowami, jakby już wcześniej coś między sobą ustalili.

– Po tym, jak Maks opowiedział mi o tamtym zdarzeniu podczas waszego spaceru na plaży, postanowiliśmy obserwować tego faceta. Ma groźnego psa i sam zachowuje się podejrzanie – zaczął Dawid. – Maks podglądał go dziś rano i naprawdę widział, że rzuca swojemu psu surowe mięso. Ono było całe we krwi, więc... – chrząknął – pomyśleliśmy, że może to było ludzkie mięso.

– Ale skąd w ogóle ten pomysł, Dawid? – Martyna patrzyła na nich z niedowierzaniem.

– Nie mamy dowodów. – Chłopiec wzruszył ramionami. – Ale wy nigdy nie miałyście, mamo, takiego przecucia, że coś tu nie gra? Że ktoś jest zły?

– Dawid! – Jego matka podniosła głos. – Ty masz czternaście lat, do diabła, powinieneś wiedzieć, że nie można oskarżać ludzi o morderstwo ot tak, bo mają dużego psa, przeklinają czy karmią go mięsem. Pomyślałeś o tym? – Kobieta patrzyła na niego rozczarowana.

– Czasem trzeba się słuchać intuicji – odparł. – Przepraszamy no, nie chcieliśmy takiej akcji, prawda, Maks?

Syn Martyny potwierdził, ale co ciekawe, już nie upierał się, że w domku Zarady na pewno są zwłoki. Jakby w ciągu tych kilku minut, kiedy byli sami, coś im się pozmieniało w głowach.

– Nie wolno wam go więcej zaczepiać ani śledzić – powiedziała Martyna. – Zrozumiano?

Ton jej głosu był bardzo poważny, już nie robiła sobie z tego żartów. Chłopcy spuścili spojrzenia i wbili wzrok w stół.

– Przepraszamy – powiedzieli zgodnie.

Martyna i Monika popatrzyły na siebie niepewnie. Wyszły na zewnątrz, zamknęły za sobą drzwi i usiadły przy stoliku na tarasie.

– Wierzysz im? – spytała Martyna.

– Za grosz. – Monika pokręciła głową. – Przepraszają tylko po to, żebyśmy im nie gędziły.

– I co z tym zrobimy?

– Nic. Będziemy im zajmować czas tak, żeby nikogo już nie szpiegowali.

– Nikogo to znaczy Zarady?

– Mhm.

Wewnątrz domku Dawid spojrzał na przybitego Maksa i poklepał go po ramieniu.

– Nie martw się – powiedział. – Dorośli nigdy tego nie rozumieją. Oni muszą mieć dowody, żeby uwierzyć własnym dzieciom.

– Tym razem musimy być... ostrożniejsi – wyszeptał Maks i sięgnął po leżące na stole ciastka. – Ten stary dziad na pewno znów nas nie przyłapie – dodał, wgrzyzając się w nadziany czekoladą kawałek pszenne wypieku.

– Jest stary. Popęlni błąd, zobaczysz.

– Mam nadzieję.

Dawid wpatrywał się w drzwi i czuł, że już wkrótce ich mamy ich za to przeproszą.

Rozdział VII



6 lipca

Sobota

– Wow! – jęknął Maks, wsiadając do samochodu Piotra Kandy i widząc wszędzie czarną skórę oraz ogniście czerwone dywaniki. – Wygląda jak bryka prosto z piekła – dodał.

Piotr uśmiechnął się, kazał mu zapiąć pasy i sprawdził, czy siedząca obok niego Martyna też się dobrze zapięła.

– Jaki właściciel, taka bryka – odpowiedział po chwili. – Podoba ci się?

– Pewnie! – Maks podziwiał kolory i rzucił okiem na wypasiony przód auta. – Tyle tych przycisków, to może i latać umie? – zapytał.

– Nie, aż taki bogaty nie jestem, żeby było mnie stać na latające samochody. – Piotr się zaśmiał.

Włączył silnik, który nie wydał prawie żadnego dźwięku, i ruszył z parkingu Kormorana. Auto jechało niemal bezgłośnie.

– Strasznie cichy – zauważyła Martyna.

– Tak, komfort jest kapitalny, ale są minusy – potwierdził Piotr.

– To już wiemy z autopsji – przypomniała. – Zupełnie cię wtedy nie słyszałam.

– Im dłużej nim jeżdżę, tym bardziej nie wiem, czy cieszyć się z tej cichej pracy, czy nie – stwierdził Kanda. – Zwierzęta też go nie słyszą, więc nie ukrywam, że czasem trafię jakąś zabłąkaną wiewiórkę... – przyznał szeptem, tak, żeby Maks tego nie słyszał.

– Straszne. – Martyna aż się skrzywiła.

W ciszy wyjechali na drogę, a kiedy minęli Niesulice i kolejne wioski, Piotr przyspieszył, wjeżdżając na szerszą trasę w kierunku Zielonej Góry.

– Proponuję najpierw Palmiarnię, a potem jak już trochę zgłodniejemy, to tego nieszczęsnego McDonalda, którego przegrałem z Maksem – powiedział.

Z tylnego siedzenia usłyszeli radosny rechot chłopca, który był z siebie bardzo zadowolony.

Wykazał się przecież na polu golfowym, zadziwił instruktora i zasłużył na nagrodę.

– A właściwie po co w Zielonej Górze jest ta palmiarnia? – zaciekawiła się Martyna. – Chyba jesteście wystarczająco zielonym województwem, więc po licha jeszcze palmy?

– Dla urozmaicenia – odparł. – A tak poważnie to fajna atrakcja turystyczna. Na wzniesieniu, wokół którego jest Park Winny i można popodziwiać ciągnące się winogrona, postawili taki wielki, szklany budynek z roślinami egzotycznymi – wyjaśnił. – Zimą tworzy ciekawy mikroklimat. Czujesz się jak w ciepłych krajach, a nawet możesz zjeść obiad pod palmami.

– Podają kokosy, ananasy i takie tam? – spytała Martyna.

– Nie wiem. Pewnie tak, ale obstawiam, że z puszek.

– Eeee – jęknęła. – Z puszek to mogę sobie w markecie kupić.

Martyna zapatrzyła się na drogę i podziwiała piękną pogodę. Słońce stało już wysoko na niebie, więc pomysł z wypadem do miasta, zwiedzaniem i odrobiną chemii żywieniowej w połowie urlopu całkiem jej się podobał. Spojrzała kątem oka na dłonie Piotra trzymające skórzaną kierownicę i zauważyła, że nawet paznokcie ma wypielęgnowane. Czyste, krótko obcięte, gładkie. Bez połamanych paskud i czarnych śladów brudu, które u mężczyzn dosłownie ją odrzucały.

– Mieszkaś w Zielonej Górze od zawsze? – zapytała.
– Tak, mam tu mamę i siostrę – odparł. – Ale często bywam w rozjazdach, no i nie w każdym sezonie udaje mi się dostać pracę na Kalinowych Polach, więc trochę kursuję po Polsce – dodał.
– Zazdroścę ci tu świeżego powietrza, u nas smog jest straszny.
– Jest czego zazdrościć, tu się zgodzę.
Wjechał na rondo, z którego skręcili na większy most.
– Daleko jeszcze? – spytał siedzący z tyłu Maks.
– Nie, dwadzieścia minut i będziemy. No, może piętnaście – odpowiedział Piotr. – A właśnie, słyszałem, Maks, że niezłe miałeś wczoraj spieście z sąsiadem?

Martyna skrótowo opowiedziała Piotrowi o wczorajszej akcji ze Zbigniewem Zaradą, kiedy jej syn w łazience akurat szykował się do wyjścia, więc mężczyzna był już w temacie.

– No. Nie ma o czym gadać – rzucił Maks. – Siary sobie narobiłem.
– Ale masz chyba zacięcie detektywistyczne, tak? – zaciekawił się Piotr.
– Sam nie wiem. – Chłopiec ściszył głos i dało się wyczuć, że nie chciał o tym rozmawiać. – Wyglupiłem się.

– Przynajmniej się nie nudziliście – mruknął Piotr i spojrzał krótko na Martynę, widząc po jej minie, że wcale jej to nie bawi. – No dobrze, dobrze, już przestaję – powiedział i zmienił temat.

Zanim zaparkowali pod zielonogórską palmiarnią, zdążyli już zapomnieć o Zaradzie, jego psie i strachu Maksa. Jechali autem i poruszali wyłącznie neutralne kwestie, dzięki czemu Martyna znów się wyluzowała i nie czuła już tej całej nerwówki, którą miała w sobie od wczoraj.

*

– Zobacz tutaj. – Piotr pokazał palcem na szklany szczyt w budynku palmiarni. – Musieli dobudować większy dach, kiedy jeden z ukrywających się tutaj dinozaurów, tych z długą szyją, o mało nie uciekł i wybił stary sufit głową – mówił.

– Yyy, co? – Maks patrzył na niego jak na wariata.

Stali właśnie na metalowej konstrukcji wewnątrz palmiarni i podziwiali gigantyczne rośliny, patrząc na nie z góry.

– No dinozaur, to przecież ich klimat – powiedział całkiem poważnie Piotr.

– Wkręca cię. – Martyna się zaśmiała.

– Wiem. – Maks wzruszył ramionami. – Ej! Ja nie jestem już dzieckiem, żeby łykać takie kity – dodał.

Piotr uśmiechnął się, ale tego nie skomentował, zresztą podobnie jak Martyna. Palmy rzeczywiście robiły wrażenie i można było sobie wyobrazić, że chodzą między nimi gigantyczne dinozaury, ale to była tylko fantazja.

– Ciekawe, czy mają długie korzenie – zaciekawił się chłopiec.

– Pewnie tak, taki kawał drzewa musi się jakoś trzymać w ziemi – powiedziała Martyna, a potem odwróciła się w stronę szklanej szyby i spojrzała na widok miasta z góry.

Panorama prezentowała się obłędnie.

– Idziemy na dół? – spytał Maks. – Chciałbym zobaczyć te palmy od dołu.

Zeszli powoli po schodach i za chwilę znaleźli się na najniższym poziomie, na którym między drzewami tropikalnymi rozstawione były stoliki tutejszej restauracji. Każdy przykryty eleganckim obrusem, zupełnie jakby to było miejsce jakichś wyższych lotów. Maks zszedł z wytyczonej ścieżki, podszedł do jednej z palm i już po chwili się o nią opierał.

– Hej, tak chyba nie można – zwrócił mu uwagę Piotr.

– Tylko moment, chcę sprawdzić, czy się nie wywali – odpowiedział Maks i zapał się z całej siły o pień, tak, jakby chciał go przewrócić.

– Maks! – upomniała go Martyna. – Chodź tutaj, bo zaraz zamiast burgerów wlepią nam mandat i nie dostaniesz nawet jednej frytki!

– Idę, idę – westchnął rozczarowany i zeskoczył z powrotem na posadzkę. – I tak mocno się trzyma, nie udałoby mi się jej wywalić.

– Twój syn ma destrukcyjne zapędy – stwierdził Piotr.

– Mhm. Nie podejrzywałam go o to.

Maks pobiegł do przodu i zerkał właśnie do sztucznie przygotowanych sadzawek, w których leniwie pływały pomarańczowe ryby. Zostawił mamę w tyle i pomyślał, że taką rybę mógłby tutaj złowić razem z Dawidem. To byłaby naprawdę niezła zdobycz. Rozejrzał się i zwrócił uwagę na kolejne sadzawki umieszczone kawałek dalej, a potem ruszył w ich kierunku. *Może mają tu też piranie?*

Kiedy stanął na podświetlanej ścieżce i zerkał do wody, chciał zawołać mamę i pokazać jej to miejsce, ale odwrócił się i zobaczył, że pan Piotr szepcze jej coś na ucho. Wyprostował się i patrzył, jak mama mu odpowiada, a potem śmieją się z czegoś w dziwny według niego sposób. Instruktor golfa przybliżył się do mamy coraz bardziej, a ona była w niego wpatrzona tak, że Maks chyba po raz pierwszy zdał sobie sprawę z tego, że nie patrzyła tak jeszcze na żadnego mężczyznę. Przynajmniej on tego nie pamiętał. Przeleciał w myślach różnych gości, którzy kręcili się koło mamy: jej szefa, współpracowników, pana hydraulika, który ostatnio naprawiał im kran. Na żadnego tak nie patrzyła. Zmarszczył brwi i zastanawiał się, co to znaczy.

Chciał iść do nich i zapytać, ale poczuł się tak, jakby mógł w czymś przeszkodzić, i nie był pewien, czy chce. Usiadł na ławce koło sadzawki i czekał, udając zainteresowanie rybami, ale jednocześnie zerkając w ich stronę.

– Zmęczony? – spytał Kanda, kiedy wreszcie oboje się do niego zbliżyli.

– Zjadłbym już coś.

– To co, jedziemy na te burgery? – Piotr spojrzał pytająco na Martynę, a ona kiwnęła głową.

Dwunastolatek podniósł się z ławki i obserwując ich teraz czujniej niż dotąd, ruszył w stronę wyjścia. Wyprzedził ich i wyszedłszy na zewnątrz, stanął przy aucie.

– A jego co ugryzło? – spytał Martynę Piotr.

– Pojęcia nie mam. – Kobieta wzruszyła ramionami. – Standardowe humorki.

– A... no tak. Wiesz, nie mam dzieci, to nie wiem, jakie tam mają odchyły.

– Ciesz się, czasem szczęka opada przy ich pomysłach.

– Wyobrażam sobie.

Piotr podszedł do samochodu i otworzył drzwi. Maks od razu umościł się na tylnych siedzeniach, a oni przeszli do przodu.

– McDrive czy wchodzimy do środka? – zapytał, żeby wiedzieć, gdzie podjechać, bo do McDonalda było stąd niedaleko.

– Ja bym tutaj zjadł, w aucie – powiedział Maks, wyobrażając sobie, jak sos z Big Maca kapie na czarną, skórzaną, czyściutką tapicerkę Piotra.

– Mówisz i masz, w końcu wygrałeś zakład.

Ruszyli spod palmiarni i po paru minutach zielonej fali świateł drogowych stali już w kolejce pod McDrive'em. Piotr zamówił wszystko, o co poprosili, a litania rzeczy wybranych przez Maksa nawet jego zaskoczyła.

– Serio to wszystko zjesz? – zapytał, gdy podjeżdżali do okienka z odbiorem zamówienia.

– No pewnie – prychnął Maks, jakby nie robiło to na nim żadnego wrażenia.

Pani z okienka zaczęła podawać im po kolei produkty zapakowane w papierowe torby, a Piotr przekazywał je Martynie i do tyłu, do Maksa. Zapłacił i zjechali na parking, żeby spokojnie zjeść ten jakże „pożywny” obiad.

Maks otworzył pudełko z Big Makiem i zobaczył, że z kanapki wypływa sporo sosu. Podniósł bułkę i ugryzł ją tak, że część mokrego dodatku zsunęła się prosto na siedzenie samochodu.

– Ups – powiedział. – Niechący!

Piotr spojrzał do tyłu, a potem jakby nigdy nie wcisnął sobie frytkę do ust.

– Luz, później się zetrze – rzucił lekko.

Maks zakładał trochę inną reakcję, ale cóż, chyba nie wyszło. Ugryzł kolejnych kilka razy, powodując jeszcze mocniejsze zaplamienie siedzenia i wtedy zobaczył, jak Piotr podaje mamie frytkę prosto do ust, a ona chichocze i ją od niego bierze. Śmiali się z przodu i najwyraźniej dobrze się ze sobą bawili. Z jednej strony był o to zły, a z drugiej cieszył się, że mama jest taka inna. Wesoła. I miał z tym problem.

– Ej! – Wreszcie nie wytrzymał. – Co się dzieje?

– Ale z czym? – spytała Martyna.

– No... – zaczął. – Z wami?

Oboje odwrócili się w jego kierunku i unieśli brwi, okazując zdziwienie.

– Pan podrywa moją mamę, tak? – zapytał wprost.

Piotr spokojnie przełknął frytkę i przyjrzał mu się uważniej, a potem zobaczył jeszcze bardziej poplamioną tapicerkę.

– Hm – mruknął. – A miałbyś coś przeciwko? – spytał, powoli wrzucając sobie do ust kolejną porcję.

Maks wzruszył ramionami, przerzucając spojrzenie to na niego, to na mamę.

– Mama się panu podoba?

– Tak – odparł Piotr.

– Piotr... – zaczęła Martyna tonem wskazującym, że chce przerwać tę rozmowę.

– Mamo! Ja z nim rozmawiam teraz! – oburzył się Maks.

Martynie chciało się śmiać, ale widziała, że jej syn raczej poważnie do tego podchodzi, więc uznała, że nie będzie się odzywać. Niech sobie ma tę rozmowę między mężczyznami.

– Teraz ty odpowiedz, Maks: masz coś przeciwko? – powtórzył pytanie Piotr.

– No, mam – przyznał Maks. – Jesteśmy tu na wakacjach, a mama nie szuka sobie nowego męża ani ja tatuśka, rozumiano? – dodał z dziwną złością w głosie.

– Jasne, Maks, to się nawet świetnie składa – odparł Piotr bez najmniejszego zawahania. – Podrywam twoją mamę właśnie dlatego, że mieszkacie daleko, więc fajnie sobie spędzimy wakacje, może nawet się z twoją mamą trochę poprzytulam, jej będzie miło, mnie również, ty zobaczysz, że się więcej uśmiecha, a potem każdy wraca do siebie i voilà! Koniec przygody, problem z głowy – dodał. – Czy takie rozwiązanie ci pasuje? – spytał.

Maks spojrział na niego autentycznie zdziwiony, zresztą tak samo teraz patrzyła na Piotra Martyna. Wierzyć jej się nie chciało, że powiedział to jej synowi tak po prostu. Czekać na odpowiedź swojego dziecka, nie była w stanie przełknąć frytki.

– A... jak tak, to spoko. – Maks nagle się rozpromienił i wyciągnął do mężczyzny rękę brudną od sosu z Big Maca. – Umowa? – spytał.

Piotr złapał jego dłoń razem z frytką, którą akurat trzymał, i trzy razy nią potrząsnął.

– Przybite sosem z frytkami – powiedział.

– Panowie, chyba zapomnieliście, że ja tu jestem? – odezwała się wreszcie Martyna, czując, że zaraz parsknie śmiechem.

– Nie, mamo, nie zapomnieliśmy, ale w tej chwili mamy większość – powiedział Maks. – Więc twój głos już i tak nie zmieni sytuacji.

– No to postanowione – zakończył temat Piotr.

Obaj się do siebie uśmiechnęli, a potem Maks z miną niewiniątka poprosił o jakąś ściereczkę do wyczyszczenia tapicerki. Piotr podał mu papierowe chusteczki z torby z McDonalda.

– Tylko żeby mi tam nawet kropka nie została! – rzucił.

– Dobra, dobra – odparł przeciągle Maks i zabrał się do ścierania sosu. – Uf, już się bałem, że chcesz mi się pan wparadować w rodzinę – dodał.

Martyna nie wytrzymała i parsknęła, a Piotr mrugnął do niej okiem.

– Nieżyły ten twój synek. Strach się bać.

– Najlepszy! – wybelkotał Maks, przegryzając resztkę Big Maca.

Zbigniew Zarada siedział w wynajętym przez siebie domku letniskowym i patrzył przez okno, kiedy Martyna Wójtowicz wraz z synem i jakimś nieznanym mu mężczyzną pojawili się na ścieżce. Przeszli między drzewami, intensywnie o czymś rozmawiając i z czegoś się śmiejąc. Na widok ich wesołych min Zarada poczuł w sercu niemal ukłucie. Zmrużył powieki i uważnie im się przyglądał. Położył jedną rękę na głowie siedzącego obok psa i zaczął go powoli głaskać. Hektor łąsił się do niego jak niewinny szczeniak i w niczym nie przypominał teraz maszyny do zabijania.

Właściciel bestii patrzył, jak ten bezczelny dzieciak, który wtykał nos w nie swoje sprawy, podskakuje radośnie z przodu i biegnie w kierunku domku numer dwanaście.

Po drodze dołączył do niego drugi szczeniak, ten sąsiad, z którym się skumał i z którym najwyraźniej zamierzali mu zepsuć tak pieczołowicie zaplanowane wakacje.

Zacisnął usta ze złości i zastanawiał się, jak ta kobieta mogła tak marnie wychować syna.

Sam nie miał dzieci, ale gdyby miał, to na pewno trzymałby je twardą ręką. Żaden szczeniak nawet by nie podskoczył, a co dopiero mówić o pyskowaniu czy szpiegowaniu obcych ludzi. Świat był zbyt niebezpieczny, żeby pozwalać dzieciom zerkać tam, gdzie nie powinny. Czasem przez taką głupią ciekawość ktoś ginie. A czasem... zabija innych, niszcząc im przy tym całe życie.

Hektor pisnął, kiedy zamysłony Zarada ścisnął go za głowę nieco mocniej, niż powinien był.

– Oj, przepraszam, stary – powiedział, głaszcząc go delikatniej. – Widzisz sam, do czego doprowadza mnie myślenie o dzieciach. Od razu robię się agresywny i mam ochotę komuś przyłożyć. Wybacz.

Pies podniósł na niego swoje duże, czarne oczy i patrzył tak, jakby doskonale go rozumiał. Zauważył, że jego pan znów spojrzał w okno, więc stanął na tylnych łapach, oparł się o jego kolana i również zaczął patrzeć w tym kierunku. Zobaczył ludzi idących do domku naprzeciwko i z jego pyska wyrwało się warczenie.

– No już dobrze, Hektor, już – powiedział Zarada. – Jak ty mnie doskonale rozumiesz. Też byś ich rozerwał na strzępy, prawda?

Pies warczał, potwierdzając jego myśli.

– Niech się modlą, żeby nam drugi raz nie weszli w drogę.

Kiedy Maks, Dawid, Martyna i ten obcy mężczyzna zniknęli wewnątrz domku, Zarada jeszcze długo siedział przy oknie i patrzył na jego ściany. Gdyby mógł, to przebiłby deski spojrzeniem i ukarał ich za to, że w ogóle śmieli zakłócać jego spokój.

Wreszcie odsunął się od okna, poszedł do lodówki i wyjął z niej kawał surowego, krwistego mięsa.

– Łap – powiedział, rzucając je Hektorowi, a kiedy pies rozrywał płat na drobne kawałki i połykał je w całości, usiadł w fotelu i zapatrzył się w sufit.

– Jak ja nienawidzę dzieci – mruknął i zacisnął dłoń na poręczy tak mocno, aż poczuł ból mięśni.

Rozdział VIII



7 lipca

Niedziela

Maks przebudził się, słysząc ciche pukanie w szybę. Otworzył jedno oko i spojrzał w stronę, z której dobiegał dźwięk, ale zanim się zorientował, że twarz w oknie należy do Dawida, nieźle się wystraszył. Usiadł na łóżku i odetchnął zdenerwowany, a potem machnął do kolegi ręką. Dawid pokazywał mu, żeby do niego przyszedł, więc cicho wstał z łóżka, wskoczył w spodenki i koszulkę, po czym wymknął się z pokoju. W domku było cicho, mama jeszcze spała i nie chciał jej budzić, więc bezszelestnie otworzył drzwi i wyszedł na zewnątrz.

Dawid stał przy schodkach.

– Chodź, szybko... – szeptał. – Ten Zarada poszedł nad jezioro, musimy zobaczyć, co tam robi.

– Co? Weź... kurde, boję się – odpowiedział, podchodząc do kolegi. – Która godzina?

– Przed szóstą.

– Dawno tam poszedł? – spytał Maks, czując, jak na samą myśl o śledzeniu tego faceta przechodzą mu po ciele dreszcze.

Doskonale pamiętał, jak groźnego psa ma ich sąsiad, i nie uśmiechało mu się śledzić go wtedy, gdy z nim był.

– Dopiero co, zobacz, tam go widać jeszcze. – Dawid wskazał palcem w stronę jeziora, w część oddaloną od ich kąpieliska. – Poszedł w te chaszczki, zobaczmy, co tam robi.

– Może tylko psa wyprowadza? – Maks próbował się wykręcić.

– Wierzysz w to? – Jego kolega prychnął, patrząc na niego jak na zwykłego tchórza.

– Dobra no... – rzucił, nie chcąc wyjść na cykora. – Chodźmy, ale cicho i nie za blisko.

– No to przecież jasne.

Zbiegli w ciszy w dół i okrążając teren tak, żeby mężczyzna ich nie zobaczył, zaczęli się powoli zbliżać do wody. Kiedy byli już dostatecznie blisko, żeby zobaczyć jak Zarada robi coś dziwnego, pochylając się nad trzcinami, Dawid zdjął buty. Maks spojrzał na niego zdziwiony i chciał spytać, co robi, ale kolega go uprzedził.

– Ciii... – Chłopiec przyłożył palec do ust. – Jak będziemy szli wodą, to pies straci trop.

Maks musiał przyznać mu rację, sam w ogóle o tym nie pomyślał. Szybko zdjął adidas i zaczął bardzo powoli iść za kolegą tak, żeby ich kroki były niemal niesłyszalne. Poczł się bezpieczniej dopiero wtedy, gdy weszli między trzciny, a woda zaczęła sięgać im do pasa. Stali ładny kawałek od brzegu i z tej odległości Zarada na pewno by ich nie dostrzegł, ale mimo tego, żeby zbliżyć się bardziej i zobaczyć, co on tam kombinuje, musieli się schylić.

Dawid ruchem dłoni pokazał mu, w którym kierunku idą, i uklęknął tak, że nad powierzchnię wody wystawała mu teraz tylko głowa. Maks uznał, że to świetny pomysł i zrobił to samo. Woda była wprawdzie zimna, ale klęcząc w niej po szyję, czuł się bezpieczniej. Bezgłośnie przesuwali się na kolanach po piaszczystym i twardym dnie.

Byli już bardzo blisko, kiedy Zbigniew Zarada nagle wyprostował się i spojrzał w kierunku jeziora. Obaj natychmiast wsunęli głowy do wody tak, żeby ukryć się jeszcze bardziej. Wystawały im z niej w tej chwili tylko nosy i oczy. Mężczyzna powoli przesunął wzrokiem po trzcinach, tak, jakby coś tam zauważył. Maks spojrzał nerwowo na kolegę, ale ten tylko pokręcił głową, sugerując, żeby nawet się nie ruszał. Przesunęli

się minimalnie w bok, tak, żeby wejść w głębsze trzciny, i wtedy Zarada spojrział w ich kierunku. Maks zbladł, zdając sobie sprawę z tego, że chyba poruszyli trzciny na tyle mocno, że to zwróciło jego uwagę. Przez dobrych kilka minut mężczyzna patrzył na zarośla, a stojący obok niego rottweiler niespokojnie poruszał nosem, jakby próbował coś zwęszyć.

Nagle Zarada sięgnął po patyk i rzucił go ledwie kilka metrów od nich. Jego pies natychmiast ruszył w tę stronę, a chłopcy wstrzymali oddech, widząc, jak zwierzę niebezpiecznie się do nich zbliża. Maks w panice spojrział na Dawida, a ten właśnie ułamywał rosnącą obok niego trcinę. Szybko przeciął ją zębami na pół i mu podał. Starszy chłopiec lekko wynurzył głowę tak, żeby Maks zobaczył jego usta, i powiedział, by zanurkował i oddychał przez to. Dwunastolatek zrozumiał, o co mu chodzi, i sekundę później obaj schowali głowy pod wodę, wciągając powietrze przez trcinę, jak przez rurkę.

Woda była idealnie przejrzysta, więc odwrócili się do płynącego po ich prawej stronie psa i widzieli, jak macha wielkimi łapami w kierunku leżącego na dnie patyka. Maks zdrętwiał, bojąc się, że gdy to bydlę zanurkuje, to ich zobaczy, ale na szczęście pies skupił się tylko na patyku. Wyłowił go, zawrócił i cofnął się do brzegu. Dopiero kiedy odpłynął na tyle, że nie mógł ich już dostrzec, powoli się wynurzyli. Zarada nadal tam stał i patrzył. Chyba ich nie widział, ale serca łomotały im ze strachu tak mocno, że obaj bali się, iż on to usłyszy. Mężczyzna wziął kij z pyska swojego psa i chwilę zastanawiał się, w którym kierunku go rzucić. Chłopcy spojrzeli na siebie nerwowo, a kiedy patyk poleciał tym razem w ich lewą stronę, znów zanurkowali i z napiętymi ze strachu mięśniami obserwowali spod wody ruchy psa. Znowu im się udało i znowu dopiero, gdy Hektor odpłynął, wynurzyli się na powierzchnię.

Maks nie wytrzymał i poczuł, jak z nerwów woda wokół niego robi się ciepła. Miał nadzieję, że Dawid nie zarejestrował tego, że właśnie się zsikał. Przyłożył pod wodą rękę do swoich spodenek i próbował lekko nimi poruszać, żeby wypłukać ewentualną plamę.

Zbigniew Zarada zawołał rottweilera, a potem cofnął się na plażę i ruszył w stronę ośrodka. Chłopcy czekali dobrych kilka minut, zanim wynurzyli głowy do końca.

– Mówiłem ci, że tylko wyszedł z psem! – zachnął się Maks, którego nerwy były teraz całkiem poszarpane.

– Musieliśmy mieć pewność – powiedział Dawid, czując, jak stres powoli mu odpuszcza. – Dobra, jutro przyczaję go, jak pójdzie z psem nad wodę, i wtedy spróbujemy wejść do jego domku.

– Co? – Maks zrobił wielkie oczy. – Chyba cię powaliło.

– A jak inaczej udowodnisz, że to zły człowiek? – spytał Dawid, wstając z kolan i podnosząc się w wodzie do pasa.

Zbigniewa Zarady nie było już widać, więc mogli spokojnie wyjść na brzeg i wrócić do domu. Maks również wstał i dla pewności jeszcze raz poruszył spodenkami, żeby wypłukać z nich resztę moczu.

– Może powinniśmy odpuścić? – zasugerował. – Dajmy mu spokój.

– A jak potem okaże się, że gość kogoś zabił i mieliśmy rację, to jak spojrzymy sobie w oczy? – zapytał Dawid. – Albo jak kogoś tutaj zabije? Będziemy współwinni, bo czuliśmy, że coś jest nie tak.

– A jeśli nic nie jest nie tak, Dawid?

– Rusz głową, dzieciaku! – Chłopak podniósł głos. – Ten facet ma coś za uszami i widać to gołym okiem. Starzy są ślepi, ale my?

Maks poczuł się jak młodszy, głupszy kolega, a przecież zgadzał się z nim, chociaż bał się na pewno o wiele bardziej. I tego mężczyzny, i jego cholernego psa.

– Dobra już, nie wkurzaj mnie – burknął. – Ile czasu on dzisiaj był nad tym jeziorem? Piętnaście minut? Dwadzieścia?

– Jakoś tak. Wystarczy nam dziesięć, żeby przeszukać jego domek i zwinąć się, zanim wróci – odpowiedział.

– Dziesięć minut, nie więcej – rzucił Maks. – Obiecuj, że potem się zwiniemy.

– Słowo. Też nie chcę wpaść pod zęby tego czarnego bydlaka.

Wyszli na brzeg i cali mokrzy ruszyli w stronę domków letniskowych. Maks podniósł głowę i zobaczył, że jego mama właśnie otwiera drzwi wejściowe i wychodzi na taras. Rozejrzała się niespokojnie i dostrzegła ich schodzących z plaży. Maks pomachał jej ręką i obaj przyspieszyli.

– Pływaliście w ubraniach? – zawołała zdziwiona.

– Mhm. Testowaliśmy, czy są wodoodporne. – Dawid się zaśmiał, ale jego żart wydawał się sztuczny.

– I jak wyniki?

– Nooo... jednak nie są.

Maks wszedł po schodkach na taras i usiadł obok mamy na ławce, a jego starszy kolega popędził do przeciwległego domku.

– Co na śniadanie? – spytał.

– Właśnie pakuję koszyk i idziemy do altany biesiadnej, tam na drugiej plaży – odparła Martyna. – Umówiłam się z rodzicami Dawida, że dzisiaj jemy wspólnie, więc zdążysz się jeszcze przebrać w coś suchego.

– Okej.

Maks poczłapał do domku i zamknął się w swoim pokoju.

Martyna spakowała ugotowane już jajka i kanapki, które zamierzała wziąć na śniadanie z sąsiadami, ale cofnęła się jeszcze po kawę i termos. Już wczoraj ustaliła z Moniką Kiełbasą, że zjedzą dziś razem i skorzystają z porannej ciszy nad wodą. Zerknęła w stronę domku, w którym zniknął już starszy kolega jej syna, i zobaczyła machającą do niej Monikę.

– Pięć minut i ruszamy! – krzyknęła do niej. – Tylko chłopcy zmieniają mokre ubrania!

Monika pokazała jej kciuk do góry i z podejrzanym uśmiechem, który kobieta zauważyła od razu, pakowała przekąski do siatki. Chwilę później Martyna była gotowa, zawołała Maksa, który zdążył się już przebrać, i ruszyli w kierunku domku Kiełbasów.

– Głodny jestem.

– I dobrze, zjesz z apetytem.

Kiełbasowie już zamykali drzwi i schodzili na dół, ale było widać, że panuje między nimi ożywiona dyskusja. Adam był na coś zły i miotał się z miejsca na miejsce.

– Gotowi? – spytała Martyna. – Bo dziecko mi tu zaraz z głodu umrze – zażartowała.

– Już, już. Idziemy – odparła Monika, a jej głos wydawał się wyjątkowo zadowolony.

– To przeze mnie trochę dłużej – odezwał się jej mąż. – Wsadziłem gdzieś telefon i nie mogę go znaleźć – dodał.

– Uuu, no ale wytrzymasz chyba śniadanie bez komórki? – spytała sąsiada, a on uśmiechnął się, chociaż wcale go to nie bawiło.

– Czekam na ważną wiadomość z firmy, więc zjem z wami i zaraz wracam go szukać – wyjaśnił.

Martyna spojrzała na jego żonę i dostrzegła w jej twarzy błysk jakiegoś podstępного działania. Od razu domyśliła się, jakim cudem zniknął telefon Adama, i parsknęła pod nosem, nie mogąc się powstrzymać. Monika szybko przekierowała rozmowę na poranne pływanie ich dzieci, więc Martyna dołączyła do dyskusji i zanim doszli do altany biesiadnej, temat telefonu się rozplynął. Na miejscu obie zaczęły wypakowywać jedzenie, a ich chłopcy, nie czekając na zaproszenie, rzucili się na pierwsze kanapki.

– Spokojnie, panowie, nie uciekną. – Monika się zaśmiała.

Kobieta zarejestrowała, że jej mąż również się spieszy. Adam rozbił skorupkę pierwszego ugotowanego przez Martynę jajka i szybko zabrał się do jego obierania.

Obie patrzyły teraz na swoich wygłodniałych mężczyzn, a kiedy ich spojrzenia się spotkały, mrugnęły do siebie porozumiewawczo.

Czy między kobietami istniała lepsza forma komunikacji niż słowa? Wystarczyło czytać w twarzy i błysku oka.

Martyna nalala im obu kawy i zanim zabrały się do jedzenia, usiadły tak, żeby móc stąd podziwiać spokojne o świcie jezioro. Woda prawie się nie poruszała, a z daleka uwagę zwracały dwa śnieżnobiałe łabędzie, które niespiesznie płynęły od drugiego brzegu jeziora.

Kobiety cieszyły się tym widokiem w ciszy przerywanej przez mlaskanie siedzącej z nimi trójki. Ani chłopcy, ani mąż Moniki nie przykładali jednak uwagi do piękna okolicznej przyrody. To chyba właśnie ich różniło. One szukały okazji do wspólnych zachwyty nad krajobrazami, posiłków okraszonych rozmowami pełnymi emocjami, a oni... cóż, oni chcieli się tylko nażreć.

Jak na życzenie Dawid soczyście beknął, a Maks zaczął się śmiać.

– No co? – Chłopak spojrzał na niego zdziwiony. – Nie wolno wstrzymywać bekania, bo to niezdrowe.

– Serio? – Maks znowu dał się złapać.

– No pewnie.

Martyna pokręciła głową i sięgnęła po bułkę.

– Też ci się marzyło nastrojowe śniadanko? – spytała, zwracając się do Moniki.
– Taaa. Szlag to trafił – odpowiedziała i również wzięła sobie ze stołu coś do zjedzenia.
– Dobrze, moi mili – odezwał się Adam. – Zjadłem, dzięki bardzo, idę szukać telefonu, bo mnie z pracy wywałą, jak nie będę dostępny – dodał, a potem, nie czekając na niczyją odpowiedź, ruszył z powrotem do domku.

Martyna spojrzała na Monikę, a kiedy jej mąż się oddalił, zapytała, czy rzeczywiście mogą go za to wyrzucić z roboty. Ta pokręciła głową i podniosła do ust kubek z kawą.

– Jemu się tylko wydaje, że jest niezastąpiony – mruknęła. – Doskonale by sobie bez niego poradzili, wręcz mam wrażenie, że to on nie umie się tutaj z nami odnaleźć i dlatego traktuje pracę jako odskocznię.

– Dramat.

– Trochę tak. Zwłaszcza że to miał być urlop tylko dla nas, a sama widzisz. – Wzruszyła ramionami.

– To może dzisiaj moja kolej? – zapytała Martyna. – Zabiorę chłopców na dłuższy spacer, a wy pobędziecie trochę razem, okej? – zaproponowała.

– A wiesz, że sama miałam cię o to poprosić? – Monika uniosła brwi. – Czytasz mi w myślach.

– Świetnie. – Martyna uśmiechnęła się, po czym spojrzała na Dawida i Maksa, którzy dalej wpychali w siebie jedzenie. – Chłopcy na pewno skuszą się na nowe atrakcje i wielkie lody.

– Jak wielkie? – zaciekawiał się Dawid.

– Obrzydliwie. – Zaśmiała się.

Ich synowie unieśli kciuki, dając znać, że są na tak, a Martyna wyjęła komórkę, żeby zapisać sobie numer telefonu Moniki. Wklepała go szybko do kontaktów i powiedziała, że da jej znać piętnaście minut przed powrotem. Monika Kielbasa patrzyła na nią tak, jakby dobrze wiedziała, po co ona jej to mówi.

Martyna siedziała na pierwszej plaży, na którą natrafili na spacerze, i czekała na chłopców. Ci za punkt honoru wzięli sobie przepłynięcie się w każdym nowym miejscu, jakie znajdą. Na trasę wybrali część na prawo od ich domku i ośrodka Kormoran, bo w tej jeszcze nie byli, więc teraz, kiedy ona siedziała na łące i opalała ramiona, oni szaleli w wodzie, sprawiając, że z podziwem patrzyły na nich młodsze dzieciaki. Martyna odczekała kilkanaście minut, a potem zaczęła na nich machać. Nie chciała, żeby ten spacer skończył się na jednym kąpielisku, a dla nich czas chyba nie grał roli. Kiedy wreszcie zjawili się na brzegu, Maks był cały zziąjany.

– Dobra, mama, gdzie teraz? – spytał.

– Tam. – Wskazała palcem wydeptaną ścieżkę.

– To my lecimy i poczekamy na ciebie na następnym kąpielisku – powiedział i puścił się pędem przed siebie, chcąc nadrobić trochę drogi, zanim dogoni go Dawid.

Martyna uśmiechnęła się, uznając, że taka opieka nad dwójką rozbrykanych chłopców zapowiada się całkiem wygodnie: ona spacer i widoki, oni bieganie i szaleństwa. Może dzięki temu wieczorem lepiej zasną? Wyjęła z kieszeni telefon i zrobiła kilka zdjęć.

Pogoda była obłędna, a przy tym słońcu miała szansę na kapitalną fotograficzną pamiątkę z wakacji. Już miała zablokować ekran, kiedy zauważyła nieodebraną wiadomość. Otworzyła SMS-y i uniosła brew, widząc nadawcę. Piotr Kanda.

Przystojny instruktor golfa pozdrawia piękne kobiety.

Uniosła kąciki ust i odpisała.

Piękne kobiety podziwiają na plaży przystojnych plażowiczów.

Włączyła wibracje na wypadek, gdyby odpisał, i wrzuciła smartfon do torebki, a potem ruszyła za chłopcami. Minęła ciąg fantastycznie zielonych drzew, które dawały trochę cienia i pozwalały na moment zapomnieć o upale, jaki rozkręcał się już na dobre. Na końcu alejki znów zobaczyła miejsce, w którym można było popływać, i oczywiście w oddali już chlapani się chłopcy. Znalazła sobie kawałek wolnej łąki, zrzuciła ubrania i w stroju kąpielowym weszła do jeziora. Musiała iść naprawdę daleko, żeby woda sięgnęła jej chociaż do pasa, ale kiedy wreszcie się zanurzyła, przyjemne ochłodzenie było po prostu niezwykłe. Otworzyła oczy pod wodą i podziwiała czyste, równe dno oraz roślinki. Wynurzyła się, wzięła głęboki wdech i zanurkowawszy, popłynęła w stronę dzieci. Ich nogi widziała pod wodą z daleka i znów zachwyciła się tą przejrzystością. Wreszcie wypłynęła i pomachała ręką.

Dawid akurat mówił coś do Maksa, a ten ze złością trącał go ręką w bok. Śmiali się z czegoś, ale umilkli, kiedy zbliżyła się na tyle, żeby móc ich słyszeć.

– Co jest, chłopcy? – zapytała, odgarniając sobie mokre włosy z twarzy. – Dobrze się bawicie?

– Super! – stwierdził Dawid. – Woda jest luksus!

– O tak, bardzo czysta i orzeźwiająca – przyznała.

– Idziemy dalej, mamo, czy chcesz tu jeszcze popływać?

– Możemy iść. Jak chcecie, to idźcie brzegiem, a ja się przepłynę w tym samym kierunku – odpowiedziała, widząc, że do pierwszych trzciny jeszcze daleko, więc śmiało może płynąć.

– Przenieść twoje ubrania tam dalej? – spytał Maks.

– Ach, faktycznie, tak, skarbie, weź też torebkę, a ja będę patrzeć, gdzie je kładziesz, i tam dopłynę – powiedziała i przesłała mu buziaka ręką. – Jesteś kochany.

Maks się skrzywił, ale ponieważ Dawid nie przewrócił nawet oczami, to odetchnął z ulgą. Chłopcy wyszli z wody, a ona zanurzyła się po szyję i patrząc na nich, płynęła równo z linią brzegową. Głowę schowała pod wodę dopiero wtedy, gdy Maks odłożył jej rzeczy kawałek dalej, a potem z kolegą pobiegł do przodu. Dopłynęła kilkadziesiąt metrów w kierunku trzciny, a potem zadowolona z siebie wróciła na brzeg. Sięgnęła po ręcznik, wytarła się, narzuciła koszulkę i poszła za chłopcami.

Wibrujący telefon poinformował ją o nadejściu SMS-a. Pomyślała o Piotrze i zaczęła szukać komórki w torebce.

Żaden przystojny plażowicz nie całuje tak, jak ja.

Parsknęła pod nosem i uznała, że Piotr najwyraźniej przechodzi do ofensywy, no chyba że tylko czaruje ją słówkami.

Odpisała.

Są na to jakieś dowody? Świadcowie?

Powolnym krokiem ruszyła do przodu, czując, jak koszulka przykleja jej się do mokrego stroju. Na szczęście wzięła taką, spod której nawet po przemoczeniu góra kostiumu nie była taka widoczna. Znów poczuła wibracje. Czyżby był taki szybki?

Musisz przekonać się osobiście.

Martyna przyznała w duchu, że taki SMS-owy podryw nawet miło dziś na nią wpływa. Przyłożyła palec do ekranu i zastanawiała się chwilę.

A co, jeśli to blef? Kto mi wynagrodzi stracony czas?

Wysłała.

Ciekawiło ją, jak długo jeszcze Piotr będzie robił te wszystkie podchody.

W gruncie rzeczy dziś była niedziela, czyli są tu z Maksem od tygodnia, a on niby coś robi, niby nie. Szczerze mówiąc, pomyślała na wakacyjny romans bez zobowiązań, o którym rozmawiał z jej synem, całkiem jej się spodobał. Sęk w tym, że mówił o tym jej dziecku, ale z nią tematu nie poruszył. Może okaże się, że będzie tylko erotomanem gawędziarzem? Wolałaby nie, bo wizja całowania się z tym facetem i perspektywa innych cielesnych – może – przyjemności była dla niej kusząca.

Poczuła wibracje i zerknęła na wyświetlacz.

Przyjadę wieczorem, to sprawdzimy. W razie braku ukontentowania kupię Ci pączka.

Zaśmiała się i schowała telefon do torebki.

A może jednak nie skończy się tylko na gadaniu?

Martyna wróciła z chłopcami do ośrodka dobrze po osiemnastej.

W trakcie spaceru trafili na plażę gminną, gdzie na wodzie rozciągały się wielkie konstrukcje pontonowe à la tor przeszkód. Wystarczył niewłaściwy krok, by skończyć w jeziorze, więc chłopcy zachwyceni atrakcją od razu ruszyli spróbować swoich sił. Zanim jednak oddali się szaleństwu, wrócili do niej po pieniądze – pontonowa zabawa okazała się płatna. Martyna wyciągnęła z portfela drobne i już po chwili obaj ganiłi się ze śmiechem po dmuchanych platformach, a ona miała trochę czasu dla siebie. Plaża, słońce, czyste powietrze – była zachwycona!

Chłopców nie sposób było oderwać od nowej zabawy, a czas mijał. Nawet Monika zaniepokojona ich długą nieobecnością przysłała SMS z pytaniem, co z nimi. Martyna zadzwoniła do niej i wyjaśniła, że jeszcze

godzinka i będą w domku. Przy okazji dowiedziała się, że jej sąsiadka spędziła bardzo udane popołudnie ze swoim mężem. Adam przez dobre dwie godziny miotał się w poszukiwaniu telefonu, ale ponieważ nie mógł go znaleźć, to wreszcie się poddał i mieli siebie tylko dla siebie. Podstępny plan Moniki Kiełbasy i zabranie mężowi narzędzia tortur małżeńskich, czyli smartfona, przyniosły zamierzony efekt.

Po powrocie Dawid pobiegł do rodziców opowiedzieć im o nowym miejscu znalezionym nad wodą, oczekując tego, że jutro go tam zabiorą. Maks zaszył się w swoim pokoju i padł na łóżko, zmęczony jak nigdy.

Martyna włączyła czajnik, marząc o kawie. Kątem oka zerknęła na SMS-y, ale Piotr Kanda niczego więcej nie napisał, więc ogarnęła nieco kuchnię i z kubkiem gorącego napoju poszła na taras. Usiadła na ławce, wyciągając nogi do przodu i w przyjemnym cieniu drzew rozkoszowała się smakiem. W duchu przyznała, że mogłaby tu zostać na stałe. Ona, Maks, kawa, jezioro, żadnej pracy i piękna pogoda – czego tu chcieć więcej?

Nagle usłyszała męski głos i mało nie zachłysnęła się kawą.

– Pączka?

Po schodkach na jej taras właśnie wchodził Piotr Kanda. Miał na sobie luźne spodnie i biały T-shirt, tym razem nie w stylu golfowej koszulki polo. W jego oczach skrzyło się coś miłego, a Martyna pomyślała, że właśnie jego mogłaby chcieć więcej. Nie powiedziała tego głośno.

– Tak od razu przyznajesz się do porażki? – Mrugnęła okiem.

– Yyy, że co? – Nie zrozumiał.

– Napisałeś, że pączka dostanę dopiero wtedy, jak coś innego mnie nie ukontentuje – przypomniała mu rozbawiona.

– A... racja! – Olśniło go. – To nie. Jednak nie dostaniesz – odpowiedział przekornie i schował za plecami papierową torebkę.

Usiadł na ławeczce naprzeciwko i sięgnął po jej kubek.

– No chyba sobie żartujesz. – Zatrzymała naczynie ręką. – Za Chiny Ludowe nie oddam mojej kawy – dodała. – Woda w kuchni jeszcze gorąca, zrób sobie.

Piotr westchnął, rozłożył ręce w geście rezygnacji i poszedł do kuchni. Martyna spojrzała za nim i zobaczyła, że rzeczywiście robi sobie tę kawę. Pomyślała, że to takie dziwne. Znają się ledwie tydzień, a ona nie ma nic przeciwko, żeby pojawiał się, kiedy chce, i kręcił się po ich letniskowym domku. Z drugiej strony uznała, że ten facet jednak nie ma za grosz wycucia sytuacji. Gdyby to ona była na jego miejscu, to od ręki po tekście z pączkami zabrałaby się do całowania. W końcu twierdził, że dobrze to robi. A ten? Poszedł sobie kawę zalać.

Z nutką rozczarowania uznała, że to jednak gawędziarz.

– Gdzie masz cukier? – zapytał.

– W szafce po prawej jest cukierniczka.

– Nie ma – odparł, stojąc przy drzwiczkach otwartej szafki. – Na stole też nie.

– Spróbuj gorzką.

– Ble, nie dałbym rady – mruknął.

Martyna ze średnią chęcią podniosła się z ławki i weszła do kuchni.

– Ech, mężczyźni. Żeby nawet cukru sobie nie znaleźć – zrzędziła, otwierając szafkę i widząc stojącą z samego brzegu cukierniczkę. – No chyba wzrok tracisz – dodała, sięgając po nią ręką.

Odwróciła się i zobaczyła, że Piotr Kanda właśnie zamyka drzwi wejściowe, a wewnątrz domku robi się zdecydowanie ciemniej. Czyżby to był podstęp? Postawiła cukierniczkę na blacie i nie ruszała się z miejsca, zaciekawiona tym, co teraz robi.

Piotr uśmiechnął się pod nosem, ale inaczej niż dotąd. Przez chwilę mierzyli się wzrokiem i widziała, że znacznie więcej czasu poświęcił jej ustom i dekolтови niż oczom. Wreszcie podszedł zdecydowanym krokiem, objął ją w pasie i mocno do siebie przyciągnął. Poczwała, jak jej piersi dotykają jego torsu, a twarz mężczyzny oddzielały od niej tylko milimetry. W jego spojrzeniu pojawiło się coś takiego, co sprawiło, że delikatnie przygryzła dolną wargę. Ciemne oczy Piotra Kandy świdrowały ją teraz na wylot.

– Nawet nie próbuj protestować – wyszeptał, dotykając swoim nosem jej policzka.

Wyczuła na skórze jego ciepły oddech.

– Nie zamierzałam – odparła, patrząc mu w oczy.

Piotr niespiesznie dotknął jej pleców tuż nad linią krótkich spodenek. Jego przyjemnie chłodne palce wsunęły się pod koszulkę i krążyły po jej nagiej skórze, tuż przy kręgosłupie. Martynę przeszły dreszcze.

Zdażyła pomyśleć, że ten facet strasznie na nią działa, i odruchowo rozchyliła usta, czekając na jego pocałunek. Kanda zbliżył się i dotknął jej warg swoimi tak delikatnie, jakby tylko sprawdzał, jak smakują. Odsuwał się od nich na milimetry, prowokując ją, a później znów się zbliżał. Sprawiał, że nie mogła doczekać się pocałunku. Zdenerwowana zwilżyła wargi językiem. W tej samej sekundzie Piotr przywarł do niej ustami, a jego namiętny pocałunek sprawił, że musiała go objąć za szyję. Poddała się przyjemności dotyku jego ust. Z każdą kolejną chwilą czuła, jak mężczyzna przywiera do niej jeszcze mocniej. Nie zdawała sobie sprawy, jak bardzo jej tego brakowało. Przystawała nad sobą panować. Po prostu chciała go teraz mieć.

Nagle Piotr oderwał od niej swoje usta i odsunął się minimalnie.

– Pączek jest mój – wyszeptał i znowu się nad nią pochylił.

– Zamknij się już – odparła i objęła jego szyję ręką.

Piotr popchnął ją lekko do tyłu, tak, że oparła się o blat kuchenny, i poczuła, jak jego język wsuwa się między jej wargi. Trudno powiedzieć, czy to on był bardziej spragniony jej ust, czy ona jego, ale trwali w tej pozycji, całując się bez przerwy na oddech. Martyna czuła, jak przez jej łydki, uda i wyżej... płynie teraz ekscytująca fala pożądania. Nie czuła jej już tak dawno, że teraz to doznanie o mało nie zważyło jej z nóg. Przycisnęła go do siebie mocniej, a kiedy on zsunął rękę z pleców pod jej spodenki i znalazł się na nagich pośladkach, westchnęła trochę głośniej, niż chciała. Mężczyzna zamknął jej usta kolejnym pocałunkiem i nie pozwolił się przesunąć nawet o centymetr. Powietrze wokół nich gęstniało w takim tempie, że w środku zrobiło się gorąco. Piotr wsunął swoją nogę między jej uda, rozchylając je zdecydowanie, a potem lekko ją docisnął, tak, że poczuła pulsowanie własnego ciała.

– Gdzie masz sypialnię? – zapytał wprost, odsuwając się od niej odrobinę, i zaraz potem wrócił do jej ust.

Martynę sparaliżowało.

– Tam – powiedziała, wskazując głową do tyłu. – Ale nie możemy, Maks jest w pokoju obok – dodała, przypominając sobie, że przecież nie jest tu sama.

Piotr znowu zsunął rękę na jej pośladek i zacisnął ją nieco mocniej, niż powinien był.

– Nie wytrzymam – szepnęła, a potem lekko chwycił zębami płatek jej ucha i wsunął do środka swój gorący język.

Martyna poczuła, jak przez szyję przebiega jej dreszcz uderzający prosto między uda. Nagły strzał pożądania, który wywołał językiem w jej uchu, sprawił, że zmiękły jej nogi i zaczęła gorączkowo myśleć, jak to zrobić, żeby Maks niczego nie usłyszał. W ciągu tych kilku krótkich chwil Piotr postawił do pionu wszystkie jej zmysły i nie wyobrażała sobie, żeby to nie poszło dalej. Pragnęła go teraz. Właśnie teraz.

Z pokoju w głębi domku dało się słyszeć wołanie.

– Mamo, jesteś?!

Oboje zamarli i w ułamku sekundy się od siebie odsunęli. Martyna oddychała ciężko, a Piotr miał w oczach ogień i dyszał.

– Jestem! – odkrzyknęła, tak, żeby Maks usłyszał, ale jej głos brzmiał nienaturalnie.

– Przyniesiesz mi soku? – zawołał jej syn, nie wychodząc ze swojego pokoju.

– Zaraz! – zawołała i spojrzała na Piotra, który z powrotem przysunął się do niej i znowu ją pocałował. Jego język był teraz taki gorący, szybki i łapczywy. Zakreśliło jej się w głowie.

– Czekaj – szepnęła, próbując się od niego uwolnić i jednocześnie wcale tego nie chcąc. – Zaniosę mu tego soku.

Odwróciła się do blatu i trzęsącą się ręką sięgnęła po butelkę. Wyjęła z szafki szklankę, a Piotr od tyłu przylgnął do niej biodrami. Na pośladkach czuła, jak bardzo jest na nią gotowy.

– Jezus, Piotr – jęknęła cicho. – Nie rób mi tego, bo zwariuję.

W odpowiedzi docisnął się do niej jeszcze bardziej, oparł ręce o blat i kiedy nalewała soku do szklanki, przesunął po niej swoim ciałem w jednoznaczny sposób, całując ją jednocześnie po szyi. Martyna czuła, jak wali jej serce, i drżącą ręką chwyciła szklankę. Odwróciła się i natrafiła na jego usta.

– Boże, poczekaj – wydusiła i ruszyła w stronę pokoju Maksa.

Piotr patrzył za nią oczyma płonącym pożądaniem i wypuszczał z siebie powietrze tak cicho, jak tylko mógł.

Martyna zapukała do pokoju syna i weszła do środka. Bez słowa podała mu do ręki szklankę soku pomarańczowego i ucieszyła się, że Maks siedzi wpatrzony w telefon. Nagle chłopiec podniósł wzrok i

popatrzył na nią.

– Co ci jest, mamó? – zapytał podejrzliwie.

– N-nic – wymamrotała i cofnęła się w stronę drzwi.

– Dobrze się czujesz? Jesteś strasznie czerwona – powiedział, podnosząc się na łożku.

Martyna przełknęła ślinę i znowu się do niego odwróciła.

– Byłam pobiegać, dopiero wróciłam – skłamała. – Położę się chyba na godzinę i zdrzemnę.

Maks przewiercał ją spojrzeniem na wylot.

– Dobrze – odparł i ku jej rozpaczy zsunął nogi z łożka. – To ja cię przykryję i przyniosę wodę, bo naprawdę słabo wyglądasz. Zobacz, ręce ci się trzęsą.

Martyna miała ochotę strzelić sobie w łeb, kiedy jej troskliwy syn podszedł do niej i wyraził chęć pomocy. Nagle oboje usłyszeli mocne pukanie do drzwi, naciśnięcie klamki i głos Piotra dobiegający z kuchni.

– Hop, hop! – krzyczał. – Jest tu ktoś?

– Jesteśmy, jesteśmy! Niech pan wejdzie! – odkrzyknął Maks, który rozpoznał jego głos bez pudła.

Po chwili Piotr wsuwał już głowę do pokoju chłopca.

– Mama źle się poczuła, widzi pan? – zapytał, wskazując na jej rozpalone policzki.

– Rzeczywiście, wszystko w porządku? – zapytał Martynę, dyskretnie do niej mrugając.

– Mhm – wymruczała. – Byłam biegać i chyba trochę się zmęczyłam. Zaraz minie.

– To może na taras wyjdziemy? – zaproponował mężczyzna. – Świeże powietrze powinno pomóc.

Maks przytaknął skwapliwie i swoim ramieniem podparł mamę z jednej strony, jakby czuł, że przyda jej się pomoc.

– To chodźmy tam – powiedział. – Niech pan naleje mamie wody – zwrócił się do Piotra.

– Ale spokojnie, Maks, przegrzałam się tylko, to zaraz minie – wykręcała się Martyna, ale jej syn już na to nie zwracał uwagi i ciągnął ją na taras.

Piotr zatrzymał się w kuchni, nalał wody do szklanki i złapał w rękę kubek z kawą, której wcześniej nie zdążył nawet spróbować. Wyszedł na zewnątrz, podał Martynie wodę i usiadł obok.

– Od razu zrobiłem sobie kawę – wyjaśnił i upił dwa łyki.

Maks nie zwrócił uwagi na podejrzenie szybki czas przygotowania kawy przez pana od golfa i uważnie przyglądał się swojej mamie. Podrapał się po brodzie i nie wytrzymał.

– Mamó! Ty musisz na siebie bardziej uważać – powiedział zdecydowanym, strofującym głosem. – Nie jesteś już taka młoda, żeby biegać tak ostro!

Martyna parsknęła, a Piotr opluł się kawą, którą właśnie podnosił do ust.

– A! – zawołał nagle, podnosząc się z ławki. – Przyniosłem wam coś, tylko zostawiłem w kuchni – dodał i wszedł do domku.

Potem wrócił i postawił na stole papierową torebkę.

– Pyszne pączki, częstujcie się – powiedział.

Martyna uśmiechnęła się jakoś dziwnie, a Maks od razu rzucił się do torby i wyjął sobie pączka, a potem podał jej jednego.

– Masz mamó, zjedz – powiedział. – Mówiłaś, że cukier pomaga, jak się zasłabnie.

W tej chwili Martyna poczuła, jak noga Piotra dotyka pod stołem jej łydki.

– No zjedz – poprosił mężczyzna, uśmiechając się do niej tak, że znowu zrobiło jej się gorąco.

– Pierogi z kapustą i grzybami poproszę – zwrócił się życzliwie do stojącej za garmazeryjną ladą sprzedawczyni Piotr Kanda. – Dwie duże porcje.

Kobieta w dziwnym czepku na głowie odpowiedziała mu uniesieniem kącików ust, podeszła do lady i jeden po drugim zaczęła umieszczać pierogi w plastikowym opakowaniu. Mężczyzna nie musiał jej kolejny raz mówić, że wystarczy, jak obie porcje włoży do jednego pudełka, bo szkoda marnować dwóch. Od wielu miesięcy wszyscy tutaj wiedzieli, że kupował obiady dla siebie i mamy i byli już do tego przyzwyczajeni.

Piotr zapłacił za porcję, wziął pudełko do ręki i wyszedł ze sklepu. Minął jedną bramę, skręcił w drugą i za chwilę zaczął się wspinać po schodach do mieszkania matki.

Drzwi jak zwykle otworzył sobie sam i chociaż myślami był teraz przy ustach Martyny, to starał się skupić tak, żeby móc za moment poświęcić swojej mamie całą uwagę. Wiedział też, że po tym, co wyprawiali

z Martyną w domku letniskowym, wcale nie będzie to łatwe. Oblizwał usta, czując na nich jeszcze jej smak. Delikatny.

– Cześć, mamuś! – powiedział głośno, gdy tylko znalazł się w salonie.

Starsza kobieta siedząca w fotelu odwróciła się i pomachała mu ręką. Ubrała się dzisiaj w przedziwny sweter sprzed stu lat i dobrała do niego spódnicę w groszki. Piotr niezmiennie zastanawiał się, jak ona łączy te ubrania, że za każdym razem wygląda, jakby wróciła z innej epoki.

– Cześć, Piotrusiu, już jesteś? – spytała. – W kuchni zostawiłam ci obiad.

– Dzięki, mamuś, pierogi, tak jak obiecywałeś? – spytał.

Starsza pani podrapała się pod brodą i za nic nie mogła sobie przypomnieć, co to ona dzisiaj gotowała. Zaryzykowała więc małe kłamstewko i kiwnęła głową. Piotr uśmiechnął się, poszedł do kuchni i z przyniesionego ze sklepu pudełka rozdzielił pierogi na dwa talerze. Wrócił do salonu i podał jej jeden z nich.

– A ty, mamuś, jeszcze nie jadłeś? Czekałeś na mnie? – spytał.

– Oczywiście synku – odparła, biorąc od niego talerz i ciesząc się, że małe kłamstewko jednak okazało się prawdą. – Obiady w twoim towarzystwie smakują mi najlepiej.

Piotr usiadł naprzeciwko i zaczął wrzucać w siebie pierwszego pieroga, kiedy coś mu zadzwoniło w kieszeni. Odłożył talerz i wyjął telefon.

Jeszcze czuję Twój smak.

Przeczytał wiadomość i poczuł, jak kąciki ust same mu się unoszą.

Nie, to ja czuję Twój.

Zdażył zjeść kolejny kawałek, kiedy ekran smartfona się podświetlił. Następny SMS.

Będzie więcej?

Mało się nie zakrztusił i w myślach przeniósł się znów do jej domku letniskowego, niemal czując, jak opiera ją o blat w kuchni i całuje. Rozmarzył się, chociaż to wcale nie było w jego stylu, i wyobraził sobie to Coś Więcej. Chrząknął pod nosem.

A poprosisz?

Podniósł wzrok znad smartfona i zobaczył, że mama uważnie na niego patrzy.

– Bardzo dobre pierogi, mamuś – stwierdził z uznaniem, znów biorąc talerz do ręki.

– Rzadko odrywasz się od jedzenia dla telefonu – zauważyła, dziwnie się uśmiechając. – To jakaś kobieta? – spytała z ciekawością.

– Oj, mamuś, daj spokój – wymamrotał z pełnymi ustami.

– Co daj spokój? Chciałabym wiedzieć, czy mój synuś wreszcie sobie kogoś znalazł, a odpisywałeś z taką miną, że śmiem przypuszczać, że owszem. Jak ona ma na imię? – spytała, wierząc mu dziurę w brzuchu.

– To z pracy – starał się zmienić temat.

– Starą matkę w żywe oczy kłamać? Nieładnie, Piotrusiu – burknęła niezadowolona.

Nie odpowiedział i zamiast tego wbił oczy w telewizor, jak zwykle leciał jakiś kabaret.

Od czasu wylewu jego mama wprost uwielbiała kabarety, a on kompletnie nie rozumiał dlaczego.

– A tato już jadł? – zapytała nagle.

Piotrowi kawałek pieroga stanął w gardle i pomyślał, że jeśli jeszcze raz usłyszy to pytanie – a warto zaznaczyć, że słyszał je niemal codziennie – to szlag go trafi. Pewnie, że miał do mamy cierpliwość i wiedział, że niektórych rzeczy już nigdy nie będzie pamiętać, ale to go akurat męczyło. Zupełnie jakby żyła w świecie, w którym jego ojciec ciągle krąży między kuchnią a salonem i zagląda do lodówki tak, jakby miało się w niej pojawić coś nowego.

Nagle postanowił przyjąć inną strategię rozmowy niż zwykle.

– Tak, tato już jadł – rzucił głośno.

W końcu... czy za każdym razem musiał jej mówić, że tato nie żyje? Może lepiej będzie udawać, że wszystko jest po staremu?

Mama odwróciła się i spojrzała mu prosto w oczy.

– Co się z tobą dzieje, Piotrusiu? – spytała zmartwiona, a jej czoło przecięła głęboka bruzda. – Albo jesteś chory, albo się zakochałeś i tracisz pamięć – dodała.

Przesunęła się do przodu, z trudem wstała z fotela i dotknęła jego czoła. Zmarszczyła brwi, dziwiąc się, że syn nie ma gorączki.

– Ani jedno, ani drugie, mamuś, wszystko jest w porządku – mruknął, próbując ją uspokoić.

– To dlaczego mnie okłamujesz?

– Ja?

– A co, ja? – Pokręciła głową. – Piotrusiu, tato nie żyje. Zapomniałeś?

Piotr znowu się zakrzusił.

– Mamuś, posłuchaj... – westchnął. – Codziennie pytasz mnie o to, czy tato jadł, bo zapominasz o tym, że jego już nie ma. Nie chciało mi się kolejny raz tłumaczyć, więc powiedziałem, że jadł.

Starsza pani spojrzała na niego jak na wariata.

– Ja zapominam?! – podniosła głos. – Nigdy! Twój tato był miłością mojego życia i nie zapomniiałabym, że umarł.

– Przepraszam, mamó – odparł i poczuł, że zaczyna się już w tym wszystkim gubić.

Odburknęła mu tylko i przekroiła sobie kolejnego pieroga. Siedzieli w napiętej ciszy, a chmura w powietrzu zdawała się gęstnieć.

– To teraz powiedz mi – zaczęła. – Skoro to nie kobieta, a ktoś z pracy, i skoro miałeś taką rozanieloną minę, to może ty, Piotrusiu, jesteś gejem? – zapytała.

– Mamó! – zachnął się.

– No co? Jak kochasz jakiegoś miłego pana, to powiedz mi o tym, zaprosz go na ciasto czy coś. Ja nie jestem stara maleńka, rozumiem, że w życiu jest różnie – mówiła.

– Mamó, nie jestem gejem.

– Ale, Piotrusiu, to nic złego – ciągnęła, patrząc na niego czule. – Szkoda mi, że nie będę mieć wnuków, ale chciałabym, żebyś był szczęśliwy – dodała.

– O Jezus – jęknął.

– Ale Jezusa w to nie mieszaj, synku. – Spojrzała na niego pobłaźliwie. – Siły wyższe niech będą wyższymi, a my jeszcze jesteśmy wśród niskich.

– Martyna – powiedział zrezygowany. – Ona ma na imię Martyna.

– Naprawdę? – ożywiła się. – Nie kłamiesz? Może Marian?

– Nie, mamó! Naprawdę. To kobieta i ma na imię Martyna.

– Cudownie! – Klasnęła, aż widelec spadł jej na dywan. – Kiedy ją poznam?

Piotr zaklął w duchu ze złości, chociaż może bardziej była to jednak bezradność. Pocięczał się tylko tym, że do jutra mama prawdopodobnie o wszystkim zapomni. Podniósł widelec i podał go jej, a ona wytarła go niedbale o spódnicę w groszki i nie spuszczała oczu z syna, czekając na odpowiedź.

– Nigdy, mamó – odparł, zgodnie z prawdą. – To tylko wakacyjny... romans, ona za tydzień wyjeżdża i już.

– Ooo! Czyli uprawiacie wolny seks? – spytała staruszka, podnosząc brew, a on dostrzegł na jej twarzy błysk zaciekawienia.

– Jeszcze nie, mamó, ale... zamierzamy. Tylko czy ja naprawdę muszę z tobą rozmawiać o seksie?

– A z kim byś chciał, jak nie z matką? To ty się pospiesz, Piotrusiu, z tym seksem, jeśli ona ma wyjechać za tydzień – zauważyła logicznie.

– Spieszę się.

– Taki chłopak jak ty musi wykazać się inicjatywą, synku. Kobiety to lubią, pamiętaj!

– O Jezus... ja się zastrzele – jęknął.

Nie podobało mu się, że jego mama wchodzi w klimat bardziej, niżby tego chciał. Kobieta tymczasem uśmiechnęła się podstępnie, a potem wygodnie oparła się w fotelu i założyła nogę na nogę.

– Oj, Piotrusiu, z Jezusem to akurat nie ma nic wspólnego. – Mrugnęła do niego. – Jeśli chcesz, mogę ci co nieco opowiedzieć o seksie – zaproponowała. – Mam wieloletnie doświadczenie.

– Mamó! Nie! – krzyknął zdecydowanie.

Rozdział IX



8 lipca

Poniedziałek

Martyna siedziała na pomoście z nosem w książce i chociaż przyjemny romansik, który właśnie czytała, całkiem ją interesował, to myślami co chwilę odbiegała do Piotra i ich wczorajszego zbliżenia.

Maks zupełnie zrezygnował dzisiaj z jej towarzystwa i zażądał wolnego od atrakcji i mamusi. Zamiast tego wybrał Dawida i potajemne zabawy, o których obaj nie chcieli jej powiedzieć. Przez moment poczuła się przez to staro, bo to był jeden z tych znaków, że młody nie chce już wcale spędzać z nią tyle czasu, ile akurat teraz mogła mu dać. Wolał towarzystwo ledwie co poznanego kolegi i własne sekrety. Jasne, Martyna wiedziała, że to kiedyś nastąpi, i cieszyła się, że ma dzięki temu trochę wolnego, ale mówiąc tak całkiem szczerze, to ten wspólny urlop był ze względu na Maksa, a on radykalnie oczekiwał dzisiaj od niej wolnego.

Przewróciła kolejną kartkę książki i zdała sobie sprawę z tego, że ma trzydzieści dwa lata i syna, który zaczyna iść swoją ścieżką. No dobrze, może trochę przesadzała, w końcu miał dopiero dwanaście lat i jeszcze nieraz będzie marzyła, żeby dał jej święty spokój, ale dzisiaj akurat miała taki dziwny, melancholijny nastrój. Obok niej na pomoście przysiadła się para nastolatków, którzy rechocząc nad jakimś kiepskim dowcipem, otworzyli sobie po puszcce piwa i zaczęli ją opróżniać na wyścigi. Wzdrygnęła się, oceniając ich wiek na szesnaście, może siedemnaście lat, i z miejsca uznała, że jej syn na pewno nigdy nie będzie się tak zachowywał. Młodzi klęli na czym świat stoi, wyzywali się od najgorszych i jednocześnie żłopali razem browar na czas. Żenujące. Oczywiście Martyna nie była święta i pamiętała, jak sama ze swoją paczką raczyła się procentami paręnaście lat temu, ale za ich czasów robiło się to chyba jakoś dyskretniej. Nocne obsiadanie ławek w parkach, w których nikogo nie było, weekendowe ogniska gdzieś na obrzeżach miasta i tak dalej. Ogólnie kiedyś uważało się bardziej na to, żeby rodzice ani sąsiedzi nie widzieli pewnych alkoholowych ekscesów. A ci dwaj tutaj? Zero skrępowania, bekanie, puszka za puszką i teksty jak z rysztoła. Naprawdę niesmaczne. Popatrzyła na miny innych wypoczywających nad wodą i widziała w ich oczach identyczne zdegustowanie, tyle że nikt się nie odezwał i nie zwrócił tym chłopcom uwagi. Co to za czasy? Jakieś małżeństwo zabrało swoje dziecko w dalszą część kąpieliska, inni przenieśli się trochę na lewo, ale nikt, dosłownie nikt nie powiedział, żeby się trochę opanowali. Martyna spojrzała w stronę wejścia na pomost i zauważyła tabliczkę, na której wielkimi literami wypisany był zakaz picia alkoholu i palenia papierosów na pomoście.

– Panowie drodzy – zaczęła, odwracając się do nich – ale wiecie, że tutaj jest zakaz picia alkoholu? – spytała, wskazując palcem na tabliczkę.

Odpowiedział jej śmiech, a jeden z chłopców opluł się piwem z wrażenia.

– A pani, co? Święta? – zarechotał. – Jak nie pasuje, to proszę iść gdzie indziej – dodał i demonstracyjnie przechylił puszkę z piwem, biorąc z niej dwa duże łyki.

– Owszem, nie pasuje – powiedziała spokojnym tonem. – Jeśli obowiązuje zakaz, to znaczy, że tutaj nie wolno wam pić.

– I co, zabierze nam pani puszkę?

– Nie, ale zapytam, gdzie są wasi rodzice i czy wiedzą, że tutaj pijecie?

Chłopcy spojrzeli na siebie i wybuchnęli śmiechem.

– No ja pierdołę, ty... stara babo! – warknął jeden z nich, nie wytrzymując. – Odpieprz się od nas i daj żyć! Młodzi jesteśmy! Bawimy się!

– Ja was tylko grzecznie proszę, żebyście pili gdzie indziej. Tu pływają dzieci i nie muszą tego oglądać – ciągnęła niezrażona.

W tej chwili obaj chłopcy podnieśli wzrok. Martyna odwróciła się i zobaczyła na oko sześćdziesięcioletnią kobietę, która zważym krokiem szła w ich kierunku, z daleka machając palcem. Stała przy nich naprawdę zdenerwowana.

– Mieszkacie w domku Buk dwadzieścia cztery, prawda? – zapytała podniesionym głosem. – Jeśli zaraz nie zostawicie tej pani i nie przestaniecie tutaj pić, to pójde do waszych rodziców i o wszystkim im powiem! – dodała.

– Kurwa, no... antykwariat się zbuntował! – rzucił jeden z chłopaków. – Czy to jest plaża starych bab, do cholery, czy co? Złot próchna się tu zrobił.

– Uważaj na słowa, młody człowieku! – odparowała kobieta.

– Bo co mi zrobisz, ty pomarszczona wiedźmo? – zapytał, podnosząc się z miejsca i biorąc się pod boki.

Przysunął się i zaczął napierać na sześćdziesięciolatkę tak, że musiała się cofnąć. Martyna szybko podniosła się z pomostu i stanęła przy kobiecie.

– Buk dwadzieścia cztery, tak? – upewniła się głośno. – Chodźmy zatem razem do ich rodziców – zaproponowała i wzięła kobietę pod rękę.

– Jeeezu – jęknął pierwszy nastolatek.

– Jeszcze się z wami policzymy, stare pierdoły – powiedział drugi i kiwnął głową na kolegę. – Chodź, idziemy stąd, bo przecież zaraz zabiją nas laską albo pogryzą protezami – kpił.

Martyna patrzyła za nimi, gdy szybko wycofywali się z pomostu. Słuchała, jak klną już nawet nie pod nosem, a w pełni oficjalnie. Czyżby darcie japy dodawało im animuszu?

– Bezczelne gnojki – powiedziała kobieta i podziękowała jej za wsparcie.

– Ale to ja dziękuję – odparła Martyna. – Co to za czasy, że na takie zachowania reagują tylko kobiety? – Pokręciła głową.

Obie zeszły z pomostu i przechodząc przez plażę, przyglądały się leżącym tam mężczyznom.

Umięśnieni ojcowie małych dzieciaków prężyli do słońca swoje muskuły, ale żaden ani myślał reagować.

– Pieprzeni bohaterowie! – krzyknęła nagle sześćdziesięciolatka. – Nie wstyd wam?! Jaki przykład dajecie swoim dzieciom? – wołała tak, że było ją słychać na całej plaży, aż nawet Martyna poczuła się nieswojo.

Kilku mężczyzn spojrzało na nie, ale wzrok szybko uciekał im na boki tak, jakby chcieli udać, że to ich przecież nie dotyczy. Martyna wciąż trzymała starszą panią pod rękę i siłać się na to, żeby nie zaśmiać się z min słusznie teraz zawstydzonych turystów, doszła jakoś do końca plaży, skąd już niedaleko było do jej domku. Kiedy obie przy nim stanęły, jeszcze raz podziękowała za pomoc, dodając, że tutaj skręca.

– Nie ma za co. – Kobieta machnęła ręką. – Niech się pani pomodli za te dzieciaki i tych starych chłopów, co to dupska nie ruszą, żeby pomóc. Tylko Bóg może ich zmienić!

– Mhm... Tak zrobię – odparła Martyna, którą trochę zatkało, chociaż oczywiście ani myślała modlić się za kogokolwiek.

Jej relacja z wyższą boską siłą od lat nie istniała i nie zamierzała tego zmieniać.

– A ja pójde do ich rodziców – dodała kobieta i zważym ruszyła ścieżką w górę ośrodka. – Nie zostawię tak tego.

Maks wrócił na obiad brudny jak nieboskie stworzenie, ale w żaden sposób nie można było z niego wyciągnąć, co robił, że tak wyglądał. Jego mina mówiła jedno: tajemnica! Martyna zastanawiała się, czy ta tajemnica nie okaże się jakąś masakrą, od której później złapie się za głowę, ale postanowiła nie wiercić mu dziury w brzuchu, skoro tego nie chciał.

Poszli na obiad do pobliskiej restauracji, a on dosłownie wrzucał w siebie jedzenie, jakby mu się paliło. Nie przypominała sobie, kiedy ostatnio jej syn jadł w takim tempie, ale jakoś nie zdziwiła się, kiedy zaraz po posiłku stwierdził, że biegnie do Dawida. Pewnie, że mogła protestować, ale w gruncie rzeczy wołała, żeby spędzał czas na świeżym powietrzu razem z kolegą niż z nosem w telefonie.

Kiedy zniknął jej z oczu, posiedziała jeszcze chwilę przy restauracyjnym stoliku, a potem zjrzała do domku państwa Kielbasów. Wydawało się, że jest pusty, ale na wszelki wypadek zapukała. Dopiero po chwili drzwi otworzyła jej zaspana Monika.

– O... cześć – powiedziała, ziewając. – Stało się coś?

– Nie, właściwie chciałam tylko sprawdzić, czy wszystko w porządku – odpowiedziała. – Nasi chłopcy od rana gdzieś razem szaleją, więc pomyślałam, że może uchylili ci rąbka tej ich tajemnicy? – spytała.

Monika zmarszczyła czoło.

– Tajemnicy? Nic nie wiem – przyznała. – Dawid twierdził, że będą dzisiaj pływać i plażować i że to męski dzień, więc mam mu nie marudzić.

– Nie marudzić? Serio tak powiedział? – Martynie chciało się śmiać z tej dziecięcej konspiracji.

– Szczerze mówiąc, to ja się cieszę, że oni się wkręcili w swoje towarzystwo – rzuciła, a potem nachyliła się do Martyny i szepnęła: – Korzystam...

Tu mrugnęła znacząco i ruchem głowy wskazała wewnątrz domku.

– Adam? – zaciekawiła się Martyna.

– Mhm. – Sąsiadka skinęła głową i zamruczała. – Odkąd zgubił smartfon, zabija czas w dość kreatywny sposób.

– Aaa... – Teraz Martyna zrozumiała, skąd o tej porze potargane włosy jej nowej koleżanki i to zaspane spojrzenie. – Jasne, rozumiem, to bawcie się przednio, nie będę przeszkadzać.

– Dzięki i... ty też się tam zakręć koło swojego golfisty – dodała Monika, która zauważyła ich razem kilkukrotnie i miała co do tej znajomości swoje podejrzenia.

Martyna parsknęła i chociaż poczuła nutkę tego charakterystycznego skrępowania, kiedy to człowiek zostaje przyłapany na niecnym uczynku, podziękowała jej i szybko się ulotniła. Dobrze wiedziała, jak to jest, gdy wreszcie przy dziecku ma się chwilę tylko dla siebie i partnera.

Zapracowany?

Koło dwudziestej drugiej nie wytrzymała i wysłała do niego SMS. Nie odezwał się do niej dzisiaj przez cały dzień i chociaż czuła po kościach, że robi to specjalnie, dobrze wiedząc, że na niego czeka, to i tak nie mogła się powstrzymać. Zresztą czy naprawdę to zawsze facet musi napisać pierwszy? Zwłaszcza jeśli kobieta nie planuje spędzić z nim reszty życia i zależy jej tylko na przelotnej, ale miło skonsumowanej znajomości? W duchu cieszyła się, że nikt nie słyszy teraz jej myśli. W tym kraju „nieskromna” kobieta, która chce seksu, a nie tylko czeka, aż łaskawie ktoś ją poderwie – oczywiście z zamiarem rychłego zamążpójścia, bo jakżeby inaczej – wciąż traktowana jest jak dziwka.

Odczytała wiadomość od Piotra i uśmiechnęła się pod nosem.

Czekałem, czy napiszesz pierwszy.

No tak, to było do przewidzenia.

Już milczę.

Odpisała, zastanawiając się, czy na pewno chce się z nim bawić w gierkę pod tytułem panna niedostępna. Szczerze mówiąc... niekoniecznie chciała. Ostatnie lata była mocno niedostępna, bo zwyczajnie o seksie nawet nie myślała.

Ale teraz... cóż. Odrobiną zainteresowania obudził w niej kobietę, o której zdążyła zapomnieć. Czy to źle?

Telefon milczał, więc zjrzała do pokoju Maksa, który spał już jak zabity. Jej syn o dziesiątej w łóżku? To się nie zdarzyło od lat. Nadal nie miała pojęcia, co knuł razem z nowym kolegą, ale dobrze to służyło jego formie. Zmęczone dziecko to szybko zasypiające dziecko, a to z kolei znak, że rodzice mogą odetchnąć. Albo... samotni rodzice, jak to było w jej przypadku.

Kanda napisał kolejną wiadomość.

Mów do mnie jeszcze.

Patrzyła na ekran i zastanawiała się, co takiego ma mu napisać? Im bardziej o tym myślała, tym mocniej chodziło jej po głowie to, że Piotr jednak jest gawędziarzem. Miłym, kuszącym, ale tylko gawędziarzem. Mimo tamtej sceny w kuchni, kiedy przyparł ją do blatu, wciąż wydawał jej się facetem, który nie przejmie zdecydowanej inicjatywy.

Nie chcę mówić.

Wysłała SMS.

Odpisał niemal natychmiast.

A co chciałabyś robić?

Martyna westchnęła i poszła do swojej sypialni, zastanawiając się, jak długo będzie ciągnął tę paplaninę? Odłożyła telefon na stolik, sięgnęła po książkę i wróciła do porannej lektury. Nie, nie zamierzała bawić się w SMS-owe podrywy, cholera wie co mające na celu. Była wystarczająco dorosłą kobietą, żeby to sobie darować.

Przewróciła stronę książki i trafiła na moment, w którym główny bohater, zabójczo przystojny i niebezpieczny szef sycylijskiej mafii, uwodzi jedną z kobiet, która wpadła mu w oko. Wyświechtane teksty, nastrojowy wieczór przy kominku i budzące się między tą dwójką pożądanie. Ona, rzecz jasna, jest nieśmiała – cóż za zaskoczenie! – ale bajecznie piękna, on z kolei pewny siebie, zadziorny i mający tupet. Przysuwa się do niej tak, że ona niemal mdleje w rozkoszy jego dotyku, a potem obejmuje ją i zaczyna całować. Pięć linijek dalej są już nadzy w sypialni. Nie! Chwila! Wróć. On rozbiera ją jeszcze przy kominku, a potem nagą i wtuloną w jego majestatyczny tors, lśniący blaskiem kominkowych płomieni, niesie do sypialni.

Martynie chciało się śmiać z tego „majestatycznego torsu”, ale powstrzymała się i czytała dalej.

On układa ją na śnieżnobiałej pościeli z włókien egipskiej bawełny za bez mała sto tysięcy dolarów za metr bieżący – żeby czytelnik wiedział, jak bardzo jest bogaty – a potem zdecydowanym ruchem wpija się ustami w jej szyję. Ona omdlewa ze szczęścia i odchyła głowę, mówiąc „ach!”. Dwie linijki dalej on kończy grę wstępną – zabójcza długość, kobieta na pewno płonie z pożądania... – i delikatnie rozchyła uda, patrząc jej prosto w oczy – powłóczyście, jak w odcinku milion sto dwadzieścia osiem tysięcy dwieście czterdziestym pierwszym serialu *Moda na Sukces*. Ona wzdycha w uniesieniu, które zaraz sprawi, że serce jej stanie albo wybuchnie niczym Etna, i wtedy słyszy jego zduszony z pożądania szept. Sycylijski mafioso w pełnym ekstazy podnieceniu mówi: „Pokaż mi swoją słodką dziurkę”.

W tym momencie Martyna poczuła, jak całe jej pieczołowicie budowane ciśnienie spadło do poziomu parteru, a potem pociągnęło ją do piwnicy, gdzie z hukiem uderzyła głową w kant ostatniego schodka. *Słodką... kurwa, co?! Dziurkę...? Masakra!* To brzmiało przecież tak aseksualnie, że rozwaliby każdą erotyczną scenę. Brrr, wzdrygnęła się. Słodkie dziurki, kapiące soczki, muszelki i inne takie oblechy, po których ona wyschłaby na wiór przy facecie używającym takich tekstów. Nie, sorry, wiór to złe określenie. Na papier ścierny.

Zamknęła książkę i poszła do kuchni nalać sobie wody. Podświadomie czuła, że musi z siebie splukać tę słodką dziurkę.

Nie chciała włączać światła, a w domku było już ciemno, więc po omacku znalazła butelkę i wzięła kilka łyków. Wróciła do pokoju, sięgnęła po smartfon i sprawdziła mail. W tej chwili pytania o podatki i inne księgowo dylematy klientów wydawały się bardziej podniecające niż książka. Szybko odpowiedziała na wiadomości, ciesząc się, że wcale nie ma ich tak dużo, co znaczyło, że szef jednak sobie bez niej radzi i jego początkowa histeria odchodzi w zapomnienie.

Pływałaś kiedyś nago w jeziorze?

Przeczytała wiadomość, która wyskoczyła jej na ekranie chwilę po odpisaniu na ostatni mail z pracy.

Hm. Przez moment zastanawiała się, czy to jest pytanie, czy zaproszenie.

Przeszła do kuchni i zerknęła przez okno, z którego za dnia podziwiała plażę.

Czy to możliwe, żeby on tam był, czy to tylko podpucha? W miejscu, w którym stała, było zbyt ciemno, żeby cokolwiek zauważyć, więc włożyła krótkie spodenki i w koszulce od piżamy wysunęła się na taras. Stąd niestety również nie było widać kąpieliska, a przynajmniej wydawało jej się, że jest zupełnie puste. Uznała, że właściwie może się przejść nad wodę i to sprawdzić. Oczywiście profilaktycznie, bo zakładała, że Piotr próbuje ją wciągnąć w SMS-owe pogaduchy, na które niespecjalnie miała ochotę. Zbiegła po schodkach, a potem ruszyła w stronę kąpieliska.

Na plaży rzeczywiście nie było nikogo, podobnie jak w wodzie, ale księżyc wyglądał dzisiaj tak pięknie, że uznała, że trochę sobie tutaj posiedzi. Weszła na pomost i przyglądała się czarnej jak noc tafli jeziora oraz odbijającemu się w wodzie światłu księżyca. Musiała przyznać, że atmosfera tutaj była niezwykle nastrojowa i... naprawdę kusila do kąpiel. Bez stroju.

Martyna nie miała zielonego pojęcia, czy w czasach sprzed poznania męża pływała kiedyś nago w otwartym zbiorniku, ale to mogło być ciekawe. Doszła na sam skraj pomostu i jeszcze raz uważnie rozejrzała

się po brzegu i wodzie. Wokół było pusto. Albo wszyscy już spali, albo pozamykani w domkach wczasowych raczyli się procentami. Piotra oczywiście nie było.

Usiadła na końcu pomostu, tym najbardziej wysuniętym ku środkowi akwenu, i zdjęła klapki, a potem krótkie spodenki. Odwróciła się raz jeszcze, a potem, kiedy była już całkiem pewna, że nikt jej nie widzi, zdjęła koszulkę razem ze stanikiem i w samych majtkach wsunęła się do jeziora. Od razu oblał ją przyjemny chłód wody, więc zanurkowała i mimo tego, że nie widziała kompletnie niczego, otworzyła oczy pod powierzchnią i zerknęła w górę. Jasne światło księżyca rysowało się na wodzie, sprawiając wrażenie czarno-białego filmu sprzed lat. Czysta fantazja!

Gdyby to był horror, to z pewnością teraz pożarłby ją rekin albo krokodyl, ale na szczęście to nie było morze ani ocean. Tu mógł ją po nodze posmyrać najwyżej zabłąkany okoń. Położyła się na plecach, widząc, jak jej piersi wystają nad poziom wody i machała lekko nogami tak, żeby kołysać się na powierzchni.

Cudowne uczucie.

Piotr Kanda zdejmował właśnie spodnie w drewnianej budce stojącej tuż przy kąpielisku i, wraz z szeregiem innych, pełniącej rolę przebieralni, kiedy zobaczył, że Martyna schodzi po kamiennych schodach. W pierwszej chwili chciał ją zawołać, ale coś kazało mu się powstrzymać. Nie poruszył się nawet o milimetr i tylko na nią patrzył. Zmarszczył brwi, rejestrując, że ma na sobie krótkie spodenki i koszulkę. Wolałby ją zobaczyć nago.

Kiedy przechodziła obok, stał bezszelestnie w przebieralni, a spodnie dokończył zdejmować dopiero wtedy, gdy ona już wchodziła na pomost i nie mogła go usłyszeć. Zauważył, że zsuwa z siebie spodenki, więc uśmiechnął się, ciesząc się, że zrozumiała wysłaną wiadomość. Szybko złożył spodnie i położył je na piasku, dorzucił obok koszulkę i bokserki. Kiedy był już nagi, znowu wychylił się zza drewnianej ścianki, zerkając, w którą stronę poszła.

Wpadł mu do głowy chytry plan zaskoczenia jej nad wodą. Zadowolony z siebie uniósł kąciki ust, ale uśmiešek zniknął mu z twarzy, gdy tylko spojrzął na pomost. Martyna siedziała na jego skraju, tam, gdzie dobrze oświetlała ją światło księżyca. Właśnie zdejmowała z siebie koszulkę. Piotr przełknął ślinę, widząc po raz pierwszy jej nagie piersi. Ich kształt i wielkość sprawiły, że reakcja między jego nogami była natychmiastowa. Zaklął w duchu, próbując sam siebie wyhamować, a potem zobaczył, jak kobieta wsuwa się do jeziora.

– Leżeć – nakazał szeptem, zwracając się do swojego członka, który był już w pełnej gotowości i chyba nie zamierzał go słuchać. – Nie rób siary... – mówił, próbując zdusić w sobie podniecenie.

Począł chwilę, a kiedy nic się nie zmieniło, zakrył dowód pożądania rękoma i pobiegł cicho w stronę jeziora. Do wody wszedł tak wolno, jak tylko mógł, byle pluskaniem nie zdradzić swojej obecności. Kiedy zanurzył się do pasa, poczuł, jak wieczorny chłód przywraca go do stanu spoczynku. Odetchnął z ulgą, bo nie wiedział, jak długo wytrzymałby takie napięcie. Ugiął kolana, zamoczył się po samą szyję i powoli popłynął w stronę pierwszego pomostu. Tego, za którym z oddali widział nurkującą Martynę.

Niemal bezszelestnie dopłynął do pierwszego pała i schował się za nim, patrząc, jak ona odwraca się na plecy i pozwala piersiom wychylić się nad powierzchnię. Czegoś takiego jeszcze nie widział, więc wziął głębszy oddech, starając się nie wyobrazić sobie tego, co właśnie sobie wyobraził. Obraz, który teraz podziwiał, wyglądał niesamowicie. Gładka tafla jeziora, głowa Martyny i jej duże, nagie piersi na górze. Cała reszta schowana pod wodą. Od razu zrobiło mu się ciepło. Zanurkował, chcąc zobaczyć, czy zdjęła też bieliznę, ale pod wodą było zbyt ciemno, a ona w za dużej odległości, żeby mógł cokolwiek dostrzec. Wynurzył się i cicho przesunął do kolejnego pała.

Kobieta płynęła tyłem do niego, chyba zupełnie nie spodziewając się tego, że może być tuż-tuż. Zaryzykował i ruszył w jej kierunku. Kiedy tył głowy Martyny był już na tyle blisko, że Piotr mógłby dotknąć palcami jej włosów, zanurkował i gwałtownie wynurzył się, łapiąc ją w pasie i unosząc nad powierzchnię.

W tym momencie kobieta głośno krzyknęła, odwróciła się raptownie i wyrzucając przed siebie nogę, uderzyła go kolaniem prosto w brzuch.

– Aaaa – jęknął z bólu i zniknął pod taflą.

W sekundzie, w której się wynurzył, krztusząc się wodą, poczuł, jak wymierza mu siarczysty policzek.

– Ty gnoju! – wołała, łapiąc oddech, a on dopiero teraz rozumiał, że wystraszył ją na śmierć.

Była wściekła.

– Jezus, przepraszam, chciałem cię zaskoczyć – tłumaczył się, trzymając dłoń na puchnącym policzku.

– Jasna cholera! – Martyna nerwowo machała rękami, starając się nie pójść na dno. – Mało się nie utopiłam, ty idioto! – krzyczała. – Co to za durny pomysł?!

Piotr starał się ją uspokoić, ale nastrój totalnie przysł. Martyna podpłynęła do pierwszej drabinki przy pomoście i złapała się metalowego drążka. Dłuższą chwilę próbowała zapanować nad walącym jej ze strachu sercem.

– Jezus Maria... Piotr! – warknęła wreszcie. – Myślałam, że to krokodyl!

– Co? – Kanda podpłynął do niej i chwycił się drabinki. – Skąd miałby się tu wziąć krokodyl?

– Z wyobraźni! – rzuciła i stanęła stopą na pierwszym szczebelku. – Cholera jasna!

W tej samej chwili Martyna zorientowała się, że nie może wyjść z wody, bo zobaczyłby jej nagie piersi, a w stanie, w którym teraz się znajdowała, pokazywanie mu biustu było całkowicie wykluczone.

– Przepraszam, dałem dupy – przyznał Piotr i położył jej dłoń na ramieniu.

Gładził je, licząc, że to ją ułagodzi.

– Po całosci dałeś dupy. Trzy razy sprawdzałam, czy plaża jest pusta – mówiła.

Głęboko nabrała powietrza i powoli wypuściła je nosem.

Tej techniki nauczył ją jeden z psychologów, którego odwiedzała po śmierci męża. *Weź oddech, wypuść powoli, weź oddech, wypuść powoli.* To było jak wypluwanie z siebie złej energii i co najlepsze: działało.

– Schowałem się, a potem podpłynąłem cicho pod pomost – wyjaśnił. – Wybacz, naprawdę nie myślałem, że tak cię wystraszę. Przecież wysłałem esemesa.

Martyna zarejestrowała jego skruszoną minę. Piotr wcale nie udawał, że jest mu przykro, i chyba dlatego złość na niego zaczęła jej przechodzić. Pomyślała, że sytuacja jest beznadziejnie głupia. Mogło być miło, a wszystko szlag trafił.

Na głowę mężczyzny padło światło księżycy i wtedy dostrzegła jego zapuchnięty policzek. Wyglądał, jakby płonął żywym ogniem.

Mruknęła z dumą.

– Odpłaciłam się chociaż pięknym ciosem. Chyba puchniesz – dodała.

– Na pewno. – Piotr dotknął pulsującej bólem skóry. – Dobra wiadomość jest taka, że twój sierpowy zabiłby tego krokodyla, słowo. Cudem uniknąłem śmierci.

Niskich lotów żart odprężył Martynę i udało jej się rozluźnić.

– Będę mieć niezłe wspomnienia – powiedziała, czując się teraz znacznie lepiej.

– Ja też... – Kanda zawiesił głos.

– Masz na myśli coś więcej niż ten cios i próbę utopienia jedynej żywicielki pewnego dwunastolatka?

– Owszem – przyznał. – Zanim mnie zaatakowałaś, trochę na ciebie patrzyłem...

Martyna zmieniła rękę, którą trzymała się drabinki, i przysunęła się bliżej niego.

– Czyli widziałeś więcej mojego ciała niż ja twojego, zgadza się?

– O tak... – potwierdził.

Na jego ustach pojawił się wymowny uśmiech. Przez chwilę oboje mierzyli się wzrokiem, aż wreszcie Piotr wysunął rękę i pod wodą przyciągnął Martynę ku sobie. Ona, nie myśląc wiele, po prostu go pocałowała. Dawno wyrosła z ukrywania tego, że mężczyzna może jej się podobać. Poza tym, pomyślała sobie, że nie ma zbyt wiele czasu na podchody i niepotrzebne czarowanie się nawzajem. Chciała jego ust i wiedziała, że on pragnie tego samego.

– Między nami pokój? – spytał.

– Skąd... – rzuciła. – Całuję cię z nienawiści.

Piotr parsknął i przyciągnął ją jeszcze bliżej. Czuł, jak jego zimny tors grzeją teraz jej pełne piersi. Zamruczał zadowolony. Chwilę później dłoń Martyny zsunęła mu się po plecach i wylądowała na nagich pośladkach.

– Jesteś nagi? – spytała zaskoczona.

– Mhm. Mieliśmy przecież pływać bez ubrań – odparł i docisnąwszy ją do siebie, poczuł pod palcami, że ona jednak miała na sobie bieliznę. – O... widzę, że stosujesz zabezpieczenia? – Zaśmiał się, ale nie przerwał całowania.

– Tak, pas cnoty – rzuciła, gdy udało jej się wyswobodzić język.

– Na kłódkę czy na hasło?

– Tradycyjna chińska produkcja... otwiera się tylko na czułe słówka.

Piotr zsunął dłoń niżej tak, że po chwili znalazła się pod jej bielizną i wprost na pośladkach.

– Chińczycy to partacze, a ja preferuję czułe działanie zamiast gadania – odparł i docisnął ją do siebie tak, że poczuła przy sobie jego biodra.

– O proszę... widzę, że zimna woda ci nie przeszkadza? – Zawiesiła głos, ocierając się o miejsce, które zdecydowanie było wzvodem.

Piotr uśmiechnął się tylko i przysunął biodra tak, żeby nie miała co do tego najmniejszych wątpliwości. Prawą ręką zaczął zsuwać jej majtki, myśląc tylko o tym, żeby poczuć ją bez tekstyliów. Martyna nie protestowała. Pomogła mu i sekundę później sama rzuciła zdjętą bieliznę na pomost. Teraz oboje byli nadzy, myśląc o tym samym tak mocno, że nie czuli już chłodu otaczającej ich wody. Martyna tak dawno z nikim się nie kochała, że było jej wszystko jedno, czy zrobią to w sypialni, na podłodze czy w wodzie. Chciała mieć go w sobie właśnie teraz. Wtedy, kiedy już miała rozsunąć nogi i dać się ponieść pragnieniu, coś sobie przypomniała. Coś cholernie ważnego.

– Czekał... – szepnęła tonem, w którym podniecenie mieszało się z rozsądkiem. – Chyba cię Bóg opuścił. A gumka?

Piotr otworzył przymknięte oczy i wziął głęboki oddech.

– Co? Jaka gumka?

– No przecież nie do mazania – prychnęła. – Zostawiłeś w spodniach? Na plaży?

Mężczyzna poczuł, jak właśnie opada mu ciśnienie.

– Nie mam... gumek – jęknął.

– Co? – Martyna wsunęła rękę pod wodę i dotykając jego napiętego członka, stanowczo go od siebie odsunęła.

Piotr aż zacisnął zęby. Był pewien, że zaraz zwariuje.

– Nie biorę tabletek, więc... sorry, misiu – westchnęła z zawodem.

Wciąż trzymając rękę tam, gdzie przed sekundą, przesunęła palcami w górę, a Kanda otworzył usta i mimowolnie znów spróbował się do niej zbliżyć.

– No zgódź się, wyjdę przed – dyszał podniecony.

– Już to słyszałam. – Pokręciła głową, odsuwając się od niego tak, żeby nie miał jej w swoim zasięgu.

– Trochę ponad dwanaście lat temu – dodała.

– Cholera... – warknął. – Dlaczego nic nie powiedziałaś?

– Dlaczego sam o to nie zadbałeś?

Wzruszyła ramionami, ale nie przestała go dotykać.

– Myślałem, że ty się zabezpieczysz – odparł chrapliwym głosem, nie mogąc wytrzymać jej stanowczych, powolnych ruchów.

W tym momencie Martyna wypuściła go z ręki i zaczęła wspinać się po drabince.

– Ej! – jęknął. – Nie rób mi tego, nie teraz!

– Oboje wyjdziemy stąd... niedokończeni – powiedziała, mrugając do niego przekornie.

– Oż... kurwa – sapnął rozczarowany, a potem widząc nad sobą jej seksowne pośladki, złapał się rękami drabinki i zanurzył głowę pod wodę.

Musiał się schłodzić.

Martyna stała już na pomoście. Sięgnęła po koszulkę i szybko wciągnęła ją przez głowę, zasłaniając nagi biust. Potem włożyła mokre majtki i spojrzała w dół, czekając, aż Piotr się wynurzy.

– No wyłaż – rzuciła, gdy tylko nad powierzchnią pojawiła się jego głowa.

– Nie mogę, cierpię! – odparł.

– Przysięgam, że ja też.

– A słyszałaś ten tekst z piosenki Kazika? – zachnął się. – *Mój ból jest lepszy niż twój?*

– Co najwyżej większy – parsknęła.

Po dłuższej chwili Piotr wreszcie wyszedł na pomost. Rękoma zasłaniał swoją męskość, ale Martynie wystarczył jeden rzut oka, by ocenić, że nadal był w gotowości. Niestety, wizja drugiego dziecka z wakacyjnego romansu, który tutaj się zaczął i tutaj miał się skończyć, zupełnie jej nie pasowała. Westchnęła, widząc, jak mężczyzna mija ją, odwraca się tyłem i pędem biegnie na plażę.

– Zgrabny tyłeczek! – zawołała za nim.

– I zrozpaczony! – odkrzyknął i zaraz potem zbiegł z pomostu, zmierzając do drewnianej przebieralni.

Martyna niespiesznie poszła za nim, czując, jak jej rozczarowanie miesza się z rozbawieniem. Obeszła przebieralnię i zajrzała do środka. Piotr właśnie wkładał spodnie. Podeszła do niego i objęła go w pasie.

– Teraz mi się tu nie przymilaj – burknął.

Parsknęła i jeszcze mokrymi rękoma złapała go za tyłek.

– Mrrr, jędrny – szepnęła z uznaniem. – Widać, że ćwiczysz.

– Dobra, dobra – odparł. – Zmiażdżyłaś mnie dzisiaj. Nie dość, że wrócę pobity i spuchnięty, to jeszcze seksualnie porzucony.

Martyna chwyciła go za dłonie, a potem delikatnie położyła je sobie na piersiach.

– Czy to cię jakoś pocieszy? – spytała, pozwalając mu ich dotknąć.

Wystarczyło muśnięcie jego palców, by piersi natychmiast zareagowały. Mężczyzna przygryzł dolną wargę, patrząc na kształt zarysowujący się pod koszulką.

– Średnio, ale może zaproponujesz coś jeszcze?

Martyna oparła go plecami o ścianki przebieralni i wpiła się w jego usta. Całowali się chwilę, ale nagle Piotr ją odsunął, wskazując na swoje spodnie.

– Koniec. On tego nie wytrzyma – oznajmił.

Wybrzuszenia nie dało się ukryć.

– Nie moja wina – odparła z miną niewiniątka. – Ale kup jutro te gumki, dobrze?

– Nie omieszkałam – mruknął i przysunął się do jej szyi. – Tymczasem zamierzam cię ugryźć – dodał. Zrobił minę niczym żądny krwi wampir i zaczął jej wyciskać na szyi malinkę.

Rozdział X



9 lipca

Wtorek

Monika Kielbasa zapukała do drzwi domku numer dwanaście około dziewiątej rano. Martyna siedziała akurat w fotelu i czytała książkę, więc od razu podniosła się i poszła otworzyć.

– Cześć! Mogę? – Sąsiadka przywitała ją promiennym uśmiechem, który zwykle oznacza coś więcej niż tylko dobrze przespaną noc.

– Cześć, cześć, wskakuj – odparła, zapraszając ją do środka. – Właśnie miałam sobie zrobić drugą kawę, masz ochotę?

– Dopiero piłam, ale dzięki za propozycję. Sprawę mam do ciebie.

– Tak?

– Zabieramy dziś Dawida do minizoo, piętnaście kilometrów stąd – zaczęła. – Wiesz, zwierzątka na wybiegu, wielbłąd, jakieś kozy podobno i takie tam. Macie ochotę jechać z nami?

Martyna wcale nie była pewna, czy ma ochotę. Pomyślała za to, że mogłaby sprzedać im Maksa na kilka godzin i pojechać w tym czasie na pole golfowe.

– Widzę, że intensywnie myślisz? – zauważyła Monika.

– Mhm – mruknęła. – Wiesz, będę szczerą... Ucinam sobie mały romans, przynajmniej taką mam nadzieję... z tym instruktorem golfa, którego ostatnio widziałas i... jeśli wzięlibyście Maksa, to miałabym dwie, trzy godzinki, żeby złapać go na polu – ciągnęła.

– Oczywiście, nie ma sprawy! – odpowiedziała Monika i poklepała ją po ramieniu. – Z przyjemnością go weźmiemy, Dawid i tak w kółko z nim biega, a ja chętnie potem posłucham twoich opowieści. Już coś, tego... z nim? – zapytała, mrugając znacząco.

– Prawie. – Martyna się zaśmiała. – Wczoraj byliśmy blisko, ale pacan nie miał gumek – dodała, sama się dziwiąc swojej szczerości.

– Ups.

– No właśnie, więc jestem trochę... sama rozumiesz.

– Niedokończona? – Monika od razu się domyśliła. – Ja od trzech dni mam wreszcie nowego męża w sypialni, więc rozumiem ciśnienie. – Uśmiechnęła się.

– Właśnie...

– Zatem decyzja zapadła, zabieramy Maksa.

– Będę wam niezmiernie wdzięczna.

Monika Kielbasa machnęła ręką.

– To żaden problem.

– Spytam go w takim razie, czy chce jechać – rzuciła, odwracając się w kierunku pokoju swojego syna.

– Chce, chce. – Uprzedziła ją sąsiadka. – Maks jest u nas od rana i nie zakłada innej możliwości niż ta wycieczka, ale liczyłam, że może i ty się skusisz.

– No proszę, czyli wiem ostatnia?

– Ostatni będą pierwszymi czy... jakoś tak – powiedziała Monika. – To my go zgarniemy za pół godzinki do wozu, więc szykuj się na tego golfistę – dodała z nutą konspiracji.

– Wielkie dzięki, ratujesz mi... możliwość przyjemności – odparła niemal chichocząc.

– Cała przyjemność po mojej stronie. – Monika cofnęła się do drzwi. – A! I liczę któregoś dnia na rewanż.

– Jasna rzecz! Dostaniecie z Adamem przynajmniej parę godzin wolności – obiecała i porozumiewawczo uściśniły sobie ręce na znak dobrze zrobionego dealu.

Martyna cofnęła się do salonu, nastawiła wodę na kawę i sięgnęła do torebki po portfel.

Zdała sobie sprawę z tego, że przecież jej syn nie ma przy sobie żadnych pieniędzy, więc szybko włożyła klapki i pobiegła do domku Kiełbasów.

Maks z Dawidem siedzieli na tarasie i cicho o czymś rozmawiali, więc tylko klepnęła syna lekko w plecy i nie wchodząc do środka, powiedziała:

– Fundusz wycieczkowy. Ile potrzebujesz?

Maks odwrócił się od razu, a potem z chytrą miną rzucił:

– Pięćset złotych wystarczy.

– No chyba zwariowałeś – prychnęła. – Masz tu sto i po powrocie poproszę paragony, na co poszło.

Podawała mu banknot.

– Co? – Chłopiec zrobił wielkie oczy. – Maaaamo! Jesteś na urlopie, a nie w pracy, weź mi tak nie wyliczaj.

– Muszę wiedzieć, na jakie głupoty wydałeś, więc nie krępuj się, ale paragony mają być – powiedziała całkiem serio.

Maks wziął od niej stówę i się skrzywił.

– Wolałbym chyba, żebyś była nauczycielką niż księgową. – Był rozżalony. – To skrajnie nieuczciwe!

Siedzący obok Dawid śmiał się pod nosem.

– Proszę pani, a może pani kolekcjonuje te paragony? – zapytał. – Ja zbieram figurki Star Wars, są o wiele ciekawsze! – dodał z kpinią w głosie.

– No, no. – Martyna pokiwała mu palcem przed nosem. – Ty już nie bądź taki dowcipny.

– Bo też będę musiał przynieść paragony?

Martyna nie skomentowała. Na koniec pomachała jeszcze na pożegnanie Adamowi, który właśnie wynurzył się na taras, niosąc w ręku talerze ze śniadaniem. Życzyła im dobrej zabawy w minizoo, a później wróciła do siebie.

Siedziała w samochodzie na parkingu Kormorana i zastanawiała się, co napisać do Piotra. Nie chciała przyjeżdżać na pole golfowe ot tak, bez zapowiedzi, bo w końcu on w tej chwili pracował, ale też nie planowała tracić czasu na siedzenie w domku. Coś ją do tego faceta ciągnęło i chciała wykorzystać chwilowe „wolne”.

Postawiła na prostotę.

Co robisz?

Kliknęła *wyslij*.

Sięgnęła po butelkę mineralnej, napiła się, a potem nie ruszając z miejsca, patrzyła na ludzi, którzy właśnie zaparkowali na terenie ośrodka.

Ruch był tutaj spory, przynajmniej przed południem, i naprawdę dużo osób kręciło się tam i z powrotem. Jacyś starsi państwo pomagali sobie wejść na schody, kobieta w ciąży wystawiała błądy brzuch do słońca, a wypacykowana blondynka z pieskiem ubranym w dziwaczny kubraczek przechadzała się dumnie od drzewa do drzewa, czekając, aż jej pupil zrobi, co trzeba w odpowiednim miejscu. Pod jednym z drzew siedział też dobrze zbudowany łysol, który od niechcenia popijał piwo z puszki i chyba patrzył na przefruwającego z kwiatka na kwiatek motylka. Zaiste ciekawa scena.

Smartfon zawibrował.

Uczę przyszłych mistrzów. Mam przerwę za pół godziny.

Uśmiechnęła się i szybko wpisała odpowiedź.

Siedzę w samochodzie, jakieś propozycje?

Po niespełna minucie dostała kolejną wiadomość.

Przyjedź, pokażę Ci fajne miejsce.

Martyna uniosła kąciuki ust i włączyła silnik. Auto przyjemnie zamruczało, chociaż możliwe, że w tej chwili nawet gdyby charczało zatkaną rurą wydechową, to i tak odebrałaby to pozytywnie. Poczwała ten stan,

kiedy zapowiedź zbliżającej się przyjemności poprawia wizję rzeczywistości.

Wyjechała z Kormorana i skręciła w stronę pola golfowego, zachwycając się pogodą, drogą i tym, że nie miała pod ręką Maksa. Tak, no cóż – kochała go, to jasne, ale jako samotny rodzic czasami po prostu marzyła o tym, żeby nie było go przy niej przez całą dobę. Miała szczęście, że trafiła tu na Kielbasów, a że szczęściu trzeba pomagać – dodała gazu.

Osiem minut później zaparkowała swoją niebieską bestię na parkingu pod głównym budynkiem pola golfowego w Kalinowie i rozejrzała się na boki. Białe volvo XC40 należące do Piotra, o ile dobrze pamiętała markę, stało kilka miejsc dalej, między tłustymi samochodami tutejszych gości. Tak, wiedziała, że golf nie jest sportem dla biednych, ale tego, że w takiej – za przeproszeniem – dziurze schowanej za ciągiem malutkich wiosek będą stały samochody tej klasy, to się nie spodziewała. Jej wychuchane suzuki swift wydawało się przy nich pojazdem ubogiej ciotki, która przyjechała w odwiedzinę zza wschodniej granicy.

Wyjęła smartfon i napisała do Piotra.

Czekam na parkingu.

Z daleka widziała, że na strzelnicy trwa jeszcze lekcja. Dyskretnie wypatrywała Kandy i przeszło jej przez myśl, że zachowuje się trochę jak wyposzczona mamuska, której nagle uderzyło do głowy na widok przystojnego faceta.

Szybko odepchnęła od siebie te myśli. Była w końcu kobietą i miała prawo do tego, żeby chcieć przyjemności, i to wbrew wizji tych psychopatów, dla których seks był wyłącznie narzędziem prokreacji i nie powinno się go uprawiać z myślą o orgazmach, a wyłącznie z pragnieniem stworzenia nowego życia. *Akurat.* Parsknęła pod nosem, wyobrażając sobie, jak pewien „typ fanatyczny” bzyka żonę tylko raz na dziesięć miesięcy – dziewięć w ciąży i miesiąc gojenia się ran po porodzie – a potem cierpliwie czeka z – za przeproszeniem – pełnymi jajami, żeby móc znów spółdzić kolejne dziecko. *Jaaasne. Żeby nie czasem. Jak to było z tym świstakiem, który siedzi i zawija w sreberka?*

Nagle usłyszała pukanie w szybę i o mało nie podskoczyła. Za oknem stał Piotr i patrzył na nią uważnie. Nacisnęła klamkę i uchyliła drzwi.

– Zamyśliłam się – powiedziała, wysiadając z samochodu. – Cześć!

– Mam nadzieję, że na mój temat?

– Akurat nie – zaśmiała się – ale chciałbyś, co?

– Ba. Zamknij auto i chodź, podjedziemy gdzieś moim – zaproponował.

Martyna była ciekawa, co wymyślił, ale postanowiła nie pytać. Wysiadła z auta, zamknęła drzwi i poszła za nim do tego hybrydowego niby-cuda, które zabijało wiewiórki na drodze.

– Tęskniłaś za mną? – spytał Kanda, moszcząc się już za kierownicą.

– To jeszcze długo nie ten etap – odparła szczerze, przyjmując lekko złośliwy uśmiešek.

– Dobra, dobra – prychnął. – I tak wiem, że nie mogłaś się doczekać.

Silnik uruchomił się tak cicho, jakby go tam w ogóle nie było.

Wyjechali z terenu pola golfowego i zdążyli przejechać ledwie kilkadziesiąt metrów, gdy Piotr skręcił w lewo, w jakąś ni to drogę, ni ścieżkę ewidentnie prowadzącą do lasu. Martyna chrząknęła, licząc, że Piotr odczyta to właściwie.

– No co? – spytał.

– Jedziemy do lasu? Ale chyba mnie tam nie zaciukasz? – zapytała.

– Nieee – odparł. – Zdecydowanie wolę cię żywą. Lubię ciepłe ciała, zimne i sztywne mnie nie rajcują.

– Uf.

– Kawalek dalej jest takie trochę dzikie jezioro, Złoty Potok, słyszałaś może?

– Nie kojarzę.

– Piękne, czyste, fajna woda, no i jest przy nim jedna ukryta plażyczka... – Zawiesił głos, patrząc na nią kątem oka. – Liczę, że o tej porze nikogo tam nie będzie – dodał.

Martyna przełknęła ślinę, myśląc o tym, że on mógłby chcieć się z nią kochać w plenerze, czego zresztą nie robiła od czasów ogólniaka, ale nie dała po sobie poznać wahania. Zjeżdżali w dół drogi dość stromą ścieżką, kiedy Piotr położył jej rękę na udzie i delikatnie przeciągnął po nim palcami. Martynę momentalnie przeszył prąd, który w ułamku sekundy rozszedł się przez kolano i łydkę, zatrzymał się dopiero na kostkach. Z niepokojem pomyślała, że reaguje na niego jak napalona dwudziestka. Wystarczył krótki dotyk, żeby stanęły jej na skórze nawet te włoski, które z rana tak pieczołowicie wydepilowała.

– Masz piękne nogi, wiesz? – rzucił, a ona wychwyciła zmianę w jego głosie. – Myślę o nich od wczoraj. Zresztą nie tylko o nich...

Przesunął dłoń w stronę jej kolana, a potem delikatnie skierował ją wyżej, na wewnętrzną stronę jej uda, zatrzymał się dopiero na granicy krótkich spodenek. Niespiesznie wodził po tym miejscu opuszkami, a wyczuwszy małe kropeczki na jej skórze, ucieszył się, że jego dotyk tak na nią działa.

– No ładnie... – mruknęła Martyna, czując skrepowanie. – Jeszcze nic nie zrobiliśmy, a ja już jestem ugotowana – przyznała, wywołując jego uśmiech.

– Naprawdę? – spytał, udając głupka, a potem sięgnął po jej rękę i przyciągnął ku sobie.

Zaskoczył ją, gdy na moment położył jej dłoń między swoimi nogami. Drgnęła, zrozumiawszy, co chciał jej pokazać.

– Ożeż...! – Parsknęła śmiechem. – Widzę, że nie tylko ja.

Odsunęła rękę i przez chwilę chichotali jak dzieci, które zaraz dostaną cukierka, a potem Piotr zjechał między drzewa i zatrzymał samochód. Wyłączył silnik, odpiął pasy i przysunął się do niej tak, żeby móc sięgnąć ustami jej twarzy. Objął ją mocno ramieniem, przyciągnął do siebie i pocałował. Martyna przylgnęła do niego natychmiast, jakby czekała na to od rana. Nie jakby. Przecież czekała. Poczuła, jak gwałtownie podnosi jej się ciśnienie.

Dłoń Piotra dotykała właśnie jej pleców i wsuwała się pod koszulkę, muskając nagą skórę. Nagle mężczyzna przerwał, zastygł w bezruchu i lekko przygryzając dolną wargę, spojrzał prosto w jej oczy. W przenikliwym spojrzeniu Kandy Martyna dostrzegła ogień pożądania. Podniecenie sprawiło, że znowu przeszły ją dreszcze.

– Tu jest za ciasno – powiedział chrapliwie. – Chodź, pójdziemy na plażę, mam koc w bagażniku – dodał i odwrócił się w stronę drzwi.

Ten moment, kiedy odsunął od niej usta, sprawił, że natychmiast chciała go przyciągnąć z powrotem, ale on już wysiadał z samochodu. Westchnęła rozczarowana, nacisnęła klamkę i również wysiadła.

Piotr szybko wyjął z bagażnika duży, zielony koc, a później chwycił ją za dłoń. Nerwowe oczekiwanie Martyny na to, co nieuchronne, z każdym kolejnym krokiem wzmagało jej ekscytację. Obce miejsce, obcy mężczyzna, ta sytuacja. Kanda zdecydowanie prowadził ją za rękę w stronę drzew, a Martyna liczyła, że ta jego przerwa w pracy skończy się tak, jak tego pragnęła.

Przeszli może kilkadziesiąt metrów, kiedy po prawej zobaczyła, jak las się rozrzedza, a przed nimi wyrasta mała, dzika plaża. Niewielka polana przed linią brzegową jeziora i przepiękny widok na wyzierającą zza trzciny wodę. Piotr uśmiechnął się, mówiąc, że to właśnie tutaj, i ciesząc się w duchu, że rzeczywiście nikogo tu teraz nie ma. Podszedł bliżej wejścia do wody i tuż przy brzegu rozłożył koc. Martyna poczuła lekkie ukłucie zdenerwowania, ale tak bardzo pragnęła teraz fizycznej bliskości, że żadne wątpliwości nie miałyby szans wygrać z tą potrzebą. Mimo tego rozejrzała się wokół.

– Nikt nas tu nie zobaczy?

Zamiast odpowiedzi Piotr Kanda objął ją w pasie i przyciągnął tak, żeby poczuć przy sobie jej piersi.

– W razie czego udajesz, że nie jesteś stąd, a ja zacznę mówić po angielsku. Ostatecznie łapiemy koc i uciekamy.

Nachylił się i pocałował ją w szyję.

– Na wszystko masz plan? – zapytała, odchylając głowę, żeby mógł swobodnie powtórzyć ten ruch.

Każdy jego dotyk przeszywał ją do głębi. Chciała więcej.

– Nie mam planu na ciebie – zamruczał.

Martyna westchnęła, czując podniecenie rosnące z każdym jego muśnięciem. Nagle zrobił krok do przodu, tak, żeby stanęła na kocu, a potem ugiął kolana i pociągnął ją ze sobą w dół. Kiedy tylko usiadła, położył ją na plecach i za chwilę już się nad nią pochylał. Odgarnął jej z czoła kosmyk włosów i nie przestając całować, zsunął rękę wzdłuż jej ciała. Powoli dotykał zasłoniętych koszulką piersi, brzucha, bioder okrytych krótkimi spodenkami. Martynie zrobiło się gorąco. Kanda powoli podciągnął jej T-shirt, zachwycając się kolorem słabo opalonego brzucha. Spojrzał na seksowny stanik i przygryzł wargę.

– Musimy się tego pozbyć... – powiedział – ale to już.

Jego głos był tak niski, że znów wywołał na jej ciele drżenie. Uniósł ją lekko, a potem jednym ruchem ściągnął koszulkę przez głowę, sięgnął za plecy i rozpiął stanik.

Kiedy Martyna opadła z powrotem na koc, popatrzył na nią i przełknął ślinę, widząc wreszcie jej piersi

pozbawione tych wszystkich tekstyliów.

– Chryste, wiesz, jak na mnie działasz? – spytał.

– Przestań gadać, do licha – odparła.

Wygięła się ku jego ustom i objęła rękoma nagie plecy mężczyzny. Piotr przesunął się wyżej i znów ją całował. Muskał, kąsał, krążył po skórze wilgotnym językiem. Kiedy odsuwał się od niej na moment, Martyna miała wrażenie, że na piersiach czuje delikatny podmuch chłodniejszego wiatru bijącego od jeziora. Jej zwilżona pocałunkami skóra reagowała na to intensywnie.

Piotr zsunął się językiem, aż dotarł poniżej jej pępka. Martyna westchnęła, unosząc biodra i pozwalając mu zdjąć z siebie krótkie spodnie razem z bielizną. Była na niego gotowa. Tutaj. Teraz. Już.

Piotr zatrzymał się i uniósłszy wzrok, spojrzał na nią. Miała lekko rozchylone usta i oddychała ciężko, a kiedy przerwał, wygięła ciało tak, jakby chciała podsunąć się biodrami pod jego usta. Z premedytacją odczekał jeszcze chwilę, a później wysunął język i delikatnie przeciągnął nim właśnie tam, gdzie chciała. Usłyszał cichy jęk pełen niewypowiedzianego pragnienia.

Oddychała ciężko, a on kątem oka dostrzegł, jak zaciska palce na kocu. Ponowił ruch raz, drugi, trzeci, a ona westchnęła głośniej, uniosła ramiona i wplątała mu palce we włosy. Pragnęła, żeby dokończył. Chciała poczuć go jeszcze bardziej. Całą sobą.

– Boże, Piotr... – wyszeptała pomiędzy kolejnymi przeciągnięciami jego miękkiego języka. – Nie męcz mnie dłużej...

Jej ciało nie mogło się go doczekać.

– Piotr – jęknęła, wyginając się w łuk. – Proszę cię...

Mężczyzna nie przerwał nawet na moment, a jej z niepohamowanego pragnienia brakowało już tchu. Coraz szybciej wysuwała biodra, aż nagle raptownie wygięła je ku górze i zastygła. Z jej ust wyrwał się przerywany jęk rozkoszy.

Chwilę później zakryła twarz rękoma, jakby próbowała ukryć to, że właśnie dał jej to, za czym od lat tak tęskniła. Oddychała ciężko, zasłaniając się, a potem wypuściła powietrze i przyciągnęła go za włosy do góry. Ich spojrzenia się spotkały.

– Nie masz pojęcia... – powiedziała urywanym głosem. – Jak jest mi dobrze...

Kanda przygryzł jej dolną wargę i całował delikatnie, kojąco.

– Boże... – zreflektowała się nagle. – Nie poczekałam nawet, aż zdejmiesz spodnie.

Jej oczy błyszczały w taki sposób, że Piotr uśmiechnął się z satysfakcją.

– Następnym razem je zdejmę – odparł, oddając pocałunek.

– Co...? – zdziwiła się i patrząc mu w oczy zamglonym wzrokiem, dodała: – Zapomnij, zaraz je zdejmiesz.

Westchnął.

– Z tym będzie problem... – Zawiesił głos i zrobił minę, jakby coś przeszkrobał.

Zaniepokojona zsunęła rękę w dół i dotknęła go. Poczowała, że spodnie, dosłownie pękają mu w szwach.

– Dlaczego? Nie widzę tu żadnego problemu...

Piotr mruknął coś pod nosem i położył się na niej. Nie odpowiadając nic, zaczął się lekko przesuwac, chcąc poczuć jej nagość przez ubranie.

– Cholernie mnie podniecasz, Martyna – powiedział i docisnął ją mocniej.

– No to zdejmij je.

Ścisnęła dłońmi jego pośladki.

– Aaach... – jęknął z rozpaczą w głosie. – Nie mogę. Nie mam... gumek – wykrztusił wreszcie.

– Co?

– Nie spodziewałem się, że przyjedziesz do mnie w trakcie pracy – przyznał ciężko. – Miałem je kupić, jak będę do ciebie jechał wieczorem.

Martyna zdębiała, a potem nagle zaczęła się śmiać. Wiedziała, że dla niego to wcale nie jest śmieszne, ale nie mogła się powstrzymać. Jeszcze raz docisnęła jego pośladki tak, żeby mocniej go poczuć.

– A to współczuję – rzuciła, chichocząc.

– Odbiję to sobie, zobaczysz – odparł stanowczo i zacisnął zęby na jej szyi.

– Mam nadzieję.

Kobieta uśmiechnęła się, przeczesując palcami jego włosy i przyciągając za szyję do swoich ust.

Całowali się krótko, spokojnie. Wreszcie Piotr odsunął się od niej na kilka centymetrów tak, żeby móc patrzeć na jej nagie ciało. Z bólem wymalowanym na twarzy podparł się na ramieniu i zaczął ją gładzić po brzuchu.

– Za to... – powiedziała, spinając nogi. – Językiem i palcami potrafisz robić cuda.

– Potrafię znacznie więcej – mruknął.

Martyna, z uśmiezkiem, jaki po seksie zostaje na twarzy jeszcze przez pewien czas, zbliżała się do domku sąsiadów. Z daleka usłyszała rozbawiony głos swojego dziecka, więc z miejsca opuściły ją wyrzuty sumienia, że nie spędziła tego dnia razem z nim. Kiełbasowie wrócili już z minizoo w Mostkach, a chłopcom najwyraźniej wycieczka się podobała, bo zarówno Maks, jak i Dawid, gdy tylko ją zobaczyli, od razu chcieli opowiedzieć o swoich wrażeniach. To było nawet dziwne, bo przecież mając naście lat, o niczym się już nie chce rodzicom opowiadać, więc uznała, że nie jest z nią jeszcze tak źle.

Jak się okazało, to wcale nie zwierzęta z zoo zrobiły na nich wrażenie, ale to, że Dawid poślizgnął się i wpadł do sadzawki z kolorowymi rybami. I właśnie to stanowiło dla nich atrakcję dnia.

– Ale mam nadzieję, że w tej sadzawce nie pływały piranie? – zapytała.

– Nieee, mam, no co ty! – Maks tylko machnął ręką. – Ale jakby Dawid szybciej się ruszał, to może nawet złapałby rybę na rękę.

Jej syn szeroko rozłożył ramiona i dodał:

– A taaakie były!

Dawid kiwnął głową i widać pasowało mu zainteresowanie, jakie wzbudził, wpadając do wody. Czuł się trochę jak gwiazda, o której nagle mówili wszyscy. Nic to, że były tam dzikie zwierzęta, zjedli obiad i mieli inne atrakcje – najważniejsze było, że bohaterko wyszedł z wody i ściągnął na siebie uwagę. Cóż, Martyna pomyślała, że trudno oczekiwać, żeby dla czternastolatka większą przygodą niż przypadkowa kąpiel było podziwianie zwierzątek.

– A jak twoja lekcja golfa, mam? Nuda? – zapytał Maks.

– Było całkiem przyjemnie. – Chrząknęła, widząc, jak zza drzwi domku sąsiadów przygląda jej się właśnie mama Dawida. – Znam kilka nowych chwytów – dodała, udając zamach wyimaginowanym kijem golfowym.

– Chyba... uderzeń – poprawił ją Maks.

– Aaa, tak, tak – przyznała. – Właśnie o to mi chodziło.

Stojąca niedaleko Monika zaśmiała się w specyficzny sposób, który na szczęście tylko Martynie zdradzał, że się zdemaskowała. Nie wiedziała, czy miną, gestem, czy tym, co powiedziała, ale jednego mogła być pewna: Monika Kiełbasa doskonale zdawała sobie sprawę z tego, co Martyna robiła razem z Piotrem w czasie nibylekcji golfa. Kobieta mrugnęła do niej, więc Martyna uśmiechnęła się lekko, myśląc, że jednak uprawia seks tak rzadko, że jak już jej się zdarzy, to nie dość, że dochodzi w kilka minut, to jeszcze widać to po niej gołym okiem. Trochę wstyd, chociaż z drugiej strony obie z Moniką miały to samo wyzwanie. Jedyna różnica tkwiła w tym, że Monika miała męża, więc teoretycznie miała z kim. Teoretycznie.

– To co, chłopcy? – spytała, wracając do nich spojrzeniem. – Zabieram was teraz na lody, chętni?

– Tak! Ja jestem gotowy od urodzenia – odparł Maks, a Dawid kiwnął głową z aprobatą.

– Daleko te lody? – spytała Monika.

– Ze dwie godziny nas nie będzie, dobrze? – Martyna odpowiedziała pytaniem, wiedząc, co tak naprawdę chce usłyszeć jej sąsiadka.

To babskie porozumienie określane też solidarnością jajników było wprost oczywiste. Z tego, co pamiętała Martyna, mąż Moniki nadal nie znalazł swojego telefonu – bardzo dziwne, doprawdy! – więc gdy Dawid zniknął im z pola widzenia, Monika dbała o odpowiednie wykorzystanie wolnego czasu. Po jej poprawiającym się z dnia na dzień humorze ewidentnie można było wywnioskować, że robi to bardzo skutecznie.

– Świetnie, bawcie się dobrze! – odpowiedziała sąsiadka i przez chwilę stała jeszcze w drzwiach domku, patrząc, jak się oddalają, aż wreszcie czmychnęła do środka i zamknęła za sobą drzwi.

Martyna uznała, że na lody pójdą spacerem, bo jazda autem skróciłaby podróż, a ona zamierzała chociaż trochę odwdziżyć się za wolne od dziecka przed południem. Jak to leciało z tym starym, polskim

powiedzonkiem? Rączka rączkę myje?

– Wolicie iść brzegiem jeziora czy miastem? – zapytała, patrząc na chłopców.

– Miastem – odpowiedzieli chórkami, a Dawid dodał, że jezioro już znają na pamięć, więc chętnie przejdą się po okolicy.

– Jak trafimy automaty do gier, to ja poproszę – powiedział jej syn, ciesząc się, że wreszcie znajdą się w cywilizacji.

Martyna nie zamierzała mu wyjaśniać, że to „przejście się miastem” to spore nadużycie, jeśli chodzi o... miasto. Niesulice może i były miejscowością turystyczną, ale tutaj życie kręciło się w ośrodkach i przy jeziorze, a sama wioska była raczej mała i nudna. Ruszyli w stronę wyjścia z Kormorana, a potem drogą otoczoną z obu stron lasem poszli w kierunku wioski. Dawid rozglądał za automatami do gier, ale nie zauważył niczego sensownego, przy czym można by się było zatrzymać. Po pięciu minutach powolnego spaceru nie wytrzymał i spojrzął na Maksa.

– Ty, chłopie, to jest przecież totalna dziura.

– No. Same domki – skrzywił się Maks.

– Pewnie wolelibyście siedzieć w mieście? – parsknęła Martyna. – Cieszcie się cudownym powietrzem – dodała zadowolona.

– Już wdycham to powietrze ponad tydzień, jeszcze trochę i pękne – rzucił Dawid.

Maks nadał policzki tak, że zrobiły się pełne jak u chomika, a potem z obu stron wsadził sobie w nie palce, powodując efekt pierdnięcia. Obaj zaczęli się śmiać, a Martyna pokręciła z niedowierzaniem głową. Czasem trudno jej było uwierzyć, że jej syn ma dwanaście lat, ale zwykle dotyczyło to sytuacji, w której zachowywał się tak, jakby był starszy, a tutaj następował regres.

– To gdzie te lody? Daleko jeszcze? – spytał.

– Musimy dojść do końca wioski i jeszcze kawałek dalej – odparła, zerkając na ekran smartfona. – Ale za to lody mają boskie, tak przynajmniej piszą w sieci – dodała.

Dawid sięgnął po swój telefon i spytał o nazwę.

– Kręcę Lody. Widziałam ich wczoraj na Facebooku.

Dawid machał palcem po ekranie, a potem zobaczył zdjęcia z Instagramu. Przewijał je i bąkał coś pod nosem.

– Co? – spytał Maks.

– No idziemy, wyglądają dobrze – mruknął. – Ktoś tu pisze, że nie skąpią na porcjach.

– Straszny jest ten Internet – zauważyła Martyna. – Zdradza wszystkie niespodzianki.

Minęli smażalnię ryb po lewej, znak wskazujący drogę do plaży gminnej i wreszcie zaczęli wspinać się pod górkę.

– Ej, mamoo! – zawołał Maks. – To nie tutaj pan Piotr mało cię nie zabił? – spytał, przypominając sobie dzień ich przyjazdu.

Martyna rozejrzała się i rzeczywiście poznała to miejsce. Zamiast jednak przypomnieć sobie moment, kiedy brakowało kilku milimetrów do potrącenia jej przez volvo Piotra, przypomniała sobie to, co robili dzisiaj na dzikiej plaży, i oblała się czerwienią.

– Mhm, tak. Dobrze, że nic się nam nie stało – odpowiedziała, widząc, że Maks dalej na nią patrzy.

– Takie są skutki gapienia się w telefon.

Jej syn oczywiście musiał to dodać, po prostu musiał.

Martyna nie skomentowała, myśląc, że tak to już jest, że kiedy dziecku zwraca się uwagę o coś milion razy, to nie słyszy tego wcale, ale gdy samemu tylko raz zrobi się coś, co jest z tym związane, to zaraz wytknie to palcem. I będzie przypominać przez pięć najbliższych lat. Machnęła ręką, zostawiając to tak, jak jest.

Sapiąc, wspięli się pod górkę, wzdłuż której parkowało chyba ze czterdzieści samochodów i trafili na prostą drogę, skąd z daleka łopotały na wietrze flagi z napisem Kręcę Lody.

– O! Jest. Biegniemy? – zaproponował Dawid, któremu nudził się już cały ten spacer.

– Dawaj! – rzucił Maks i zanim jego kolega się zorientował, ruszył pędem do przodu.

Martyna nie zamierzała zabijać się z nimi w tym wyścigu, więc obserwowała tylko, jak pędzą w kierunku wbitych w ziemię flag lodziarni. Przeszło jej przez myśl, że koniecznie musi jakoś utrzymać kontakt Dawida ze swoim synem. Dawno nikt nie miał na niego tak dobrego wpływu, jak ten dzieciak. Maks biegał – to był cud. Może powinna zaprosić Kiełbasów na weekend do Katowic? Wprawdzie to nie to samo co Poznań,

ale może pooddychaliby dla odmiany smogiem, dymami węgla i pozwiedzali kopalnię? Też mogłoby to być pewne urozmaicenie, a Maks nie straciłby kontaktu ze skutecznie odrywającym go od smartfona kolegą.

Przyspieszyła, widząc, że chłopcy już ustawili się w kolejce po lody. Mobilna budka stała przed domkiem jednorodzinny i kusiła kolorami naturalnych lodów. Za moment Martyna dołączyła do chłopców, mówiąc, że dziś mogą zamawiać, co tylko chcą.

Maks od razu zatarł ręce.

– Uuu, bez limitów?

– Tak, ale kto nie da rady zjeść, ten sprząta domki przed wyjazdem – powiedziała ostrzegawczo.

Chłopcy przykleili nosy do tablicy, na której wypisane były smaki, i zaczęli wybierać. Zanim się zdecydowali, Martyna zamówiła dla siebie porcję lodów jogurtowych, a potem szeroko otworzyła oczy, widząc, jak duża jest ta porcja. Wyglądała lekko jak trzy gałki w jednej.

– Panowie, spójrzcie tutaj – powiedziała, machając wafelkiem. – Nie wybierajcie za dużo, bo nie zjecie. To jest jedna gałka – dodała.

Na Maksie nie zrobiło to wrażenia.

– Zjemy, zjemy.

Wreszcie zdecydowali, zamówili i po chwili z ogromnymi porcjami lodów usiedli na ustawionych obok krzesełkach.

– Kto nie zje, ten buła – powiedział Dawid i zabrał się do deseru ze zdwojoną mocą.

– Kto ostatni, ten myje pomost! – Maks się zaśmiał.

– No, no, tylko mi tutaj bez wyścigów. – Martyna pokiwała palcem i z przyjemnością wyciągnęła nogi przed siebie.

Przechyliła twarz do słońca, ciesząc się chwilą.

Rozdział XI



10 lipca

Środa

Była czwarta nad ranem, gdy Maks, już ubrany i z napiętą z nerwów twarzą, chyłkiem wymknął się z domku letniskowego i ostrożnie zamknął za sobą drzwi.

Odetchnął z ulgą, ciesząc się, że nie zaskrzyphiały, i pobiegł prosto pod domek Dawida.

Razem z kolegą planowali to wszystko już od kilku dni, udając w tym czasie, że sąsiad z rottweilerem już wcale ich nie interesuje. Dziś wreszcie nadeszła długo oczekiwana chwila. W poprzednich dniach chłopcy dokładnie sprawdzili, o której godzinie Zbigniew Zarada opuszcza swój dom i idzie z psem na spacer oraz o której z niego wraca. Dawid wykorzystał nawet jeden z momentów, żeby sfotografować drzwi wejściowe do jego domku tak, by mogli zaplanować, jak je sforsują. Długo szukali na terenie ośrodka odpowiedniego żelastwa, którym według planu mieli pokonać zamek i dostać się do środka. Ostatecznie coś, co przypominało pilnik połączony z łomem, znaleźli w górze rupieci koło śmietników, i to rzeczywiście mogło idealnie nadać się do ich planu. Przygotowali sobie stroje maskujące, wygrzebując z jeziora zielone glony i susząc je na brzegu tak, żeby móc przyczepić je do ubrań. Nie byli już dziećmi, więc zadbali o szczegóły. Zależało im na tym, żeby tym razem nie skończyło się na wstydzie i upomnieniach ze strony rodziców. W końcu zamierzali im coś udowodnić.

Maks cicho podpełznął pod okno pokoju Dawida i zapukał dwa razy. Starszy o dwa lata kolega wychylił się od razu i kiwnął do niego głową, dając znać, że zaraz będzie gotowy. Chwilę później stał już przy Maksie i razem skradali się na tyły budynku restauracyjnego, przy którym schowali glony i stary łom ze spiłowaną końcówką.

– Masz telefon? – spytał Dawid, kiedy byli już na tyle daleko od domków, żeby nikt ich nie słyszał.

– Jasne. – Maks poklepał się po kieszeni i upewnił, że smartfon jest na swoim miejscu.

– Cokolwiek tam znajdziemy, robimy zdjęcia, a potem spadamy – przypomniał mu Dawid. – Zgłosimy wszystko na policję i dopiero wtedy opadną im szczęki – dodał.

Maks skinął i za moment przyczepiał już sobie glony do twarzy. Obaj uznali, że ubrania mają na tyle szaro-zielone-bure, że jedynie ich twarze będą wymagały maskowania. Po pierwsze, gdyby ktoś z sąsiadów ich dostrzegł, nie byłby w stanie powiedzieć, kim są. Po drugie, ich jasne cery było o tej porze widać zbyt mocno. Na zewnątrz było jeszcze ciemno, ale nie na tyle, żeby nie można było dostrzec schowanej za drzewami twarzy człowieka.

Dawid założył glony na głowę, tak, żeby zwisały mu na twarz i zasłaniały ją niemal całkowicie. Wyjął z kieszeni przygotowany wcześniej brudny sznurek i pierwszym kawałkiem związał sobie rośliny na głowie tak, by się nie zsunęły, a drugą częścią to samo zrobił na głowie Maksa. Potem cofnął się do pobliskiej kałuży, do której od dwóch dni dolewali wody z jeziora, żeby nie wyschła i porządnie się w niej wytarzał. Maks zrobił to samo. Nie byli idiotami, wiedzieli, że pies Zarady może ich zwęszyć, dlatego uznali, że błoto zamaskuje ich naturalny zapach i sprawi, że będą dla niego niewyczuwalni. Maks czytał o tym w Internecie.

– Gotowe, idziemy! – zarządził Dawid, podziwiając całość maskującego stroju.

– Okej, od tej chwili ani słowa, aż będziemy w jego domku – rzucił Maks.

W ciszy, skradając się od drzewa do drzewa, doszli wreszcie do miejsca, w którym kilkanaście metrów od domku Zarady rosło drzewo o dwóch złączonych ze sobą pniach. Cicho położyli się na ziemi, uważnie

obserwując swój cel. Maks spojrzął na telefon i zobaczył, że do wyjścia mężczyzny na spacer brakuje jeszcze piętnastu minut. Pokazał ekran Dawidowi i uniósł kciuk, jakby chciał powiedzieć, że wszystko idzie zgodnie z planem. Wtopili się w tło i leżąc nieruchomo na trawie, patrzyli w okna.

Po niecałych pięciu minutach zauważyli, że coś rusza się w środku. Zarada przechodził z pokoju do salonu z aneksem kuchennym i było widać, że coś tam robi. Chłopcy wyteżyli wzrok, ale nie byli w stanie zobaczyć tego zbyt wyraźnie.

Wreszcie, kiedy zaczęli już odczuwać chłód bijący od podłoża, drzwi domku otworzyły się i na taras wyszedł Hektor. Maks zaniepokojony spojrzął na Dawida i zobaczył w jego oczach to samo zdziwienie.

Pies Zarady nie był przywiązany na smyczy. Obaj przełknęli ślinę ze zdenerwowania, a pies, nie schodząc z tarasu, zerkał w stronę drzwi i dyszał. Nie mieli pojęcia, czy zaraz nie ruszy w ich stronę, i poczuli, że po skórze przechodzą im ciarki strachu. Dobrze wiedzieli, że jeśli to bydlę zacznie biegać, to zauważy ich w kilka sekund, w końcu czym dla takiego potwora jest kilkanaście metrów? Oczekiwali w napięciu na pojawienie się w drzwiach Zbigniewa Zarady. Maks bał się nawet oddychać, żeby zapach z jego ust nie dotarł do rozchylnych mocno nozdrzy psa. Wreszcie Zarada wyszedł na zewnątrz, a oni odetchnęli z ulgą, widząc, jak pochyla się do Hektora i przypina smycz do obroży. Patrzyli, jak idzie tą samą ścieżką co zwykle i znika za wzniesieniem prowadzącym na plażę.

– Teraz – szepnął Dawid, niemalże nie otwierając ust.

Szybko wstali i pochylając plecy, ruszyli do przodu. Dopadli do drzwi domku letniskowego, wiedząc, że pod nimi już nie będą mogli być przez niego zauważeni, a potem Dawid spojrzął na Maksa, kiwnął głową i nacisnął klamkę. Drzwi były otwarte! Spojrzeli na siebie zdziwieni, ale i zadowoleni, że nie będą musieli używać żelastwa, które tu ze sobą przynieśli. Dawid pchnął lekko drzwi, modląc się, żeby nie zatrzęszczały, a potem weszli do środka i je za sobą zamknęli.

– Zostawił otwarte, ale fart – szepnął Dawid. – Zaoszczędziliśmy pięć minut – dodał.

– Super. To szukamy? – Maks nerwowo rozglądał się na boki.

– Tak. I pamiętaj... – przypomniał mu kolega – cokolwiek znajdziemy, nie wolno nam krzyczeć.

– Wiem. Robimy zdjęcia i spadamy.

Dawid już był w połowie drogi do pierwszej sypialni.

– Ty salon, ja pokoje – rzucił krótko.

Maks w ciszy zaczął oglądać salon w domku Zarady i podświetlał sobie jego wnętrze smartfonową latarką. Na pierwszy rzut oka nie było tu niczego dziwnego, ale wiedział, że Zarada na pewno dobrze to schował. Pootwierał szafki kuchenne, w których pełno było psiego żarcia, przejrzał sofę, otworzył wszystko, co tylko mógł, a potem zajrzał pod blat i wtedy to zobaczył.

Wielki, płócienny wór. Przypomniał sobie, jak Zarada wciągał coś takiego do domku, i nerwowo przełknął ślinę. Zrobił zdjęcie worka, a potem odwrócił się, by sprawdzić, czy Dawid jest gdzieś w zasięgu jego wzroku. Odgłosy dochodzące z pokoju obok świadczyły o tym, że jego kolega intensywnie szuka, więc postanowił go nie wołać. Ustawił smartfon tak, żeby latarka świeciła na worek, a potem przykucnął przy nim i dotknął go od góry. Coś, co znajdowało się w środku, zdecydowanie było sztywne. Maks miał szczerą nadzieję, że to nie są zastygnięte zwłoki, ale czuł, że mogłyby być. Odwiązał sznurek, którym worek był spięty, a potem z trudem wyciągnął go spod blatu tak, żeby mieć lepszy dostęp. Wór był cholernie ciężki. Wreszcie Maks uchylił go i poświecił do środka latarką. Zauważył dziwne kulki, więc wsunął rękę do wewnątrz i szukał głębiej. Przebijał się coraz dalej przez śmierdzące granulki, ale dłonią niczego nie wyczuł. Już chciał zamknąć worek i wciągnąć go na miejsce, ale wtedy pomyślał, że gdyby był przestępcą, to właśnie na końcu takiego wora schowałby coś, czego nikt nie miał znaleźć. Zagarnął ręką kulki i zaczął je szybko wygarniać na podłogę. Niezle się zmachał, zanim dotarł do końca, a nieprzyjemna woń karmy rozeszła się po całym pomieszczeniu.

– Masz coś? – spytał nagle Dawid, który pojawił się za jego plecami.

– Jezus, nie strasz mnie. – Maks mało nie podskoczył. – Jeszcze nie mam, szukam w worku. A ty?

– Nic – odparł Dawid, a potem podszedł do tyłu worka, złapał go i wywalił resztę zawartości na podłogę. – Co to? Psie żarcie? – zdziwił się.

– Nie wiem, ale śmierdzi.

– Nic tu nie ma, Maks, to wór suchego, psiego żarcia. – Dawid z niezadowoleniem pokręcił głową. – W tamtych pokojach tylko ubrania, psi kojec, stare książki i album na zdjęcia, same gówna – dodał.

– Kurde. – Maks był rozczarowany. – Gdzie on to schował? – pytał siebie, rozglądając się po

pomieszczeniach.

Dawid wzruszył ramionami.

– Albo stary dziad jest lepszy, niż myślimy, albo... – zawiesił głos – nic nie zrobił i po prostu jest zwykłym chamem.

– Obstawiam to pierwsze.

– Nie ma dowodów. Nic. – Dawid zmarszczył brwi. – Nawet jeśli schował coś pod podłogą, to nie mamy czasu, żeby pukać i sprawdzać każdą deskę.

Myśleli intensywnie, gdzie jeszcze Zarada mógł schować zwłoki albo to, co z nich zostało, kiedy za oknem mignął im jakiś cień.

– Ciii... – szepnęli niemal równocześnie i kucnęli przy podłodze, patrząc na siebie z niedowierzaniem.

Maks poczuł, jak drętwieją mu nogi, a serce zaczyna przyspieszać.

– Już wrócił?

Dawid ruchem ręki kazał mu być cicho. Usłyszeli skrzypienie desek na tarasie i kroki przy drzwiach. Ktoś nacisnął klamkę, uchylił drzwi, a potem, nie wszedłszy do środka, zamknął je od zewnątrz.

– No widzisz, piesku, dobrze myślałem – odezwał się Zbigniew Zarada. – Zapomniałem zamknąć – dodał i przekręcił klucz. – Teraz gotowe.

Dawid i Maks odetchnęli, ale serca waliły im tak mocno, że nie mogli się ruszyć.

– No chodź, Hektor, idziemy! – wołał Zarada. – Co jest, piesku?

Chłopcy znowu zdrętwieli, a potem usłyszeli warczenie psa. Zrobiło im się gorąco. Zarada, który stał już przy oknie, ale z tej pozycji nie mógł ich zauważyć, wrócił pod drzwi. Jego pies warował przy nich i co chwilę wyciągał łapę, drapiąc pazurami po drewnie.

– Co jest, Hektor? – powtórzył mężczyzna i pociągnął mocniej za smycz. – Chodź na spacer – powiedział, ale pies nawet nie drgnął.

Zarada widział, jak sierść zjeżyła mu się na karku, i patrzył na niego, kręcąc głową.

– Chcesz do domu? – spytał psa, sprawiając, że słyszący go chłopcy dostali właśnie małego zawału serca.

Za drzwiami panowała absolutna cisza, przerywana miarowym warczeniem wkurzonego rottweilera.

Wreszcie chłopcy usłyszeli, jak Zarada wkłada klucz do zamka i go przekręca.

Zamarli.

Drzwi uchyliły się lekko i wtedy do wnętrza wsunął się czarny łeb. Hektor rozejrzał się po pomieszczeniu i widząc ich skulonych przy aneksie kuchennym, zjeżył się jeszcze bardziej. Otworzył wielki pysk pełen ostrych zębów.

– Hektor, siad! – rzucił komendę Zarada.

Mężczyzna czuł, jak zwierzę szarpie mu się na smyczy, i nie miał pojęcia dlaczego. Mimo szarpania pies wszedł do domku i dopiero na progu siadł na tylnych łapach, nie spuszczając chłopców z oczu. Jego czerwone, zionące złością białka wbijały się w nich tak intensywnie, jakby chciał ich z miejsca rozszarpać. Nawet nie spojrzał na leżące wszędzie granulki żarcia. Był zainteresowany tylko intruzami.

– Niech pan nie spuszcza psa! – krzyknął nagle Dawid, nie wytrzymując napięcia.

– Co? Kto tam jest? – odezwał się Zarada.

Wszedł do środka i włączył światło. Kiedy tylko zobaczył, co dzieje się w jego domku, a potem dostrzegł Maksa i Dawida między rozsypanym po całej kuchni psim żarciem, odwrócił się i gwałtownie zamknął drzwi wejściowe. Chłopcy z nerwów zaczęli się jękać.

– Przepraszamy! – zawołali niemal jednocześnie i cofnęli się do ściany tak bardzo, jak tylko mogli. – My nie chcieliśmy!

– Co wy tu, do kurwy, robicie?! – wrzasnął mężczyzna i poluźnił smycz, sprawiając, że Hektor zrobił kilka kroków do przodu.

– Panie Zarada, niech pan go nie spuszcza! – prosił Dawid. – Błagamy, my... chcieliśmy sprawdzić, czy nie ma pan tu zwłok, ale nic nie znaleźliśmy, przysięgam! Jest pan niewinny!

– Przepraszamy, wiemy, że nie jest pan zły! – dołączył do niego Maks.

Zauważyli, jak Zbigniew Zarada mocno zaciska pięść, w której trzymał smycz psa, a jego twarz robi się czerwona ze złości. Mężczyzna patrzył na nich, doskonale wiedząc, że nie mogą uciec, bo Hektor rozszarpałby ich na strzępy.

– Zdejmijcie z głowy to ścierwo! – warknął, nie mogąc rozpoznać ich twarzy przez wiszące na nich glony.

Maks szybko zdarł z siebie kamuflaż, a Dawid, nie czekając, poszedł za jego przykładem. Patrzyli na Zbigniewa błagalnymi oczyma, a broda Maksa drżała z nerwów.

– Przepraszamy – powtarzali jeden przez drugiego. – Bardzo pana przepraszamy!

Mężczyzna rozejrzał się po splądrowanej kuchni, podłódze zarzuconej górą psiego żarcia w kulkach, pootwieranych szafkach i porozrzucanych wszędzie kocach z narożnika.

– Kurwa mać – sapnął. – Co wy tu zrobiliście?!

– My wszystko posprzątam, przysięgam – powiedział Dawid. – Tylko niech pan nie spuszcza na nas tego psa. – błagał.

Zbigniew Zarada podsunął sobie krzesło, oparł je o drzwi, zasłaniając je swoimi plecami i usiadł. Zaciskał pięści, oddychając ciężko, i patrzył na Hektora, który był już gotów do walki i tylko czekał na sygnał.

– Waruj – rzucił krótko.

Hektor natychmiast zastygł w miejscu.

– W dziesięć minut ma tu być porządek – powiedział wreszcie mężczyzna, siląc się na spokój. – Potem go spuszczę, żeby się wami nażarł – dokończył i spojrzał na zegarek.

Dawid natychmiast rzucił się do zamykania szafek, a Maks padł na ziemię i zaczął ładować psie żarcie z powrotem do worka. Kulki wysypywały mu się z rąk, a trząsał się przy tym tak bardzo, że nie mógł trafić do worka. Wiedział, że nie zdąży w dziesięć minut. Nie ma szans. Łzy podeszły mu do oczu, ale nie przestał pakować kulek. Zagarniał je całymi garściami i patrzył, jak Dawid biega dookoła i sprząta, co tylko może. Rottweiler śledził każdy jego krok. Wywalił do przodu jęzor i dyszał.

– Dziewięć minut – odliczał Zarada.

Maks nie był nawet w jednej dziesiątej sprzątanina, więc przyspieszył i jednocześnie czuł, że łzy lecą mu po twarzy ze strachu.

– Będziesz ryczał, mały gnojku? Zapierdalaj z tym! – krzyknął Zarada, sprawiając, że Maks rozplakał się jeszcze bardziej.

Smarki zaczęły mu lecieć z nosa na podłogę.

– Ubrudzisz żarcie mojego psa! – ryknął obserwujący go mężczyzna, a Maks szybko wytarł twarz rękawem bluzy upapranej w błocie.

Dawid skończył sprzątać kuchnię i próbował przejść do pokoju obok, kiedy Zarada powstrzymał go ręką.

– A ty gdzie? – spytał podniesionym głosem.

Dawid przełknął nerwowo ślinę, tłumacząc, że pokoje obok też przeszukiwali. Mężczyzna zmarszczył czoło, kazał psu pilnować Maksa, a sam wstał, popchnął Dawida przed sobą i ruszył za nim do pierwszego pokoju. Kiedy weszli do środka, o mało nie złapał się za głowę. Sypialnia była kompletnie zdemolowana. Wszystkie ubrania, które tu miał, leżały rozwalone po całym pokoju, spod łóżka wystawały pootwierane walizy, książki walały się po podłódze. Dostrzegł album ze zdjęciami.

– Który to zrobił?! – krzyknął naprawdę wkurzony.

Dawid spuścił głowę i było jasne, że to on za to odpowiada. Zarada podszedł do niego, złapał go za bluzę i podniósł tak, że nogi chłopca dyndały w powietrzu.

– Przepraszam! – krzyknął Dawid. – Ja to posprzątam! – powtarzał raz po raz, gdy Zbigniew potrząsał nim w nerwach.

Wreszcie postawił chłopca na ziemi, a potem pchnął go w głąb pokoju.

– Ma być, kurwa, błysk albo was zajebię! – darł się.

Dawid rzucił się do składania ubrań i podnoszenia tego, co wcześniej w pośpiechu porozrzucił. Zbigniew Zarada stał w przejściu, zerkając to na chlipiącego w salonie Maksa, to na Dawida. Wreszcie nie wytrzymał i ze złością huknął ręką w ścianę. Chłopcy zamarli, a Hektor podniósł łeb i mimo komendy warowania podszedł do swojego pana, by ocierać się o jego nogi zupełnie tak, jakby chciał go uspokoić.

Mężczyzna wziął kilka głębszych oddechów, pogłaskał psa, a potem kazał mu wrócić na miejsce. Sam nie spuszczał Dawida z oczu i patrzył na każdy jego ruch.

– Równy ma być poskładany! – warczał. – Macie jeszcze cztery minuty!

Maks zbierał już ostatnie psie kulki i wpychał właśnie rękę pod sofę, gdzie zawieruszyło się ich jeszcze

kilka. Wyzbrał wszystko, co mógł, a potem krzyknął, że skończył i że pomoże Dawidowi, ale bał się ruszyć o krok, widząc wpatrzone w siebie oczy psa. Mężczyzna kazał mu podejść, a potem wskazał drzwi do drugiego pomieszczenia. Domyślił się, że tam również byli. Maks szybko wszedł do środka i zabrał się do pracy.

W ciągu kolejnych trzech minut chłopcy spoceni od stóp do głów skończyli sprzątać i z trzęsącymi się rękami stanęli przed Zaradą, który podparł się pod boki i patrzył na nich ze złością. Sięgnął do tylnej kieszeni spodni i wyjął swój telefon.

– Numer do matki, jednej i drugiej! – warknął.

Chłopcy bez zwłoki podali numery, a on zaczął dzwonić. Najpierw poinformował o włamaniu do swojego domku mamę Maksa, później Dawida, a na koniec zadzwonił na policję, żądając natychmiastowej interwencji.

Równo pięć minut później Martyna i Monika stały w piżamach na tarasie jego domku i pukały do drzwi. Zarada wskazał chłopcom narożnik w salonie i powiedział, że mają siadać. Potem podszedł do drzwi i wpuścił do środka ich matki.

Cześć, widzimy się wieczorem?

SMS od Piotra dotarł do Martyny akurat wtedy, gdy parzyła sobie kupioną w ośrodkowym sklepiku herbatę ziołową.

Po spisaniu zeznań, wyjeździe policji i zabranii roztrzęsionego Maksa z domu Zbigniewa Zarady czuła, że musi się uspokoić, a kawa na pewno by jej w tym nie pomogła. Zresztą ciśnienie miała podniesione tak bardzo, że jeszcze trzęsły jej się ręce. Ostatnie, o czym teraz myślała, to spotkanie z Piotrem.

Odpisała, nie siląc się na wyjaśnienia.

Przepraszam, Piotr, dzisiaj nie mogę.

Martyna miała wrażenie, że po tym, co stało się rano, nie potrafiłaby mu nawet tego sensownie streścić. Poza tym, jak mogłoby go obchodzić to, co wyprawia jej syn? Tłumaczenia były zbędne.

Maks zamknął się w swoim pokoju i chyba płakał, ale powiedział, żeby mu dała chwilę, więc nie wchodziła do środka i nie zamierzała go pocieszać. Oczywiście, że stary Zarada grubo przesadził, strasząc dzieci psem i każąc im sprzątać, ale z drugiej strony... chłopcy włamali się do niego, zrobili w mieszkaniu sajgon i jeszcze policji powiedzieli, że szukali zwłok, bo facet według nich jest mordercą. Koszmar.

Martyna nie wiedziała, czy powinna teraz syna pocieszać, czy karcić, bo widziała przecież, że jest totalnie załamany, i pewnie przy policji też nie powiedział wszystkiego. Sięgnęła po kubek z herbatą i wyszła na taras, żeby owiało ją świeże powietrze. Upiła łyk i spróbowała podejść do tego inaczej.

Może to wszystko trzeba po prostu rzucić na karb dziecięcych wygłupów? W końcu, kiedy Zarada mówił, że zastał ich w domu z glonami na głowie, to mało jej kaptcie nie spadły. Coś jak zabawa w małych szpiegów? Bohaterzy i przestępcy? Skauci? Dzieci mają takie pomysły, więc może nie było sensu robić z tego wielkiego wydarzenia? Dawid i Maks wyglądali zresztą, jakby dostali więcej niż grubą nauczkę. I jeszcze ta cała policja.

Stary Zarada był cwany. Funkcjonariuszy wezwał od razu, a ci przyjechali szybko, więc zastali w jego domku i małych włamywaczy, i ich matki. Do tego dowody czynu zabronionego w postaci zdjęć z włamania, które chłopcy zrobili sami, własnymi telefonami. Nastolatkowie mieli tyle szczęścia, że poza zgłoszeniem sprawy na policję sąsiad nie zamierzał ich o nic wielkiego oskarżać, a Martyna czuła, że całym tym zamieszaniem chce dać im ostrą nauczkę, ale bez ciągnięcia się po sądach.

Dźwięk SMS-a od Piotra przerwał jej rozmyślenia.

Stało się coś?

Westchnęła i dotknęła opuszkami ekranu.

Chłopcy poszaleli z rana. Włamali się do domku sąsiada i szukali zwłok.

Za chwilę na smartfonie zobaczyła połączenie przychodzące. Uśmiechnęła się, uznając, że wprost marzy o opowiadaniu wakacyjnemu kochankowi o przygodach matki i jej psychodelicznego dziecka, które jednak nie okazało się synem Jamesa Bonda.

Przesunęła palcem po ekranie i odebrała.

Rozdział XII



11 lipca

Czwartek

Martyna obudziła się z poczuciem kaca moralnego wobec syna. Nadal nie wiedziała, czy powinna bardziej go za tę całą akcję zganić, czy przytulić i nałożyć szlaban. Ostatecznie wczoraj zwróciła mu już uwagę na to, ile wstydu najedli się podczas wizyty policji i rozmowy w domku Zbigniewa Zarady. Przez ich głupie pomysły mogło przecież dojść do tragedii. Gdyby Zarada nie przywołał do porządku psa, kiedy wchodził do domku letniskowego, to któregoś z nich mogłoby spotkać nieszczęście.

Maks wyginał usta w płaczącą podkówkę i przeproszał, ale jednocześnie wytknął jej, że go nie wspiera i nie rozumie. Martyna nie pamiętała już, czy w swoim dzieciństwie też podejrzewała sąsiadów o jakieś zbrodnie, więc nie wiedziała, jak na to wszystko mądrze zareagować. W niektórych sytuacjach i wilk musiał być syty, i owca cała, ale przecież nie mogła głaskać syna po głowie, kiedy dewastował czyjąś własność, szukając – o zgrozo! – zwłok i dowodów zbrodni. Jak miała wspierać jego poczynania? Włożyć na głowę czapkę z glonów i udawać, że znajdzie to ciało – jakie, do licha, ciało?! – razem z nim? Zbigniew Zarada był chamem bez grama kultury, ale, do cholery, nawet wobec takiego gościa nie można się tak zachowywać.

Wstała z łóżka, wsunęła stopy w klapki i poczłapała do kuchni. Nalała sobie szklankę wody i wtedy wpadło jej do głowy, że zrobi dla Maksa coś miłego, tak na zatarcie złego wrażenia „niewspierającej matki”. Wróciła do sypialni, ubrała się, a potem cicho wyszła na zewnątrz, kierując się na parking. Maks uwielbiał świeże bułki, a że widziała wcześniej w okolicy sklep z pieczywem, kawałek przed Niesulicami, to postanowiła, że pojedzie tam i kupi. Może nawet dorzuci ulubione batoniki syna i udobrucha go, serwując dobre śniadanie.

Na dworze było już jasno, a pierwsi turyści, zapewne ci z kategorii rannych ptaszków, już przechadzali się między drzewami. Jeden z papieroskiem, drugi z psem, trzeci zaliczał poranny trening i opierając się o drzewo, robił pompki. Jeszcze inny ziewał na wyraźnym kacu. Typowy obrazek z wakacyjnego ośrodka wypoczynkowego, zwłaszcza ten ostatni... na kacu.

Minęła ich z uśmiechem i za moment stała już na parkingu. Wcisnęła przycisk otwierania samochodu, a wtedy zauważyła, że jej auto wygląda dziś jakoś inaczej. Obeszła niebieskie suzuki i wreszcie to dostrzegła.

Jedno z kół miało potężnego flaka.

– Jasny szlag – westchnęła.

Kucnęła przy kole i wówczas zobaczyła coś jeszcze. Oponę ewidentnie przebito jakimś ostrym narzędziem. Ślad był widoczny gołym okiem. Nerwowo wciągnęła powietrze do płuc, wypuściła je i powtórzyła to kilka razy. Wdech, wydech, wdech, wydech, tylko spokojnie. Zamknęła auto i wróciła do domku letniskowego, zastanawiając się, kto mógł jej urządzić taką niespodziankę. Po głowie chodziło jej tylko jedno nazwisko. Nikomu więc nie zdążyła tutaj podpaść.

Wiedziała, że nie może działać pochopnie, ale, do cholery, to było takie oczywiste! Stary Zarada po prostu zemścił się na niej za akcję Maksa.

Sięgnęła po telefon i zadzwoniła do Piotra. Chwilę czekała na połączenie.

– Hej, ranny ptaszku, co tam? – Piotr przywitał ją uśmiechem tak wyczuwalnym w głosie, że mimowolnie sama uniosła kąciki ust.

– Cześć, słuchaj, mam sprawę – zaczęła. – Umiesz wymienić koło w aucie?

– Ooo, a co się stało?
– Ktoś mi w nocy przebił oponę – odpowiedziała. – Właśnie byłam na parkingu i jest cała pocięta nożem – wyjaśniła.
– Myślisz, że to ten koleś od psa? – spytał niemal automatycznie.
– To samo przyszło mi do głowy – odparła, nalewając wodę do czajnika i nastawiając ją.
– Spytaj w Kormoranie, czy na parkingu mają kamery – zasugerował.
– O, na to nie wpadłam! Dziękuję, tak zrobię! – ucieszyła się z pomysłu, licząc na to, że dorwie Zaradę na gorącym uczynku. – A co z tym kołem? Potrafisz wymienić czy dzwonić po jakąś pomoc?
– No wiesz? Oczywiście, że potrafię – zdziwił się, że w ogóle mogła pomyśleć inaczej. – Przyjadę do ciebie po pracy, okej? Czy to coś pilnego?
– Nie, nie, spokojnie, poczekam. Wielkie dzięki.
– A potrzymasz mi lewarek? – spytał z podstępny uśmiechem w głosie.
Martyna mało się nie zakrztusiła.
– Tylko lewarek? – parsknęła, dziwiąc się, że w takiej chwili Piotr potrafi ją rozbawić.
– Hm, skoro już pytasz, to coś jeszcze wymyślę! – rzucił. – Martyna, muszę kończyć, zbieram się już do wyjazdu – dodał.
– To czekam po południu. Jeszcze raz dziękuję, Piotr.
– Nie ma sprawy.

Martyna zalała kawę i znalazła w Internecie numer do recepcji Kormorana. Nie chciało jej się iść. Zadzwoiła, krótko wytłumaczyła kwestię przebitej opony i z nadzieją w głosie zapytała o monitoring na parkingu. Sympatyczna pani bardzo jej współczuła, zaproponowała pomoc któregoś z pracowników przy wymianie koła, ale oznajmiła, że na parkingu nie ma monitoringu, więc w tej sprawie niestety nie pomoże. Martyna westchnęła rozczarowana, ale i tak podziękowała jej za chęć pomocy.

Powoli wypila kawę, starając się wymyślić sensowne rozwiązanie. Wreszcie stwierdziła, że nie może tego tak zostawić i uznała, że sama pójdzie do Zbigniewa Zarady. To przecież oczywiste, że diabeł się na niej teraz odgrywa, jakby mało mu było policji wzywanej do dziecka. Zebrała się na odwagę i energicznym krokiem ruszyła w stronę jego domku. Chwilę później już stała pod drzwiami. Pies wyczuł ją i cicho warczał po drugiej stronie, sprawiając, że zrobiło jej się nieswojo. Mimo tego podniosła rękę i energicznie zapukała. Usłyszała, jak mężczyzna uspokaja rottweilera, a potem podchodzi do drzwi. Przekręcił klucz w zamku, wychylił głowę na zewnątrz i kiedy ją zobaczył, zmarszczył czoło.

– A pani tu czego? – spytał nieuprzejmie.
– Nie domyśla się pan? – odpowiedziała równie niemiło.
– Szczył chce przeprosić? – zapytał. – Obejdzie się, niech się po prostu więcej nie wtrzymania w moje sprawy – dodał i chciał zamknąć drzwi, ale Martyna wsunęła stopę między nie a futrynę.
– Chwileczkę – powiedziała stanowczo.
Zarada spojrzął na nią niezadowolony, a potem otworzył drzwi szerzej.
– Słucham? – rzucił. – Niech się pani streszcza.
– Dziś rano przebito mi oponę w samochodzie – powiedziała wprost. – Domyślam się, że to pana sprawa? – spytała, chociaż zabrzmiało to jak stwierdzenie.
– Co proszę? – Zarada uniósł brew. – Wypraszam sobie. Ma pani dowody czy będę już wiecznie o coś podejrzewany przez pani rodzinę? – zachnął się. – Zwłoki, trupy, przestępstwa, jeszcze auto? Ocipiała pani do reszty? – Podniósł głos.

– To chyba ja powinnam o to spytać. – Nie wytrzymała. – To, że mój syn bawi się jak każdy dzieciak i ma fantazję, to jeszcze nie powód, żeby dorosły facet przebijał mi opony w aucie! – dodała.

Zarada wyszedł na zewnątrz i przysunął się do niej tak, że mógłby ją teraz swobodnie popchnąć. Minę miał zresztą taką, jakby to właśnie zamierzał zrobić.

Martyna cofnęła się kilka kroków, widząc, że w ślad za nim, z domku wynurza się jego pies. Czarny potwór usiadł przy nodze swojego pana i patrzył na nich czujnie. Mężczyzna wziął głębszy oddech, a potem zaczął jej machać palcem tuż przed oczyma.

– Niech pani nie robi ze mnie idioty i bandyty – wykrztusił. – Nigdy, do chuja, nie przebiłem nikomu opony, i to pani robi mi od początku problemy! To przez was nie mam tu spokojnego urlopu, bo czepiacie się o byle gówno wyłącznie dlatego, że mam psa! – ciągnął.

– Mam w nosie pana psa – wypaliła Martyna. – Przebito mi oponę, a nikt nie ma tu do mnie pretensji, tylko pan, więc co mam, do licha, myśleć? – spytała.

– Najlepiej niech pani w ogóle zacznie myśleć, bo na razie przypieprza się pani do mnie bez powodu – odpowiedział. – Powtarzam raz jeszcze, nie przebiłem żadnych opon, więc jeśli nie ma pani dowodów, to proszę mnie przeprosić i spierdalać! – dodał, robiąc się czerwony.

– Chyba coś panu upadło na głowę – rzuciła. – Jeśli znajdę świadków, spotkamy się o tę oponę w sądzie!

– A proszę uprzejmie! – warknął. – Może wreszcie założą pani kaftan, a ktoś fachowy zajmie się dzieciakiem, bo jesteście nienormalni, cała rodzinka.

Martyna zmrużyła powieki, zacisnęła usta i spojrzała na niego zimno.

– Udowodnię, że to pan.

– Głucha jesteś, durna babo? – Zarada zrobił krok w przód i schylił się tak, żeby patrzeć jej w oczy z odległości kilku centymetrów. – Wypierdalać!

Martyna była niemal pewna, że rozjuszony facet zaraz napluje jej w twarz, więc pokręciła głową z oburzeniem, ale zamiast kontynuować tę bezsensowną rozmowę, wycofała się.

Na do widzenia odwróciła się jeszcze do niego i zamasyście machnęła ręką, wyciągając ku niemu środkowy palec.

Wiedziała, że przegina, ale mężczyzna wyprowadził ją z równowagi.

Piotr trzymał burtę kajaka rękami i pilnował, żeby się nie przechyliła.

– Dobrze, Maks, najpierw postaw na środku jedną nogę – mówił – Uważaj, nie bujaj teraz.

Obserwował dwunastolatka, a kiedy ten stanął, jak należy, dodał:

– Świetnie, teraz dołóż drugą, ugnij nogi i usiądź.

Maks bez wahania wykonał jego polecenie i po chwili mościł się już wygodnie z przodu kajaka.

– Ekstra. Nie wywaliłem się! – stwierdził dumnie i popatrzył na stojących obok mamę oraz Dawida.

To Piotr zaproponował wspólne kajakowanie, a ponieważ, jak sam twierdził, znał się na tym, to Martyna zgodziła się spędzić w ten sposób popołudnie. Zaopatrzeni w kamizelki ratunkowe cierpliwie czekali, aż Piotr ich odpowiednio pousadza. Dawid Kiełbasa nie mógł odpuścić tej okazji, zwłaszcza że już kiedyś siedział w kajaku, więc czuł się pewniej niż Maks czy Martyna. Niemniej Piotr Kanda uznał, że wszyscy najpierw poćwiczą na płytkiej wodzie i zobaczą, jak im idzie. Dopiero po treningu podzielił towarzystwo na zespoły, sam decydując, że popłynie z Maksem, a Martynę oddelegował do Dawida. Zależało mu na tym, żeby każdy miał w kajaku kogoś w miarę zorientowanego i żeby jednocześnie dzieci nie były same.

– Doskonale, Maks – pochwalił chłopca. – Teraz poczekaj tu na mnie, a ja pomogę się zaokrętować twojej mamie.

Dawid siedział już w drugim kajaku, więc Piotr podszedł do Martyny i powtórzył to, co przed chwilą tłumaczył Maksowi. Martyna wgramoliła się do środka, na szczęście bez wpadki, i odetchnęła z ulgą, ciesząc się, że nie narobiła sobie wstydu przy dzieciach.

– Pysznie! – zawołał zadowolony Piotr.

Następnie dołączył do kajaka, w którym czekał Maks.

– A teraz wiosła w dłoń, panie i panowie. Jeszcze jedna mała lekcja i ruszamy.

Cała trójka karnie złapała za drewniane wiosła i powtarzała ruchy, które pokazywał im Kanda. Skręt w prawo, skręt w lewo, do przodu, do tyłu, na co uważać. Martyna z uśmiechem patrzyła na zaangażowanie Maksa, który, zdawało się, szybko chciał nabrać wprawy. Cieszyła się, że zesłała mu już z twarzy ta nieszczęśliwa mina dziecka, z którą chodził od rana, myśląc pewnie o tym, co spotkało go wczoraj u Zbigniewa Zarady. Oszczędziła synowi opowieści o przebitym kole i porannej wizycie u sąsiada. Nie chciała go dodatkowo denerwować.

Piotr miał genialny pomysł na poprawienie im nastrojów, bo kiedy po pracy przyjechał do Kormorana, od razu zaproponował kajaki i wypoczynek na wodzie, a jej przebitą oponą obiecał zająć się wieczorem.

– Martyna! – zawołał ją, widząc, jak wiosło kobiety o włos mija głowę siedzącego z tyłu nastolatka. – Nie machaj tak mocno do tyłu, bo uszkodzisz Dawida.

– Ups. – Zreflektowała się i jeszcze raz poprosiła o pokazanie jej tego, jak ma go używać.

Piotr powtórzył wszystko ponownie, a oni uważnie go naśladowali.

– Okej, myślę, że nauki wystarczy, czas na praktykę – stwierdził. – Dawid i Martyna, płyncie przodem w stronę pomostu, tam po prawej. – Wskazał palcem. – My popłyniemy za wami dla asekuracji – dodał, patrząc na Maksa, który właśnie odwrócił głowę w jego stronę.

– Tak jest!

Maks poczuł, że ma misję do spełnienia, i ochoczo zabrał się do wiosłowania. Bez problemu dopłynęli do oddalonego pomostu i już po chwili trzymali się jego brzegów, starając się nie chybotać za bardzo kajakami.

– Ale fajnie! – rzucił Maks, czując, że przyglądają mu się ludzie stojący na pomoście.

– Potwierdzam, przyjemnie – odparła Martyna. – Coś czuję, że na tym kajaczku można się nieźle opalić. – dodała.

– A nawet spalić – skwitował Piotr. – Nasmarowaliście się czymś?

– Mhm, tak.

Martyna jeszcze przed wyjściem z domku letniskowego nałożyła na siebie i Maksa taką ilość kremu z filtrem, że żadne słońce nie miałyby szans.

– Super, na wodzie tak nie czuć upału, ale po wyjściu z kajaka, owszem – wyjaśnił Kanda. – To co, dokąd dalej? Maks, jesteś najmłodszy, więc rozejrzyj się i wybierz kierunek – zaproponował.

Maks wyprostował się i zaczął się rozglądać. Jezioro z tej perspektywy wydawało mu się naprawdę duże i takie zresztą było, dlatego przez kilka chwil nie mógł się zdecydować. Wreszcie dostrzegł w oddali jakąś plażę. Pasek piasku ciągnący się przy wodzie był stąd ledwo widoczny, ale jednak.

– Może tam? – Wskazał ręką.

– To plaża gminna, tam, gdzie są dmuchane pontony – powiedział Piotr. – Byliście tam już?

– Aaa! Jasne! – odezwał się Dawid, kojarząc miejsce bez pudła. – Pontony są ekstra, dobra, ja jestem za tym, żeby tam płynąć!

– To spory kawałek i już przez głęboką wodę – zauważył Piotr. – W razie wywrotki, wszyscy potrafią pływać? – Upewnił się.

– Tak!

– No dobrze, to płyniemy, tylko trzymamy się blisko brzegu – dodał.

– Możemy płynąć obok Dawida i mamy? – spytał go Maks, który nie chciał zostawać w tyle.

– Pewnie. Przyspiesz, to zaraz będziemy obok – zgodził się Piotr. – Tylko w odległości, żeby mogli swobodnie wiosłować.

– Dobra.

Piotr patrzył, jak Maks mocno macha ramionami, i pomyślał, że chłopak zdecydowanie chce się wykazać. Oparł więc swoje wiosło o brzegi kajaka i relaksował się, nic nie robiąc. Kiedy zrównali się z Dawidem i Martyną, pomachał im leniwie.

– Ej, cieniasy! – zawołał. – Patrzcie, jak mi dobrze, Maks wiosłuje jak stary kajakarz, a ja nie muszę nic robić.

Jak na zawołanie Dawid siedzący z Martyną zaczął wiosłować o wiele mocniej. Martyna uśmiechnęła się pod nosem, widząc, że mina Maksa wskazuje, iż ani myśli dać mu się wyprzedzić. Wzięła przykład z Piotra i odłożyła swoje wiosło. Przez kilka kolejnych minut chłopcy się ścigali i żaden nie chciał odpuścić. Maks był wprawdzie młodszy, ale radził sobie naprawdę nieźle.

– No to chyba dopłyniemy do plaży, odpoczniemy, a w drodze powrotnej urządzimy zawody kajakowe, co? – spytał Piotr tak głośno, żeby sąsiedni kajak go usłyszał. – Stare pryki kontra młode wygi? – zaproponował.

– Nie macie szans! – krzyknął Dawid i mrugnął do Maksa. – Rozłożymy ich na łopatki.

– Zakład? – podchwyciła temat Martyna.

Chłopcy zwolnili tempa i spojrzeli na nią z zaciekawieniem.

– A co jest do wygrania? – spytał Maks.

– Duma i chwała! – rzucił Piotr, prężąc mięśnie.

– Łeee...

Chłopcy nie byli zadowoleni, ale ich zainteresowanie rywalizacją wcale nie osłabło.

– Maks, myśl, co chcemy za zwycięstwo – polecił Dawid. – Jeszcze mamy trochę czasu, żeby wpaść na coś ekstra.

Martyna spojrzała na Piotra i widziała, jak porozumiewawczo do niej mrugnął. Czyżby z góry planował poddanie się? Jeśli tak, to nie mógł wiedzieć, że ona nie daje Maksowi forów w żadnej rywalizacji. Według filozofii Martyny Wójtowicz byłoby to skrajnie niewychowawcze i odebrałoby jej synowi motywację do działania. Ale o tym postanowiła wspomnieć mu dopiero na plaży, która zresztą wciąż rysowała się daleko przed nimi. Podniosła wiosło i zaczęła ćwiczyć.

Piotr nie chciał zamęczyć Maksa, więc również zabrał się do pracy i wiosłując, odsunął ich kajak trochę bardziej w lewo, tak, żeby oba nie były zbyt blisko siebie. Widział, że Maks się stara, ale jednak trochę znosiło go na boki. Kanda czuwał też, żeby fala nie zniosła ich w stronę środka jeziora, licząc się z tym, że tam wiatr może być większy, a jak na pierwszy raz nie zamierzał zniechęcać młodych zbyt dużym wysiłkiem. To miało być przyjemne popołudnie, a nie walka o przetrwanie.

– Lubi pan moją mamę, prawda? – spytał nagle Maks, lekko się ku niemu odwracając.

– Uważaj, bo jak rozchyboczesz kajak, to będziemy mieć przymusową kąpiel – odparł Piotr, widząc, że zaczyna ich kołysać na boki.

– Spokojna głowa, umiem pływać. – Maks wzruszył ramionami. – To jak? Lubi pan?

– Owszem, lubię.

– Mama jest fajna, ale czasem wredna – rzucił, jakby chciał go o czymś uprzedzić.

– No wiesz, wszyscy czasem jesteśmy wredni. Ty nie?

– Nooo, tak. Ale ja jestem dzieckiem.

– Serio? Nie wiosłujesz jak dziecko.

Komplement sprawił, że plecy siedzącego przed nim Maksa wyprostowały się z dumy.

– A już się całowaliście? – ciągnął chłopiec, nie dając Piotrowi szansy na zmianę tematu.

– A co ty taki ciekawski jesteś?

– To moja mama. Muszę wiedzieć – odpowiedział niezrażony.

– Dlaczego jej o to nie zapytasz?

– Ale pan kręci. – Maks się zaśmiał. – Czyli całowaliście się, to jasne!

Piotr mruknął, zamiast odpowiedzieć. Nigdy dotąd nie rozmawiał z dziećmi o takich sprawach, więc nie chciał powiedzieć czegoś, za co potem Martyna urwałaby mu głowę.

– Ja nie mam nic przeciwko, jakby co – oznajmił Maks. – Mama jest przy panu całkiem spoko.

– Taaak? – Piotr celowo przeciągnął głos.

– Tak. Tylko niech się pan nie zakocha – dodał Maks. – Mama od śmierci taty nie jest za uczuciowa. Nie zakochuje się.

– Spokojnie, nie planujemy się w sobie zakochać – odparł, ważąc jednak słowa. – Po prostu miło spędzamy czas.

– No to dobrze.

Maks wsadził wiosło do wody tak, że go ochlapał.

– Ej, co to? Prysznic? Chyba nie jesteś zazdrosny? – spytał Piotr.

– Ja? – zdziwił się chłopiec. – Wcale.

Przez chwilę płynęli w ciszy, ale Piotr naprawdę zaczął się zastanawiać nad tym, czy Maks ma coś przeciwko ich znajomości.

– Wie pan, jesteśmy dorośli – powiedział nagle dwunastolatek, a jego ton zrobił się poważny. – Ale nie chciałbym, żeby mama się zakochała.

– We mnie? – parsknął Piotr.

– No przecież nie we mnie.

– A dlaczego byś nie chciał?

– Bo pan mieszka tu, a my w Katowicach – odparł rezolutnie. – Czytałem w necie, że związki na odległość są do dupy.

Piotr zaśmiał się i ochlapał go wodą. Chłopiec nie pozostał mu dłużny i kilka sekund później chlupali się wiosłami na całego.

– Ej, młody! – krzyknął wreszcie Piotr. – Przestań, bo zalejemy kajak i utoniemy. – Śmiał się.

– Ja umiem pływać – odpowiedział Maks i jeszcze raz chlupnął go strumieniem prosto z wiosła.

– Nie trać sił, bo w drodze powrotnej podobno mamy wyjść.

– I tak jesteście bez szans. – Chłopiec wzruszył ramionami, ale przestał chlupać. – Wie pan, że to młodzi

rzędzą światem?

– Mhm, wiem. Ale to starzy ich karmią – odparował.

– Łeee, słabe.

Piotr, odwróciwszy się w stronę kajaka Martyny, zauważył, że przestała wiosłować i patrzy prosto na niego.

Pomachał jej ręką i krzyknął, że osłabia właśnie siły Maksa do wyścigu.

Martyna skinęła głową, ale on zarejestrował, że patrzy na niego jakoś dziwnie. Inaczej.

– Twoja mama mnie obserwuje – zwrócił się do Maksa, a ten spojrział na Martynę.

– Aha... no to niech się pan boi – odparł krótko.

– Mówisz?

– No jasne. – Maks nie miał wątpliwości. – Mama rzeczywiście dziwnie patrzy. Mam nadzieję, że nie ocenia, czy nadaje się pan na ojca – parsknął.

Piotr mało nie dostał czkawki.

– Jezus, nie strasz mnie.

– Mówiłem, żeby pan uważał – ciągnął Maks. – Proponuję udawać, że mnie pan nie lubi, wtedy pójdzie łatwiej z tym niezakochaniem.

Piotr zrobił wielkie oczy.

– He, he... skąd ty masz takie teksty, dzieciaku?

– Z Netflixa.

– Wszystko w porządku? – Usłyszeli nagle głos Martyny i zauważyli, że jej kajak się do nich zbliża.

– Tak, tak! – zawołał Maks. – Psychicznie osłabiam przeciwnika przed wyścigiem – dodał i zaniósł się śmiechem.

Kanda wzruszył ramionami, a Martyna zmrużyła oczy. Oboje woleli nie pytać, co chłopiec miał na myśli. Wreszcie całą czwórką spojrzeli do przodu i zorientowali się, że widać już plażę gminną i pontony pływające w lewej części kąpieliska.

– Jeszcze kawałek – rzucił Dawid i przyspieszył.

– Ale tłum – zauważyła Martyna.

Faktycznie plaża o tej porze była pełna. Głowa przy głowie, parawan przy parawanie.

– Podpłyniemy do prawej i zostawimy kajaki bliżej trzcin – zarządził Piotr, wskazując miejsce ręką. – Mamy sznurek, więc przywiążemy je do tamtego pomostu i wyjdziemy rozprostować kości.

Skupili się, żeby dobrze ustawić kajaki, i zaczęli płynąć we wskazanym przez Kandę kierunku. Dziesięć minut później byli na miejscu.

– Ale tu czysta woda! Patrzcie, ile rybek. – Martyna skierowała palec na dno, na którym jak szalone pływały małe okonki.

Chłopcy wyszli z kajaków i niezainteresowani rybami natychmiast wysepili od niej monety na zabawę na pontonach. Dwie sekundy później już ich nie było. Martyna zdążyła tylko krzyknąć, żeby nie pakowali się na głęboką wodę, ale prawdopodobnie nawet tego już nie usłyszeli. Piotr złapał sznurek pierwszego kajaka, przywiązał go do pomostu, a później zajął się drugim.

– Idziemy się poopalać? – spytała, wyciągając z kajaka ręcznik plażowy.

– Koniecznie – odparł. – Zjarajmy się na węgiel.

– Jestem na tak. – Uśmiechnęła się. – Po powrocie do pracy będę udawać, że to były Kanary.

Oboje w świetnych humorach wyszli na brzeg i idąc plażą, przez dłuższą chwilę próbowali znaleźć miejsce, by wcisnąć się gdzieś z ręcznikiem. Ludzi było tu nawet więcej, niż im się wydawało, kiedy patrzyli z jeziora.

– Chodźmy tam dalej, żeby mieć chłopców na oku. – Martyna ruchem głowy wskazała część plaży bliżej pontonowych platform. – Chyba nikt nam tutaj nie buchnie kajaków?

– Nie sądzę, mielibyśmy setki świadków.

Przeszli w dalszą część plaży i wreszcie znaleźli dla siebie wolną przestrzeń. Martyna rozłożyła ręcznik i usiedli na nim oboje, wystawiając twarze do słońca. Z daleka obserwowali chłopców bawiących się na dmuchanej konstrukcji i najwyraźniej przejmujących nad nią kontrolę. Skakali i biegali po pontonowym torze przeszkód tak, że inne dzieci zaczęły im robić przejście. Martyna patrzyła na to z rozczuleniem, bo jej Maks był przecież dzieckiem smartfona i Internetu, a takie aktywne zabawy stanowiły zupełną nowość. Bez dwóch

zdań była to zasługa Dawida; musiała też przyznać w duchu, że może trochę przesadzała z tym uzależnieniem syna od sieci. No, chyba że był taki wtedy, gdy po prostu nie miał innego zajęcia.

– Mają niespożytą moc – zauważył Piotr.

– Mhm.

– Twój mały powiedział mi dzisiaj, że mam przy tobie udawać, że go nie lubię.

– Co? – spytała wyrwana z zamyślenia. – Dlaczego?

– No wiesz, żebyś się we mnie nie zakochała i nie uznała, że jestem dobrym materiałem na ojca – dodał.

– Że co? – parsknęła, odsłaniając równe, białe zęby. – Naprawdę mój Maks ci to powiedział?

– Tak, poważnie. Dzieciak jest wyjątkowo dojrzały.

– Pewnie szczeka ci opadła, co? – Mrugnęła do niego.

– Mało się nie udławiłem powietrzem – przyznał.

Zawiesił wzrok na górnej części jej kostiumu kąpielowego, a konkretniej na rowku między piersiami.

W pozycji siedzącej miejsce to zarysowane było bardzo wyraźnie.

– Mrrr. Seksownie wyglądasz – dodał i dotknął palcem małej kropli wody, która właśnie spłynęła jej z szyi na biust.

– I co mu powiedziałaś? – spytała żywo zaciekawiona.

– Że tylko się bzykamy, więc nie musi się obawiać, że zostaną jego przyszywanym tatuśkiem.

Martyna aż się zakrztusiła.

– Chyba żartujesz?!

Piotr objął ją ramieniem, przysunął do siebie i popatrzył prosto w oczy, udając zdziwionego.

– A co... nie miałaś z nim jeszcze rozmowy o seksie?

– Piotr! Ty gadzie! – Zorientowała się, że ją wkręca i szturchnęła go w bok.

Mężczyzna zaczął się śmiać.

– Nie rób sobie z tego żartów – rzuciła. – Wyobraziłam sobie minę Maksa, gdyby coś takiego usłyszał.

– Może choć raz nie miałyby na coś szybkiej riposty?

Martyna pokręciła głową z powątpiewaniem. Jej syn potrafił zaskoczyć.

– A tak poważnie – zaczął Piotr. – Nie myślisz, mam nadzieję, o tym, że mógłbym zostać tym... no...

– Co? – prychnęła, przerywając mu. – Chyba oszalałeś. Ja zamierzam tylko nadrobić z tobą braki cielesne, a potem... *bye, sayonara* – powiedziała, unosząc czoło i dając znać, że wcale nie żartuje.

Piotr odetchnął uspokojony, a ona to zauważyła.

– Serio tak pomyślałeś? – nie dowierzała. – Znamy się kilka dni, podobasz mi się i lecę na ciebie, ale... sorry, Piotr, na tatuśka, męża i co tam jeszcze to się nie nadajesz.

– Wolałem się upewnić – odparł z uśmiechem. – Czyli przed wyjazdem mogę cię jeszcze kilka razy wykorzystać? – zapytał.

– Wręcz powinienes. – Uniosła kąciki ust, przypominając sobie jego dotyk na dzikiej plaży. – W przeciwnym razie to ja będę musiała wykorzystać ciebie.

– Podoba mi się to. – Przyciągnął ją do siebie. – Jesteś moim wakacyjnym ideałem – dodał szczerze.

– No ja myślę. – Wzruszyła ramionami, jakby to było oczywiste, chociaż dla niej wcale takim nie było.

– Zresztą powiedzmy sobie szczerze, gdzie byś znalazł lepsze cycki?

Piotr zaczął się śmiać, a w jego policzkach pojawiły się zabawne, chłopięce dołeczki.

Automatycznie spojrział na jej piersi i chciał coś powiedzieć, ale Martyna mu przerwała.

– O, towarzystwo wraca. – Kiwnęła głową w stronę wody, widząc, jak Maks i Dawid właśnie biegną w ich kierunku, wzburzając wokół siebie fale.

– Ech, a chciałem jeszcze schować twarz w twoich piersiach – mruknął rozczarowany. – Wzbudziłibyśmy na plaży powszechną grozę demoralizacji.

Martyna nie zdążyła tego skomentować, bo chłopcy dobiegli właśnie do ich ręcznika.

– Możemy wracać! Mamy na was plan – rzucił zdyszany Maks, mrugając porozumiewawczo do Dawida.

Piotr spojrział na Martynę, markując strach.

– Oni chyba chcą nas wykończyć.

– Żywcem się nie damy – odparła stanowczo i wstała z ręcznika.

Ruszyli w stronę kajaków. Dawid z Maksem pobiegli przodem, a Martyna zdążyła jeszcze usłyszeć,

jak kolega syna tłumaczy mu, że biorą kajak, którym on płynął wcześniej, bo jest zdecydowanie szybszy.

- Nieźle się zaangażowali w ten wyścig – przyznała, kiedy się trochę oddalili.
- Damy im wygrać?
- W życiu – odpowiedziała. – Ale zrobmy tak, żeby przegrali o włos.
- Mówisz i masz.

Piotr postawił zapasówkę obok stojącego na parkingu samochodu, wyjął z bagażnika lewarek i klucze do odkręcania śrub, a potem zabrał się do zdejmowania przebitej opony. Było już grubo po dwudziestej drugiej, kiedy wreszcie się do tego wziął, więc mógł się tylko cieszyć, że auto stało dosłownie pod parkingową latarnią i było teraz świetnie oświetlone.

Martyna usiadła na pobliskim krawężniku i dotrzymywała mu towarzystwa, chociaż jeśli wziąć pod uwagę fakt, że właśnie odpisywała szefowi na maile dotyczące klientów i ambitnie przesuwiała palcem po ekranie smartfona, to trudno byłoby ją określić jako dobre towarzystwo. Piotrowi jednak nie przeszkadzała cisza i w skupieniu zajmował się odkręcaniem koła.

Martynie nawet przeszło przez myśl, że może powinna go obserwować i nauczyć się robić to sama, ale szybko porzuciła tę myśl. W pobliżu zawsze znajdzie się przecież jakiś mężczyzna chętny do pomocy. Wprawdzie przebite opony w swoim życiu mogłaby policzyć na palcach jednej ręki i jeszcze zostałyby zapas, ale nigdy nie zdarzyło jej się wymieniać ich samodzielnie. Oczywiście, zdawała sobie sprawę z tego, że jej atutem w proszeniu o wsparcie jest najczęściej duży biust, od którego faceci nie mogli oderwać wzroku, ale przecież nie mogła na to narzekać. Cóż, ten atut sprawdzał się w wielu sytuacjach i co najlepsze, mężczyźni byli chętni jej pomóc w najprzeróżniejszych sprawach, mimo że nawet nie mieli okazji go dotknąć. Tak, tak, mogłaby się oburzać, denerwować, feministycznie narzekać, że och, ach, robią to tylko przez wzgląd na to, jak wygląda, ale do cholery – korzystała na tym i nie zamierzała się z tego powodu zmieniać we wściekłą diabolicę. Bo po co?

Kątem oka zerknęła na Piotra i zauważyła, że już pobrudził sobie ręce smarem.

- Miło popatrzeć, jak robisz takie męskie rzeczy – powiedziała.
- Hę? – zdziwił się. – A normalnie robię rzeczy niemęskie?
- Te są takie typowo męskie, wiesz... brud, smar na umięśnionych ramionach, napięte z wysiłku żyły, praca u podstaw, pot płynący po plecach i tak dalej – zażartowała.

– Widzę, że lubisz takie klimaty? – Mrugnął do niej, a potem wysunął palec upaprany mazią i przejechał nim po jej ramieniu.

– U faceta! – obruszyła się, wycierając sobie ramię poślinioną opuszką. – Fu, jakie to lepkie – dodała.

– Jakaś ty delikatna, myślałby kto.

– A co nie? – odpowiedziała. – Jestem arcydelikatna!

– Mhm, taaak, a ja jestem magikiem.

– Serio? Nie wiedziałam. Wyciągasz króliki z kapelusza?

– Raczej węże ze spodni. Bardzo groźne węże... – Uśmiechnął się znacząco.

Martyna parsknęła, a potem powiedziała, żeby jednak najpierw zmienić to koło, bo schodzi na niebezpieczne tematy, a ona musi jeszcze odpisać na dwie wiadomości od szefa.

– Pięknie się wykręcasz, a właśnie miałem dodać o sprawdzonych sposobach oswojenia tego węża i uczynienia go swoim wiernym niewolnikiem – mruknął i zdjął uszkodzone koło. – No! Połowa za mną – dodał, odkładając je na bok.

Martyna wolała nie pytać, jakie zna tajemne sposoby ujarznienia węża w spodniach, i skupiła się na pierwszej wiadomości.

Szef pytał o szczegóły rozliczenia ostatniej faktury dla większego klienta, ale ponieważ wystukanie pełnej odpowiedzi na smartfonie zajęłoby jej wieki, napisała tylko, że zajmie się tym w poniedziałek. Klient może poczekać te ostatnie trzy dni. Odniosła wrażenie, że im bardziej zbliżał się czas jej powrotu, tym mniej rozpaczliwe maile wysyłał do niej pracodawca. Chyba zdał sobie wreszcie sprawę z tego, że nie wyjechała na miesiąc na Kajmany, nie straciła łączności ze światem, a do tego daty rozliczeń podatków w Polsce są co miesiąc identyczne, więc nawet gdyby posiedziała tu jeszcze ze dwa dni, to i tak zdążyłaby nadrobić przed terminem zero. W podobnym stylu odpisała na drugi mail, a potem, w poczuciu spełnionego obowiązku,

wylogowała się z poczty i spojrzała na Piotra, który właśnie mocował się z założeniem zapasowego koła i zaczynał już przy tym sapać.

– Pomóc ci?

– Jakbyś mogła tu przytrzymać, to byłoby świetnie – odpowiedział, wskazując brudne miejsce, do którego trudno mu było sięgnąć.

– Yyy... wiesz, to było pytanie retoryczne – wykręciła się. – Nie mogłabym przecież odebrać ci dumy z samodzielnej wymiany opony – dodała, wjeżdżając mu na ambicję.

– Małpa – parsknęła pod nosem. – No weź przytrzymaj.

– Piotr, błagam, mam świeżo zrobione paznokcie – odparła, zerkając na ich równy kształt i piękny, soczyście czerwony kolor nałożony ledwie wczoraj.

– Dramat. To byłby koniec świata, gdyby się upaprały – rzucił.

– No właśnie! – przytaknęła, udając, że nie słyszy sarkazmu. – Jak ty mnie świetnie rozumiesz, to jest po prostu niesamowite.

– Zołza – jęknął i w tym momencie koło zaskoczyło we właściwym miejscu. – O, już! – zawołał.

– No widzisz? Wiedziałam, że dasz radę, mistrzu!

Piotr zaczął się śmiać, stwierdzając w duchu, że jest najgorszą motywatorką, jaką znał, a później sięgnął po klucz i zaczął dokręcać śruby. Po niecałych pięciu minutach skończył, schował stare koło do bagażnika i polecił jej, żeby w Katowicach dała je wulkanizatorowi, to może jeszcze uda się uratować.

– Tak naprawdę to ten Zarada powinien mi za to wszystko zapłacić – zauważyła i od razu podziękowała mu za pomoc. – Ale oczywiście nie jestem w stanie mu niczego udowodnić.

– Może lepiej już go omijaj? Gość faktycznie jest nerwowy.

– Taki mam zamiar, o ile Maks znowu czegoś nie zmaluje.

Kanda zamknął auto i spróbował wytrzeć ręce z ciemnej mazi o kępę trawy rosnącej obok parkingu, ale brud nie chciał zejść tak łatwo. Wysunął dłonie do Martyny, pokazując, że są czarne.

– Cóż, zabrudzę ci tym łazienkę – rzucił. – Nie będziesz miała nic przeciwko?

– No nie wiem. – Chrząknęła i demonstracyjnie rozłożyła ręce. – Podobasz mi się taki brudny, męski... twardy. Prawdziwy facet – dodała nieco złośliwie.

– Tak mówisz? – W oczach Piotra błysnął zawadiacki ogień.

Rozejrzał się wokół, omijając Martynę wzrokiem, jakby coś sobie nagle przypomniał. Skupił się, a kiedy w oddali wypatrzył to, o co mu chodziło, uśmiechnął się podstępnie. Od razu ruszył z miejsca i kierując się energicznym krokiem poza parking, powiedział:

– Chodź ze mną.

– Gdzie?

– No chodź, nie pytaj.

– Daleko?

– Spokojnie, dziecko nie zdąży ci umrzeć z głodu.

Parsknęła i kręcąc głową, poszła za nim. Chwilę później stali już w ciemnej, nieoświetlonej części ośrodka. Przed nimi rysowało się małe skupisko drzew i krzaków, które Martynie wyglądały na istne siedlisko pajęczyn i wszelkiego leśnego robactwa. Wzdrygnęła się, kiedy Piotr minął pierwsze chaszczki tuż przy rozłożystym dębie i zniknął za nimi tak, że zza drzew nie mogła go zauważyć. Podświadomie poczuła rosnący w żyłach puls ekscytacji i koniuszkami palców odsunęła od siebie pędy krzaków, ostrożnie wchodząc za nim w ciemność. Kiedy wreszcie go odnalazła, zorientowała się, że w tym zagłębieniu między drzewami jest ciemniej, niż przypuszczała.

– Mrocznie tu... – szepnęła, dotykając jego ramienia. – To twój sekretny schowek czy pułapka?

– Pułapka – odpowiedział i objąwszy ją w pasie, zdecydowanie do siebie przyciągnął. – Na ciebie – dodał.

– Ej! Upaprasz mnie! – zaprotestowała natychmiast.

Piotr spiął ramiona, wzmacniając uścisk.

– Sama mówiłaś, że lubisz silnych, brudnych mężczyzn, więc teraz się nie wykręcaj – mruknął jej do ucha, a Martyna poczuła na skórze jego ciepły oddech.

– To była przenośnia – oponowała.

– A to nie wiedziałaś, że mężczyźni nie łapią przenośni? – spytał, a ona wyobraziła sobie jego

umorusane ręce na koszulce.

Westchnęła wymownie.

– Ubrania będą do wyrzucenia.

– Tak, to straszne – odparł i musnął wargami płatek jej ucha, a później szyję.

Martynę przeszedł przyjemny dreszcz podniecenia.

– Poza tym, za dużo gadasz – rzucił, odnajdując jej usta.

Nie pozwolił na ripostę i szybko przywarł do niej miękkimi wargami.

Martyna wiedziała, że koszulka i tak jest już spisana na straty, a usta Piotra smakowały tak dobrze.

Dała się temu ponieść i odpowiedziała pocałunkiem. Przez dłuższą chwilę rozpływała się pod dotykiem jego warg i języka.

Kanda lekkim ruchem swojego ciała oparł ją o stojące z tyłu drzewo i całował, nie pozwalając odezwać się nawet słowem. Martyna poddawała mu się, z każdą chwilą czując rosnące pożądanie. Ciemność, to miejsce, zapach żywicy, cichy szum liści i smak jego ust. Przymknęła oczy i poczuła, jak jej plecy ocierają się o sztywną korę drzewa.

– Jezu, a kleszcze? – spytała nagle, wyobrażając sobie, ile leśnego robactwa musi chodzić po takiej korze.

Automatycznie odsunęła się od drzewa, ale Piotr napał na nią biodrami i wróciła do tej samej pozycji.

– Zeżrą nas żywcem, dlatego musimy się spieszyć – odpowiedział.

Gwałtownie całował jej szyję, a drobne kropeczki rozlewającej się nad obojczykami gęsiej skórki sprawiły, że Martynę oblała przyjemna fala gorąca. Piotr zacisnął mocniej wargi, a później przeciągnął wilgotnym językiem po jej skórze. Natychmiast zapomniała o kleszczach. Drgnęła, gdy palcami dotknął jej brzucha i zaczął sunąć nimi ku górze. Lepki smar utrudniał jego ruchy, a Martyna miała wrażenie, jakby efekt lekko ciągniętej nim skóry jeszcze bardziej ją pobudzał. Zamknęła oczy, chłonąc każdy dotyk, kreskę i koło malowane jego opuszkami. Raptownie wciągała i wypuszczała z siebie powietrze, nie mogąc się tym nacieszyć. Tak bardzo tęskniła.

– Powiedz, że masz gumki – wychrypiała gardłowo.

– Mam – mruknął, unosząc kąciki ust. – W prawej kieszeni spodni, ale sam nie włożę – dodał z prośbą w głosie. – Ręce mam brudne.

Martyna drżącą dłonią sięgnęła w prawo i namierzyła kieszeń. Piotr przygryzł wargę i opierając się ręką o drzewo, zerknął w dół. Patrzył, jak kobieta w pośpiechu rozdziera foliowe opakowanie.

Wreszcie podniosła ku niemu głowę, niemal triumfalnie trzymając w palcach uwolnioną prezerwatywę. Pocałowała go, a on zastygł, gdy opuściła dłoń, a drugą sprawnie rozpięła pasek i zamek błyskawiczny. Lekko zsunęła spodnie. Piotrowi tak dawno już kondoma nie wkładała żadna kobieta, że musiał na moment zacisnąć zęby. Kiedy poczuł, że gumka jest już na swoim miejscu, zauważył błysk w jej oczach, a później zwrócił uwagę, jak szybko zsunęła z własnych bioder luźne materiałowe spodnie. Momentalnie oparł ją o drzewo, a potem zarejestrował jej dłonie na swoich pośladkach. Przyciągnęła go jednoznacznie. W tej samej chwili rozsunął nogą jej uda i nie czekając dłużej, powoli ją sobą wypełnił. Kobieta westchnęła, odchylając głowę, a on wpił się w jej szyję ustami. Poruszał się niespiesznie, z każdym kolejnym pchnięciem patrząc, jak jej usta rozchylają się i zamykają, a ona oddycha coraz ciężiej. Przywarł do jej ciała mocniej i patrzył, jak pod jego ruchami ociera się o stojące z tyłu drzewo. Nagle Martyna gwałtownie zacisnęła uda, wbiła mu paznokcie w pośladki, a potem niespodziewanie dopchnęła go do swoich bioder tak mocno, że krzyknął, próbując ją powstrzymać, i zaraz potem eksplodował.

– O cholera... – jęknął, czując, jak ogarnia go fala przedwczesnej przyjemności. – Jasny szlag.

Martyna uśmiechnęła się, ugryzła go lekko w dolną wargę, a później policzyła do trzech i pozwoliła mu powoli się z siebie wysunąć.

– Boże, jesteś potworem – dyszał Kanda. – Jak mogłaś?

Mruknęła coś niezrozumiałego i klepnęła go w goły tyłek.

– Wybacz, że tak szybko, ale... kora wbijała mi się w plecy. Strasznie drapie.

– Jezus... – Piotr kręcił głową z niedowierzaniem.

Zdał sobie sprawę z tego, że tylko on skończył.

– Matki dzieciom muszą mieć jednak... wygodniejsze warunki. – Zaśmiała się, nie przejmując się tym, co się stało.

- Chyba strzelę sobie w łeb.
- Nic z tego, Piotr, ewentualnie dopiero w poniedziałek, po moim wyjeździe – parsknęła.
- Zapłacisz mi za to – sapnął. – Wyszedłem na niewyżytego samca.
- A ja porysowałam sobie tyłek.
- Jutro będę go całował na pocieszenie – odparł, wciąż nie mogąc wyjść z szoku. – Nienawidzę dawać ciała.
- Nie dałeś – rzuciła krótko i wplotła dłonie w jego włosy.

Rozdział XIII



12 lipca

Piątek

Kiedy chwilę po północy Martyna ułożyła już Maksa do snu – czyli zabrała mu smartfon, bo inaczej ślęczałby w nim do rana – cofnęła się do sypialni i wskoczywszy do łóżka, szczelnie otuliła się zimną pościelą. Wyłączyła światło i jeszcze przez moment patrzyła w sufit drewnianego domku, przypominając sobie scenę między drzewami. Uśmiechnęła się pod nosem i w pewien sposób rozbawiło ją to, że o tym myśli. Musiała przyznać, że jak na wakacyjną przygodę myślała o tym facecie całkiem często. Budził jej ekscytację, emocje i wprawiał w dobry nastrój.

Spojrzała na szafkę stojącą obok łóżka i sięgnęła po telefon. Piotr pewnie zdążył dojechać do Zielonej Góry, ale nie była pewna, czy już spał. Poczowała nagły przypływ odwagi i zaryzykowała.

Trzecia rano na pomoście. Wchodzisz w to?

Odpisał jej po ledwie kilku sekundach.

Jak dzik w szyszki.

Uniosła brwi i parsknęła. Kanda czasem zachowywał się jak dzieciak. Przystojny, ale dzieciak. Nie skomentowała jednak tego przedziwnego określenia.

Weź... wiesz co.

Później ustawiła budzik na drugą czterdzieści, odłożyła telefon i wtuliła się w pościel po same uszy. Zamknęła oczy i starała się zasnąć, ale po głowie krążył jej wyjątkowo niecny plan. Nie, żeby specjalnie lubiła się z Piotrem droczyć, ale... w innych okolicznościach ich znajomości na wiele rzeczy pewnie zwyczajnie zabrakłoby jej odwagi. Nie powiedziałyby jednego, nie zrobiłyby drugiego, nie pokusiłyby się nawet o trzecie. I z pewnością nigdy nie napisałyby wprost czegoś, co przecież było niemal oczywistym zaproszeniem na seks. Tymczasem wizja przelotnej wakacyjnej zabawy, która zresztą już wkrótce miała się skończyć, mocno dodawała jej skrzydeł. Budziła do działań, o które kobieta sama siebie by nie podejrzewała.

Dobrych kilkanaście minut zajęło jej wyciszenie się i opróżnienie głowy z tego, co jej po niej chodziło. Wreszcie poczuła, jak przyjemnie ciepłe zaczynają się robić jej stopy, i po chwili odpłynęła w świat sennych fantazji.

Punktualnie o drugiej czterdzieści Martynę obudziły wibracje trzęsącego się na stoliku smartfona. Kompletnie nieprzytomna otworzyła oczy i przez kilka chwil zastanawiała się nad tym, co się, u licha, dzieje. Dopiero po czasie namierzyła źródło wibracji, spojrzała na wyświetlacz i zobaczyła, która jest godzina.

– O matko – jęknęła, wyłączając alarm.

Usiadła na brzegu łóżka i przecierała oczy, starając się oprzytomnieć. Miała nadzieję, że wibracje nie obudziły Maksa.

– Jezu, co mi strzeliło do głowy z tą trzecią w nocy? – szepnęła cicho. – Chyba zwariowałam.

Kiedy upewniła się, że zza zamkniętych drzwi pokoju jej syna nie dochodzą żadne dźwięki, podniosła się, narzuciła na siebie dres, a potem poczłapała do salonu. Wyrzwała przez okno wychodzące w stronę jeziora i nie zobaczyła nic. Światła ośrodka pogasły, a księżyc zdawał się dzisiaj zupełnie zapomnieć o rozświetlaniu nieba. Wokół było ciemno i pusto. Martyna pomyślała, że jednak na takie nocne numery to była gotowa dziesięć lat temu i chyba się już starzeje. Mimo tego ostrożnie otworzyła drzwi na zewnątrz i po chwili ruszyła w stronę jeziora. Jeśli Piotr nie zasnął, co zresztą było wysoce prawdopodobne, to nie mogła tam nie pójść. W

duchu przyznała jednak, że nie obraziłaby się, gdyby smacznie spał w swoim mieszkaniu w Zielonej Górze. Postanowiła upewnić się tylko, że nie ma go na pomoście, a potem wrócić do łóżka, zanim ostygnie pościel.

Maszerowała już po piasku w stronę pobliskich pomostów, dziwiąc się, że o tej porze nawet nie jest tak zimno, jak sądziła. Temperatura wydawała się wręcz przyjemna. Energicznym krokiem dotarła nad wodę i wsunęła do niej stopę. Pierwsze uczucie nie było miłe, aż palce skurczyły jej się z chłodu, ale po chwili zdała sobie sprawę z tego, że wcale nie trzęsie się z zimna. Rozejrzała się po pomostach, stanowiących tutaj długi ciąg połączonych ze sobą przejść, ale nigdzie nie dostrzegła Piotra.

– Kwadrans akademicki i wracam – mruknęła do siebie.

Spacerowym tempem weszła na pomost. Lekki ciepły wiatr musnął jej szyję, a otaczająca kobietę cisza sprawiła, że westchnęła. Na wodzie kołysało się kilka kaczek, a poza tym wokół panował błogi spokój. O tej porze turyści chrapali w łózkach, zapewne odsypiając wrażenia z poprzedniego dnia. Martyna niespiesznie doszła do jednego z końców pomostu, odwróciła się i podziwiała widoki. Plaża, jezioro, noc – niezwykle połączenie piękna i mroku.

Popatrzyła na gładką taflę wody i zawahała się. Wczorajszy plan nie bez powodu zakładał, że musi do niej wskoczyć, ale teraz miała wątpliwości. Tak często w życiu brakowało jej odwagi.

– Cholera... – mruknęła, biorąc się w garść. – Raz kozie śmierć.

Powoli zdjęła dres i koszulkę, a potem rozejrzała się, upewniając się, że Piotra nadal nie ma. Dopiero wtedy pozbyła się bielizny.

Zaczerpnęła więcej powietrza i starając się odpędzić strach przed chłodem, odbiła się stopami od drewnianych desek. Moment zanurzenia wstrząsnął jej ciałem bardziej, niż się tego spodziewała. Temperatura wody niczym drobne, ostre igielki wbijała się w każdy fragment jej skóry. Gdyby mogła krzyknąć, wrzasnęłaby, ale z głową pod wodą nie wchodziło to w grę.

Z całych sił machała rękoma, kierując się w stronę dna. W tym momencie niecny pomysł, na który wpadła przed snem, wydał jej się całkowicie idiotyczny. *Chyba ocipiałam*. Przejmujący ziąb nadal ranił jej skórę, ale teraz nie mogła się wycofać. Była już za blisko. Wreszcie dotknęła ręką tego, czego szukała. Przy dnie płątały się długie rośliny, których normalnie wołała unikać. Szybkim szarpnięciem wyrwała kilka z nich z piaszczystego dna, a potem klnąc w duchu na ten kretyński plan, odwróciła się i popłynęła z powrotem ku powierzchni.

Doskonale wiedziała, gdzie jest tafla jeziora, ale kiedy zobaczyła nad sobą jedynie czern, zawahała się i poczuła szybsze bicie serca. Powietrze powoli jej się kończyło, a dzisiaj nie było księżyca, który pokazałby jej, w którym kierunku płynąć. Machnęła mocno rękoma, dołożyła do tego nogi i ku górze płynęła intuicyjnie, licząc, że powierzchnia jest tam, gdzie przypuszczała. Kiedy wreszcie udało się jej wynurzyć, nabrała w płuca tyle powietrza, ile tylko mogła.

– O jasny szlag... – dyszała ciężko.

W myślach obiecała sobie, że skoro jej poświęcenie przy tym nurkowaniu nie znało wręcz granic, to jeśli Piotr jednak zaśpi i nie przyjdzie, w ciągu dnia normalnie go za to udusi. Własnymi rękoma: weźmie, złapie za szyję i udusi. Podpłynęła do barierki i wyszła na pomost, chwyciła od razu za bluzę i okryła nią górną część ciała. Z pewnym poczuciem triumfu cisnęła roślinne liany w kąt pomostu, a potem śmiejąc się sama z siebie i z tego durnego pomysłu, spojrzała na plażę.

Przez piasek właśnie zmierzała ku niej jakaś postać. Z miejsca, w którym stała teraz Martyna, nie było wiele widać, ale domyśliła się, że to Piotr. Bo i któż inny o tej porze? Wyrównała oddech i już dobrze obudzona po kąpieli patrzyła na niego z czystą przyjemnością. Nawet jako nocny cień prezentował się kusząco. Szerokie ramiona okryte luźną koszulą, spodnie, sportowe buty i ten pewny krok, który w nim lubiła. Nie musiała nawet dobrze widzieć jego twarzy, żeby automatycznie się uśmiechnąć.

Mężczyzna wszedł na pomost i zaczął jej wypatrywać. Celowo go nie zawołała ani nie machnęła ręką, czekając cierpliwie, aż sam ją zauważy. Wreszcie spojrzał w jej stronę, przyłożył rękę do czoła, wyteżając wzrok i ruszył.

Martyna musiała ciekawie wyglądać, siedząc na deskach pomostu, z wyciągniętymi do przodu mokrymi nogami. Okryła się jedynie bluzą, pod którą nic więcej nie miała.

Piotr zatrzymał się o krok przed nią i chwilę się nie odzywał.

– Pięknie wyglądasz – powiedział powoli. – Pływałaś?

– Mhm – mruknęła zamiast odpowiedzi i dotknęła bosą stopą jego łydki. – Może byś to zdjął? – spytała,

patrząc na jego spodnie.

– Taka jesteś szybka? – zdziwił się.

– Przeszkadza ci to?

Piotr Kanda pokręcił głową i sięgnąwszy do paska, rozpiął go powoli. Podobało mu się to, że Martyna jest taka bezpośrednia. Jakby kobieta prudera „och nie, ależ skąd, nie tutaj, wstydzę się” w ogóle jej nie dotyczyła. Zdecydowanie była inna. Patrząc jej prosto w oczy, zsunął spodnie, koszulę i został przed nią w samych bokserkach.

Nagle dostrzegł coś, co dotąd mu umknęło.

– Martyna...? – Zawiesił głos i uważnie jej się przyjrzał. – Czy ja dobrze widzę, że ty nie masz na sobie majtek? – zapytał.

Siedząca na pomoście kobieta nawet nie drgnęła. Uśmiechnęła się przekornie i z prowokującą miną minimalnie rozsunęła nogi tak, żeby mógł się co do tego upewnić.

– O Jezus... – jęknął. – Właśnie mnie obudziłaś.

– Mam nadzieję – powiedziała miękko. – Wyskakuj z bokserek. Też chcę cię zobaczyć – dodała.

Piotra nie trzeba było dwa razy prosić. Kiedy zdjął bokserki, Martyna otaksowała go wzrokiem i znów delikatnie przesunęła nogi, nie zastanawiając się już nad tym, skąd w niej tyle odwagi. *Jestem dorosła, do diabła.* Zarejestrowała, jak grdyka męczyzny przesuwana mocno pod zbyt dużym naciskiem przelitykanej śliny, i sprawiło jej to dziką przyjemność. Czowała, że mu się podoba, a niczego teraz nie pragnęła bardziej. Z nietypową dla siebie premedytacją patrzyła prosto między jego nogi, widząc, jak Piotr trochę nerwowo zasłania się rękoma. Dopiero po chwili podniosła się z pomostu, podeszła do niego i przysunąwszy się bardzo blisko, objęła go, kładąc dłonie na nagich pośladkach.

– Lubię ten twój tyłeczek – rzuciła, nachylając się do pocałunku.

Piotr wplótł palce w jej mokre włosy i wpatrywał się w nią tak intensywnie, że poczuła ciarki na plecach.

Dotknęła wargami jego ust i całowała, nie wiedząc już, czy to ona nie może się nim nacieszyć, czy on nią. Kto tu kogo pragnął bardziej? *A kogo to obchodzi.*

Po kilku minutach wreszcie to Martyna oderwała się od jego ust i położyła mu rękę na klatce piersiowej. Odsunęła go lekko.

– Dzisiaj będziesz grzeczny, dobrze? – spytała takim tonem, że Piotr nawet nie ośmielił się zaprotestować.

Skinął głową, a opuszki jej palców na torsie przesunęły się w stronę jego mostka.

Martyna ruchem dłoni wskazała mu koniec pomostu, przy którym umieszczona była metalowa barierka.

– Połóż się na plecach, tutaj – poprosiła.

Zmarszczył czoło.

– Będziesz broić, a ja mam się słuchać?

– Tak.

Mężczyzna uniósł brwi i zaintrygowany przeszedł we wskazane miejsce. Położył się plecami na drewnianym pomoście. Teraz to Martyna patrzyła na niego z góry i przygryzała wargi, ostentacyjnie obserwując jego nagie ciało. Nawet w ciemności było widać, że jest dobrze zbudowany, i musiała przyznać, że strasznie ją to kręci.

– Podnieś ręce – powiedziała. – I połóż je bliżej barierki.

Piotr odwrócił głowę i zobaczył, o którą barierkę jej chodzi, a potem zrobił to, o co prosiła. Mięśnie jego ramion zarysowywały się w tej pozycji, a klatka piersiowa przyjemnie napinała. Martyna powoli zdjęła bluzę, odsłaniając nagie piersi. Podeszła bliżej, stanęła nad Piotrem i rozstawiła nogi po obu stronach jego bioder. Drżała, ale nie chciała, żeby to dostrzegł. Nigdy dotąd nie odważyła się na coś takiego.

Kanda jęknął, widząc ją nad sobą nagą w tej niemal lubieżnej pozycji. Nie mógł oderwać od niej wzroku, a jego spojrzenie krążyło między jej twarzą, piersiami i miejscem poniżej pępka. Zacisnął wargi. Kiedy kobieta, schylając się, usiadła na jego udach bez bielizny i minimalnie otarła się o wychodzącego jej naprzeciw członka, przeszył go dreszcz. Był pewien, że Martyna siądzie na nim, i pragnął, by to teraz zrobiła, ale ona nagle sięgnęła w prawo i podniosła coś, co leżało w rogu pomostu. Piotr zobaczył w jej garści poplątane kępy wodnych roślin.

– Co...? – spytał zdziwiony. – Co to jest?

– Prowizorka. – Mrugnęła okiem. – Ale tylko spróbuj ją zerwać... – dodała stanowczo, a potem nachyliła się nad nim, sięgając swoimi rękoma za jego głowę.

Właśnie wtedy jej pełne piersi wylądowały mu na twarzy, a on nie mógł się oprzeć i wysunął język, żeby ich dotknąć. Martyna przysunęła się bardziej, tak, że jej prawy sutek znalazł się wprost w jego ustach, i kiedy on delikatnie go całował, ona przywiązywała do barierki jego nadgarstki. Rośliny mógłby wprawdzie zerwać w ułamku sekundy, ale zakazała mu tego próbować. Skończyła, ale zanim się odsunęła, żeby podziwiać swoje dzieło, przez dłuższą chwilę cieszyła się wilgocią jego języka na piersi. Przesuwała się minimalnie tak, że sprawiało jej to jeszcze większą przyjemność, a Piotr tonął w jej biuście, jakby wcale nie zamierzał się od niego oderwać. Otarła się o niego biodrami, czując, jak dotyk jego ust na ciele wzmaga jej pożądanie. Wreszcie zsunęła się i powolnymi ruchami palców zaczęła wodzić po jego brzuchu, pozwalając mu na siebie patrzeć. Lekko kołysała biodrami – tuż przy jego członku, ocierając się o niego i jednocześnie ciągle trzymając z daleka.

– Ty mnie wykończysz – jęknął Kanda i spróbował unieść związane ręce, chcąc naprowadzić ją nimi na właściwy kierunek, ale Martyna go powstrzymała.

– Nic z tego – szepnęła. – Dzisiaj nie wolno ci używać rąk – dodała, pochylając się, i pocałowała jego napięty brzuch.

– W ogóle? – spytał niepokieszony.

– W ogóle.

Wróciła ustami do jego szyi i przez chwilę kąsała ją delikatnie. Nagle minimalnie się uniosła i prawą ręką dotknęła jego naprężonego już do granic możliwości członka. Ustawiła go pod sobą i zaczęła lekko napierać na niego ciałem. Piotr jęknął, próbując wypchnąć biodra, by wejść w nią szybko, ale ona skutecznie przybliżała się, dając mu siebie minimalnie, a później znów odsuwała się tak, że zostawał z niczym. Powtórzyła to kilkanaście razy, widząc, jak jego twarz się przy tym zmienia. Każdy grymas, czerwony wykwit na policzkach i przygryzienie wargi upewniały ją, jak bardzo jej pragnie.

– Zabiję cię za to – wykrztusił wreszcie.

Martyna czuła, że przedłużanie przyjemności podnieca ją równie mocno, jak jego. Kiedy była już pobudzona do granic i tak bardzo pragnęła czuć go w sobie całego, że brakowało sekund, by nie mogła się już powstrzymać, odsunęła się. Zgrabnym ruchem przełożyła nogę nad jego ciałem i stanęła obok, na pomoście.

Mina Piotra wyrażała skrajne rozczarowanie.

– Gdzie masz gumki? – zapytała, słysząc, że jej głos brzmi nienaturalnie.

Jakby miał jej się zaraz urwać, skończyć.

– Prawa kieszeń spodni – wycharczał Kanda i podniósł głowę, widząc, jak szybko Martyna sięga po jego ubrania, znajduje spodnie i wyciąga z nich małą paczuszkę.

Uważnie rozerwała opakowanie zębami, wyjęła zwitek i nasunęła mu kondoma tak szybko, że chyba jeszcze nikt nigdy nie zrobił mu tego w tym tempie. Znów usiadła na niego okrakiem, oparła się kolanami o pomost i jednym płynnym ruchem wsunęła go w siebie do końca. Piotr jęknął przeciągle, a ona poczuła, jak ogarnia ją kolejna fala pożądania.

Ich ciała zgrały się ze sobą od razu.

Martyna otworzyła oczy i poruszając się na nim, widziała, jak jego spojrzenie robi się mgliste. *O Boże, jak dobrze.* Wiedziała, że to długo nie potrwa. Właśnie wtedy Piotr mocno wypchnął biodra, a ona poczuła go dosłownie w każdym kawałku swojego ciała.

Nie chciała krzyczeć. Zaciśnęła zęby i już wiedziała, że rozpada się na tysiąc kawałków. *Jak szybko. Idealnie. Ach!* Oddychała ciężko, starając się nad sobą zapanować. Piotr znów napał na nią biodrami i wtedy przestała słuchać tego głosu, który mówił jej, żeby siedziała cicho. Wygięła się do tyłu, wydając z siebie zduszony jęk. Piotr szarpnął biodrami.

– O Boże... – wysapał, a ona opadła na niego, czując, jak ich spocone ciała niemal się do siebie przyklejają.

Leżeli tak, nie mogąc się ani podnieść, ani poruszyć.

I wtedy gdzieś z oddali do uszu Martyny dotarł stłumiony krzyk jej dziecka.

– Maaaaamo!

Oboje jednocześnie spojrzeli w kierunku plaży. Maks właśnie zbiegał po wzniesieniu i rozglądał się niespokojnie. Szukał jej, to było jasne.

– O kurwa mać – zaklęła.

Gwałtownie zsunęła się z Piotra, resztką rozumu podtrzymując prezerwatywę, i przerażona zerknęła do tyłu. Maks właśnie wchodził na plażę. Spojrzała na Kandrę, zeskoczyła z niego, usiadła obok na pomoście, a potem powiedziała:

– Przepraszam, schowaj się!

Zaparła się nogami o barierkę i zepchnęła go z desek prosto do wody. Rośliny, którymi był prowizorycznie związany, poleciały razem z nim. Usłyszała chłopot, coś, jakby wrzask, ale nawet na niego nie spojrzała, bo właśnie wkładała dres. Majtki wcisnęła do kieszeni, nie było na to czasu.

Kiedy Maks ją dostrzegł, już machała do niego ręką.

– Tu jestem, Maks! Pływałam! – krzyknęła. – Idź do domku, już wracam!

Piotr siedział po szyję w wodzie i zasłaniał sobie usta dłonią, próbując nie wybuchnąć śmiechem. Kiedy po chwili chłopiec wreszcie się odwrócił, Kandra spojrzał na Martynę i wyciągnął do niej rękę.

– Zabierz gumkę – parsknął, podając jej przemoczony zwitek. – Nie zostawię tego w jeziorze.

Broda cała drżała mu ze śmiechu.

– Cicho bądź! – powtarzała Martyna, biorąc mokrą gumę do ręki i chowając ją w swojej bluzie. – To nie jest śmieszne – mówiła zdenerwowana.

– To jest bardzo śmieszne – odparł, dusząc się w próbie zapanowania nad dzikim rechotem.

– Idę – powiedziała. – Przyjdź, jak się ubierzesz, powiesz, że pływałeś i wpadłeś na śniadanie – dodała.

Kiedy ruszyła w stronę plaży, słyszała, jak Piotr ryczy ze śmiechu. Mimowolnie uniosła kąciki ust i poczuła, jak jej również zaczynają się trząść ramiona.

Tak... może miał rację, że to było śmieszne. Romans życia z dzieciakiem w tle.

No i co pan zrobisz?

Siedzieli we dwóch w salonie i patrzyli, jak Martyna gotuje właśnie jajka na twardo. Stała do nich tyłem i jednocześnie wyjmowała z szafki kubki na kawę oraz talerze na kanapki. Piotr co chwilę uśmiechał się pod nosem, a Maks dziwnie na nich patrzył.

– Śniadanie o piątej rano? – odezwał się wreszcie, kręcąc z niedowierzaniem głową. – Tego jeszcze nie grali.

– No widzisz, ile masz tutaj atrakcji? – rzucił Piotr. – Niezła odmiana, co?

– Taaa. – W głosie Maksa nie było nawet cienia zachwytu. – Co wy tam w ogóle robiliście o tej porze? Pływaliście? Poważnie?

Piotr kiwnął głową.

– Twoja mama chciała sprawdzić, czy nie stchórzę w środku nocy, więc sam rozumiesz, że musiałem przyjechać. – Mrugnął do niego.

– I tak to ja pierwsza weszłam do jeziora. – Wzruszyła ramionami.

Poczekala, aż woda w czajniku zacznie bulgotać.

– Chcesz herbatę, Maks?

– Wolę sok.

Martyna odwróciła się do Piotra i spojrzała na niego, zwracając uwagę, że nawet z mokrymi włosami jest mu do twarzy.

– Piotr, kawa? – spytała.

– Poproszę. Supermocną.

– Co my będziemy robić resztę dnia, jak śniadanie zjemy o piątej? – zastanawiał się Maks.

– Może pojedziecie ze mną na golfa koło jedenastej?

– A Dawid? – podchwycił od razu Maks.

– Niech też jedzie, czemu nie.

– Dobra, stoi. – Uśmiechnął się i wziął od Martyny szklankę soku pomarańczowego. – A co teraz będziemy robić?

Jego mama postawiła na stole dwa kubki z kawą i poszła schłodzić jajka. Kanapki zrobiła w międzyczasie, więc je również zostawiła na stole.

– Teraz wcinaj, żebyś miał siły na tego golfa – powiedziała, patrząc na syna.

– Nie ma tu żadnych gier planszowych? – zagadał Piotr. – Chińczyk, warcaby, cokolwiek?
– E, nuuda – mruknął Maks i złapał jedną z kanapek.
– Mam coś w mojej sypialni – odezwała się Martyna. – Wzięłam z domu karty i chyba warcaby również.

– Maaamo, to zajęcie dla starców, nie rób siary. Dzisiaj się nie gra w takie rzeczy – przypomniał jej Maks.

– A tam nie gra! – Piotr cofnął się na krzesło, aż zaszurało na drewnianej podłodze. – Gdzie ta sypialnia? Poszukam.

– Pierwsze drzwi po lewej. – Martyna wskazała palcem. – Powinny być w szafce przy łóżku.

Mężczyzna podniósł się i szybkim krokiem poszedł do pokoju. Otworzył drzwi i pierwszym, co zobaczył, była rozbebeszona na łóżku pościel i śmieszna piżama. Z ciekawości sięgnął po nią i zobaczył, że na niebieskim T-shircie nadrukowana jest wielka, uśmiechnięta od ucha do ucha Myszka Miki. Wyobraził sobie kształtne piersi Martyny pod oczami kreskówkowego bohatera.

Przypomniał sobie, jak ktoś mu kiedyś mówił, że kobieta z dzieckiem szybko przestaje spać seksownie i zaczyna spać wygodnie. Musiał przyznać, że było w tym ziarno prawdy. Nie wyobrażał sobie, jak taka piżama mogłaby być podniecająca dla płci przeciwnej. Odłożył koszulkę na łóżko i schylił się do szafki. W pierwszej szufladzie leżała bielizna Martyny. Pomyślał, że chyba ma fart, ale kiedy lepiej jej się przyjrzał, zmienił zdanie. Szare, białe, czerwone i zielone. Zero koronki, seksownych wycięć, przezroczystości, czegokolwiek, co można by określić słowem „sexy”. Pełna, zabudowana pupa, kolory jak z jarmarku – koszmarny. Parsknął, zdając sobie sprawę z tego, jak ubranie może być mylące. Od dawna żadna kobieta nie działała na niego tak jak ona, nie wspominając już o tym, co wyprawiała na pomoście, nabijając się na niego raz za razem, ani o tym, jak jej ciało reagowało na jego język, wtedy na dzikiej plaży, a tu... okazało się, że nosiła bieliznę i piżamę, na widok których sprzęt większości facetów by nawet nie drygnął. *Nieźle.*

Usłyszał dobiegający z kuchni głos Martyny.

– Żyjesz tam?

– Tak! – odkrzyknął. – Właśnie oglądałem twoje majtki – dodał bez najmniejszego skrępowania.

– O Jezu.

Nawet z sypialni usłyszał, jak w tym momencie jęknęła.

Wreszcie otworzył drugą szufladę i znalazł planszówki. Ucieszył się, widząc warcaby, karty, a nawet chińczyka, same klasyki idealne na zajęcie marudnego dziecka. Poza tym, jeśli Piotr miałby być szczerzy, to od dawna nie grał w coś, co przypominałoby mu wakacje z rodzicami sprzed lat. Gdzie ten czas zleciał? Nie miał pojęcia.

– Znalazłem! – zawołał i wyjął wszystko, co znajdowało się w środku.

Kiedy wrócił do kuchni, natrafił na krytyczne spojrzenie Maksa.

– Nikt panu nie mówił, że się nie grzebie w cudzej bieliźnie? – zapytał rezolutnie chłopiec.

– A wybacz, kolego, ale zajrzałem tylko do szafki, do której pozwoliła mi zerknąć twoja mama – wyjaśnił i usiadł przy stole.

– Aha.

Maks nie miał na to przygotowanej żadnej odpowiedzi, więc jadał dalej, ale patrzył na niego uważnie.

– Warcaby, chińczyk? – zapytał Piotr, wskazując na gry.

Mężczyzna wolną ręką sięgnął po kubek z kawą i wypił kilka łyków, zachwycając się smakiem.

– Mogę cię ograć w warcaby – powiedziała Martyna. – Ale najpierw obiorę jajko.

– Co dla zwycięzcy? – spytał od razu Piotr.

– Duma i chwała. – Zaśmiała się.

Maks wzruszył ramionami zupełnie niezainteresowany grą, ale kiedy Martyna dojadła jajko, a Piotr rozłożył planszę, przysunął trochę bliżej swoje krzesło, żeby lepiej widzieć. I tak nie chciało mu się spać, a dzisiaj miał dzień bez telefonu, więc nie miał nic lepszego do roboty.

Przyglądał się, jak grają, a potem zauważywszy, że mama traci kolejne pionki, szepnął jej coś na ucho, więc zrobiła ruch, który jej polecił. Piotr podrapał się po głowie, widząc, że na planszy robi się ciekawiej, i kolejne posunięcia dobierał uważniej. Maks to dostrzegł i nagle skupił się na warcabach, podpowiadając mamie, jak ma grać. Trudno było powiedzieć, czy zorientował się, że Martyna celowo robi głupie ruchy, by się wkręcił w zabawę, czy też nie, ale pomagał jej teraz aktywnie. Kiedy skończyli partię i mimo jego wsparcia

przegrała, obrócił planszę w swoją stronę i spojrział na Piotra.

– To teraz ze mną – rzucił.

– Bez żadnych forów, tak? – upewnił się Piotr.

– Ja panu ich nie dam, nie ma mowy – odparł Maks, jakby w ogóle nie zakładał, że to Piotr może chcieć dać wygrać jemu.

Przez kolejne trzy godziny obaj nie odrywali się od planszy, sprawiając, że Martyna patrzyła na nich, lekko pukając się w głowę. Raz wygrywał jeden, raz drugi; każdemu zwycięstwu Maksowi towarzyszył wybuch entuzjazmu, a porażka zwieńczona była jęknięciem. Dopiero koło dziewiątej Piotr podniósł się do toalety, a ona z uznaniem poklepała syna po ramieniu.

Maks puchł z dumy, chociaż przeciwnik co którąś partię zwyciężał, więc syn Martyny wiedział, że Kanda nie daje mu wygrywać, i naprawdę musiał niezłe kombinować, żeby jego było na wierzchu.

Kiedy Piotr siedział w łazience, Martyna nastawiła wodę na drugą kawę i zerknęła przez okno w stronę jeziora. Dzień był już jasny, a bezchmurne niebo wskazywało, że pogoda będzie obłędna. Wolałyby wprawdzie poleżeć na plaży i się poopalać, zamiast grać w golfa, ale skoro Maks był na tak, to uznała, że warto to wykorzystać. Przy numerach, jakie ostatnio wykręcał jej syn, lepiej było mieć go na oku, przynajmniej na tyle, na ile to możliwe.

Usłyszała spuszczenie wody w toalecie i po chwili wynurzył się z niej Piotr. Zanim jednak zdążył usiąść przy stole, z kieszeni jego spodni zaczęła się wydobywać staromodna muzyczka.

Rozpoznała polski hicior sprzed czterdziestu lat.

– O rany, co to za antyk? – Zaśmiała się.

– Ups. – Chrząknął, wyciągając telefon. – To ekstradzwonek dla mojej mamy – wyjaśnił i odebrał połączenie. – Cześć, mamusiu, wszystko w porządku? – zapytał, kierując się w stronę tarasu.

Martyna z zaciekawieniem podeszła bliżej, żeby posłuchać, o czym tak grzecznie rozmawia ze swoją matką. Patrzyła, jak Piotr siada na ławce tarasu i uśmiecha się sympatycznie. W tej chwili wydał jej się taki chłopięcy, subtelny – może tak właśnie wyglądają dorośli faceci, rozmawiając z matkami?

Przeczesał ręką włosy i tłumaczył rozmówczyni, że nie zaszedł do niej rano, bo zasnął do pracy i bardzo się spieszył, żeby zdążyć. Martyna uśmiechnęła się pod nosem, słysząc, jak lekko przychodzi mu to kłamstewko. Żeby stary byk tłumaczył się matce, że zasnął, zamiast powiedzieć, że był poza domem? Zapachniało jej to synalkiem mamusi, trochę jak z tych koszmarnych filmów o nadopiekuńczych matkach i ich wiecznie samotnych, idealnych chłopcach. Okropne.

Piotr właśnie ściszył głos i obiecał kobiecie, że jak zwykle przyjedzie do niej na obiad zaraz po pracy. Martyna mało nie wyskoczyła z kapci. Obiad „jak zwykle” u mamusi? Co to za facet? Musiała nad sobą zapanować, żeby nie parsknąć. Na szczęście planowała z nim tylko seks, i to jeszcze przez ostatnie dwa dni, jakie im tutaj zostały, a nie związek, bo z taką teściową to pewnie dostałaby szału.

Cofnęła się od drzwi domku letniskowego i podeszła do stołu po ostatnią kanapkę. Wgryzła się w nią, myśląc, że jak na synalka jedzącego obiady z mamusią, to w łóżku jest wyjątkowo dobry. Potrząsnęła głową, przypominając sobie, że nie miała jeszcze okazji kochać się z nim w łóżku. Na plaży, na pomoście, między drzewami – tak, ale nie w łóżku.

Wieczorem Martyna siedziała przed domkiem z nosem w książce i odpoczywała po intensywnym dniu spędzonym w towarzystwie Piotra. Jej syn jeszcze pobiegł gdzieś z kolegą, więc miała trochę spokoju. Przewracała kartkę po kartce i co chwilę podnosiła wzrok w stronę jeziora, które o tej porze urzekało feerią barw zachodzącego słońca. Niebo było coraz bardziej czerwone, a ostatnie, złote promienie przebijały się przez liście i padały na książkę, której treść wydała jej się teraz jeszcze bardziej romantyczna.

Doszła właśnie do momentu, w którym główni bohaterowie stają przed dylematem: wspólne życie czy rozstanie na wieki. Tak oczywiste było przecież, co wybiorą, a mimo to czytała dalej. Magia kobiecej literatury, która lubiła zaskakiwać, ale zakończenie musiało być dobre. Gdyby w tej chwili miała napisać je sama, to pewnie zauroczona sobą para właśnie spacerowałaby w stronę zachodzącego słońca. Denne, ale miłe. Dające nadzieję na to, że w życiu pewne sceny po prostu muszą skończyć się dobrze. Albo w książce... samo życie przecież było od tego tak dalekie.

Przypomniała sobie, jak Dawid z Maksymem zostali na golfowej strzelnicy, urządzając sobie turniej pod

tytułem „kto uderzy piłkę dalej”, a ona poszła z Piotrem na jego przerwę w pracy. Rzekomo do toalety, a tak naprawdę do jego samochodu... Volvo XC40 okazało się wyjątkowo przestronne.

– Mamo! – krzyknął Maks, który znikąd wyrósł za jej plecami.

Prawie podskoczyła.

– Rany, nie strasz mnie – fuknęła, odwracając się w jego kierunku.

– Głodny jestem, zrobisz mi coś? – zapytał.

– A co... rączki ci urwało? – odparła pytaniem. – Książkę teraz czytam.

– Ja nie robię takich dobrych, piętrowych kanapek – zaczął przymilać się tym swoim charakterystycznym głosikiem, któremu nie mogła odmówić. – No prooszę.

Podroczyła się z nim przez chwilę, a potem wzdychając, wstała z ławeczki i poszła zrobić mu tę kanapkę. Tak, wiedziała, że jest zdecydowanie za miękka, że nie uczy go samoobsługi, że to, że sramto. Ale z drugiej strony za parę lat Maks już o nic nie będzie jej prosił, więc cieszyła się tym, póki mogła. Weszli do domku, ona zabrała się do przygotowania kolacji, a Maks włączył stojący w salonie telewizor. Spojrzała na niego oniemiała.

– Telewizor? – spytała. – To chyba pierwszy raz, odkąd tu jesteśmy – zauważyła.

– A pogapię się na coś. – Chłopiec wzruszył ramionami i zaczął od niechcenia przerzucać kanały.

Znalazł stację muzyczną i na niej zostawił.

– Mamo, a ty coś więcej kręcisz z panem Piotrem? – zapytał nagle, wybijając ją z układania na bułce sera żółtego.

– W sensie? – odpowiedziała, oblizując palce.

– No wiesz, podoba ci się i w ogóle. – Maks udawał, że pyta luźno, ale Martyna wyczuła, że wcale nie jest to takie luźne. – Chciałabyś z nim być czy coś? – dodał.

– Maks, spokojnie, to tylko wakacyjna znajomość – odparła, cedząc słowa. – Piotr jest sympatyczny i bardzo go lubię, ale każdy z nas ma swoje życie i po urlopie nic się dla nas nie zmieni, okej?

– No on też mi tak mówił, ale... ty chciałabyś, żeby się zmieniło, prawda? – drażył.

Martyna położyła kielbasę na ser i przez chwilę się zastanawiała. Wiedziała, że Maks ma na myśli coś konkretnego.

– Wiesz, taty nie ma już od kilku lat... – zaczęła, próbując go wyczuć. – Być może kiedyś będę chciała być dłużej z jakimś mężczyzną. – Zawiesiła głos. – Może nawet stworzyć związek, ale na razie w ogóle o tym nie myślę.

– Rozumiem – odparł chłopiec i dalej patrzył w telewizor, słuchając muzyki.

Usiadła obok niego na sofie, podając mu talerz. Maks podziękował, a później zaczął jeść, ale Martyna czuła, że coś chodzi mu po głowie.

– A dlaczego właściwie o to pytasz?

– Bo go nawet lubię – przyznał, gryząc kanapkę. – Rozmawiałem dzisiaj o tym z Dawidem.

– Z Dawidem? – zdziwiła się, puszczając mimo uszu to, że jej syn polubił Piotra.

– No wiesz, Dawid ma dwoje rodziców, a ja już taty prawie nie pamiętam – powiedział. – Dobrze byłoby, gdybyś spotykała się z kimś fajnym, a ja miałbym z kim pogadać, wiesz, mamo, tak po męsku. Albo pograć... czy coś.

Martyna przełknęła ślinę i nie wiedziała, co mu na to odpowiedzieć. Mogła się domyślać, że jej synowi brakuje w życiu dorosłego mężczyzny, jakiegoś autorytetu, ale takiej rozmowy nie spodziewała się teraz. Nie była do niej przygotowana. Jadła kanapkę, udając, że ma pełne usta, i celowo przeciągała odpowiedź.

– Posłuchaj, Maks – zaczęła wreszcie, próbując przemóc się i traktować go jak dorosłego. – Jeśli kiedyś w Katowicach trafię na kogoś, z kim chciałabym się związać, to na pewno to zauważysz i mam nadzieję, że również go polubisz, ale Piotr... on ma życie tutaj, a my tam. Od początku nie zakładaliśmy niczego więcej. Rozumiesz?

Maks podrapał się w kolano i patrzył na telewizor, jakby faktycznie leciało tam coś ważnego, chociaż wcale nie leciało.

– Jasne, mamo, rozumiem. Tak po prostu chciałem sprawdzić – powiedział, udając, że go to nie obeszło.

– To jak chcesz, to możemy tu za rok znów przyjechać na wakacje. Będzie fajnie.

Martyna poczuła, jak coś rośnie jej w gardle, i w tej chwili ucieszyła się, że ich pobyt w Niesulicach kończy się już w niedzielę. Zostały dwa dni, więc na tyle krótko, żeby mogła jeszcze cieszyć się Piotrem i żeby

Maks nie zdążył go polubić jeszcze bardziej.

– Został jeszcze sok pomarańczowy? – zapytał.

– Oczywiście.

Podniosła się z sofy, żeby mu go nalać. W tej samej chwili usłyszała energiczne pukanie do drzwi. Maks spojrzął w tę stronę i spytał, czy kogoś się spodziewają, ale zaprzeczyła. Podeszła do okna, wyjrzała na zewnątrz i zobaczyła starszego mężczyznę z dwoma młodymi chłopakami. Nacisnęła klamkę i otworzyła.

– Słucham? – zapytała, nie poznając żadnego z nich.

– Dobry wieczór – odezwał się mężczyzna stojący między nastolatkami i wyciągnął do niej rękę. – Nazywam się Jan Masterski – przedstawił się.

Kiedy Martyna uściśnęła mu rękę, podając swoje nazwisko i pytając, w czym może mu pomóc, kiwnął głową w stronę dwóch stojących przy nim chłopców.

– Poznaje ich pani może?

– Chyba... nie – powiedziała, przyglądając się twarzom – Chociaż... – zastanowiła się. – Chwilka, chyba któregoś dnia widziałam was na pomoście, zgadza się? – zapytała.

Chłopcy kiwnęli głowami, jakby było im głupio, ale Martyna, mimo że teraz już ich kojarzyła, nie powiedziała nic więcej, tylko pytając spojrziała na Jana Masterskiego. Nie zamierzała mu mówić, że ci dwaj kilka dni temu pili piwo na pomoście i nawrzucałi jej od najgorszych, kiedy próbowała zwrócić im uwagę. Zresztą pewnie nie po to tutaj przyszli.

– To moi synowie – wyjaśnił mężczyzna. – Marek i Kacper – powiedział, wskazując na nich po kolei. – Mają pani coś do powiedzenia.

Chłopcy stali w milczeniu, a jeden z nich odezwał się dopiero wtedy, gdy ojciec szturchnął go w ramię.

– Chcieliśmy przeprosić – powiedział pierwszy, podnosząc na nią niepewne spojrzenie. – Popiliśmy sobie znowu i... wtedy przypomniało nam się, jak zwróciła nam pani uwagę... kilka dni temu na pomoście – ciągnął, dukając. – A że widzieliśmy, jak wysiada pani z samochodu, to ze złości chcieliśmy się odegrać i... no... to my przebiliśmy pani w nocy oponę. Naprawdę bardzo przepraszamy – dodał i w tej samej sekundzie ojciec strzelił mu ręką w głowę tak mocno, że aż podniosły mu się wszystkie włosy.

– Podśledzałem ich rozmowę i dowiedziałem się przed chwilą, że to ich sprawka – wyjaśnił Masterski.

– Bardzo panią przepraszam za synów. – Trącił łokciem drugiego chłopca, który do tej pory siedział cicho.

Dopiero wtedy nastolatek również dołączył się do przeprosin. Jąkając się, mówił jakieś pierdoły o tym, jak im przykro i wstyd, dorzucił jeszcze kilka mądrych zdań, których zapewne ojciec kazał mu się wyuczyć po drodze.

Martyna przerzucała wzrok z jednego nastolatka na drugiego, ale w tej chwili niemal ich nie słuchała. Czuła, jakby ktoś ją właśnie uderzył w brzuch i poprawił z kolana. Nagle boleśnie zdała sobie sprawę z tego, że jeśli to oni są winni przebicia opony, to jej awantura zrobiona sąsiadowi z domku obok była co najmniej niegrzeczna. Oskarżyła faceta bez dowodów, opieprzyła i jeszcze rozniosła to po ośrodku, starając się dotrzeć do kamer z monitoringu, których zresztą nie było. *Jasny szlag.*

– Ile jestem pani winny za wymianę tej opony? – zapytał Jan Masterski.

– Nnn... nic – wybełkotała, próbując dojść do siebie po pierwszym szoku.

– Chciałem ją sam teraz naprawić, ale widziałem, że koło jest już zmienione – ciągnął Masterski. –

Chłopcy już za to ode mnie dostali, ale ja czuję się zobowiązany do partycypowania w kosztach – oznajmił stanowczo.

– Nie, naprawdę nie trzeba. – Martyna uśmiechnęła się lekko i poczuła, jak na jej twarzy pojawiają się wypieki. – Mam tutaj znajomego, który zrobił to za darmo, więc naprawdę nie trzeba, ale... bardzo wam dziękuję, że się przyznaliście, chłopcy. – Wyciągnęła rękę i uściśnęła im po kolei dłonie. – To postawa godna pochwały, mimo samego marnego uczynku – dodała, widząc, że Jan Masterski wreszcie się uśmiecha.

Rozmawiali jeszcze przez kilka minut, a kiedy ojciec nastolatków wciąż naciskał na rekompensatę, zgodziła się ostatecznie na postawienie sobie jutro kawy i deseru w restauracji obok. Pożegnała ich tak miło, jak mogła, a potem cofnęła się do domku i zamknęła za sobą drzwi. Spojrzała na Maksa, który dziwnie się w nią wpatrywał.

– Co jest, mamó? – spytał, chociaż doskonale słyszał całą rozmowę.

– Szlag – odpowiedziała.

– Ale co?

– Pamiętasz, jak po kajakach wspomniałam ci, że ktoś przebił nam oponę?

Maks skinął głową.

– Podejrzywałam o to naszego sąsiada, Zaradę – odparła. – To stało się rano, a ja wtedy poszłam do niego, nic ci nie mówiąc, zrobiłam awanturę i obarczyłam winą.

– Ups. – Maks usiadł na sofie i przyglądał się jej z ciekawością. – No to pomyłeczka – powiedział z uśmiechem, ale Martynie nie było do śmiechu.

Wzięła z kubka dwa łyki herbaty i zebrała się w sobie. Nie mogła tego tak zostawić, bo w końcu jaki dałaby Maksowi przykład? I co myślałaby sama o sobie, udając, że luzik, nic się nie stało?

Czuła się podle, a na samą myśl o przeproszeniu bezczelnego sąsiada skoczyło jej ciśnienie. Westchnęła.

– Dobrze, wstawaj – powiedziała do Makska. – Idziemy przeprosić Zaradę – dodała.

– Co? – zdziwił się. – A ja niby za co?

– Ty akurat miałbyś za co, ale to ja będę przeproszać – odparła zrezygnowana. – Ty robisz za moją obstawę.

– Aaa... jak tak, to mogę.

Maks podniósł się i zaczął wkładać buty.

Zapukała trzy razy, licząc w duchu, że Zbigniewa Zarady nie będzie, a jej uda się to przełożyć na jutro, a najlepiej na poniedziałek, kiedy już będą daleko stąd. Niestety... najpierw usłyszała szczekanie jego morderczego psa, który pewnie już ostrzył sobie zęby na intruzów, a po chwili szuranie butów i skrzypnięcie zamka. Maks dyskretnie schował się za jej plecami. Bohater jeden.

Głowa mężczyzny wysunęła się zza drzwi, a jego czoło zmarszczyło, gdy tylko ją zobaczył.

– Czego znowu? – zapytał, nie siląc się na uprzejmości. – Pani nigdy nie da mi spokoju, co?

Martyna przełknęła ślinę i nabrała do płuc więcej powietrza, powtarzając sobie w duchu, że przyszła przeprosić, a nie się denerwować. Zauważyła, że włosy Zarady były w nieładzie, a chuch wydobywający się z jego ust niezbitcie świadczył o tym, że coś już na wieczór wypił. Wprost idealny moment na kajanie się.

– Dobry wieczór – powiedziała wreszcie, zmuszając się do ciepłego i spokojnego głosu. – Panie Zbigniewie, nie przyszłam się kłócić ani awanturować. Przyszłam, bo chciałam pana przeprosić – wyjaśniła od razu.

– Co? – Zarada mało nie dostał czkawki, a jego czoło nagle przestało się marszczyć. – Dobrze słyszę czy za dużo wypilem?

– Dobrze pan słyszy. Oskarżyłam pana o przebicie mi opony w samochodzie – ciągnęła. – Przed chwilą było u mnie dwóch nastolatków, którzy się do tego przyznali, więc... bardzo mi przykro, że pana o to posądziłam. Przepraszam. To nie było fair z mojej strony.

Zbigniew Zarada przypatrywał się jej, jakby czekał, że zaraz to odwoła i rzuci w jego stronę parę mocniejszych słów, ale kiedy nic takiego się nie stało, uchylił drzwi szerzej i wyszedł na zewnątrz. Podrapał się po nie do końca ogolonej brodzie, nie wiedząc, co ma powiedzieć. Wreszcie wzruszył ramionami, jakby nic się nie stało, i mruknął coś pod nosem.

– Przepraszam, niedosłyszałam – powiedziała Martyna, nie wiedząc, czy to było do niej, czy rzucił coś sam do siebie.

– Nie ma sprawy – odparł sucho, a potem dusił słowa w gardle, jakby sporo go kosztowały. – Ja też nie zachowałem się tak, żeby mogła pani pomyśleć, że to ktoś inny.

Martynę zatkało, bo nie tego się po nim spodziewała. Liczyła raczej na stek wyzwisk klasycznego prostaka i obrażanie jej. Zaskoczona obrotem sprawy pojednawczo wyciągnęła do niego rękę.

– Zgoda? – zapytała.

Mężczyzna chwilę się wahał, a potem uściśnął jej dłoń.

– Zgoda – powiedział.

Mierzyli się wzrokiem i chyba każde z nich czekało na coś, co nie miało się wydarzyć. Wreszcie Martyna puściła jego dłoń, kiwnęła głową i zaczęła się odwracać z zamiarem powrotu do siebie. Maks przesunął się za jej plecami tak, że chyba wcale nie było go widać.

– Może... – Usłyszała nagle głos Zarady i niechętnie wróciła do niego spojrzeniem. – Może dacie się

zaprosić na herbatę pokoju? – zaproponował, całkowicie ją tym zaskakując.

Szczerze mówiąc, kompletnie nie miała ochoty na herbatę w jego towarzystwie, ale też nie bardzo wiedziała, jak się od niej wykręcić.

– Chętnie – odpowiedziała wbrew sobie, czując, jak za plecami Maks ciągnie ją za rękaw.

Zarada otworzył na oścież drzwi do swojego domku i włączył światło, bo jak widać, dotąd siedział po ciemku. W głębi pomieszczenia jego rottweiler przycałił się i patrzył na intruzów, niebezpiecznie mrużąc oczy.

– Hektor! Przyjaciele – zwrócił się do psa, a ten położył się natychmiast na dywanie i spokojnie zamknął oczy. – Zapraszam – powiedział do Martyny i Maksa.

Kiedy oboje weszli do środka, zamknął drzwi, zabrał ze stołu otwartą butelkę wódki i stojący obok niej kieliszek i wskazał im miejsca na sofie. Potem podszedł do aneksu kuchennego i na kuchence gazowej nastawił wodę na herbatę. Maks usiadł obok mamy i nie spuszczał z oczu wielkiego psa. Bydlę leżało tuż obok jego nóg i gołym okiem widać było, że ta wizyta wcale mu się nie podoba.

– Nie bójcie się – powiedział odwrócony do nich plecami Zarada. – Hektor nie jest groźny, ale chętnie takiego udaje.

– Dobrze mu to wychodzi – zauważyła Martyna. – Osobiście jestem przerażona.

– Nie ma powodu. Jeśli wie, że jesteście przyjaciółmi, a już wie, to nie ruszy was za nic w świecie – wyjaśnił, wyjmując z szafki trzy granatowe kubki i wrzucając do nich po saszetce herbaty. – Hektor, przywitaj się – powiedział, nawet nie zerkając na zwierzę.

Rottweiler od razu zaczął merdać ogonem, a potem wstał i patrząc na przerażoną Martynę i Maksa, zaczął im się ocierać o nogi. Zachowywał się co najmniej jak grzeczny pudelek. Wywalił z pyska mokry język i radośnie dyszał, patrząc na nich i chyba na coś czekając, ale ani Maks, ani Martyna nie odezwali się nawet szeptem. Wreszcie pies podszedł do Maksa, podniósł się i położył mu głowę na kolanach.

– Chce, żebyś go pogłaskał za uszami – wyjaśnił Zarada.

Chłopiec spał się, ale wysunął drżącą rękę i z dużą ostrożnością zaczął głaskać psa. Minęło przynajmniej kilka minut, kiedy Martyna wreszcie do końca wypuściła powietrze z płuc i przestała się zastanawiać, za co ma złapać, żeby trafić tego potwora w łeb, jak się wreszcie na nich rzuci. Hektor przymilał się do jej syna na całego, a ten, widząc to, robił ze zdziwienia coraz większe oczy.

Zbigniew Zarada usiadł przy stole i chwilę na nich patrzył.

– Gdybym był na pani miejscu, to też bym siebie oskarżył o tę oponę – przyznał, siląc się na mały uśmiech.

– Jeszcze raz przepraszam, pochopnie pana oceniłam – odpowiedziała Martyna i naprawdę było jej z tego powodu głupio.

– Może zasłużyłem – westchnął.

W tej chwili wydał się Martynie znacznie starszy i trochę dziadkowaty. Wcześniej w życiu nie pomyślałaby, że można by go traktować jak miłego, starszego pana. Nie jego.

Nie po tym, jakich słów używał w stosunku do niej i do Maksa.

Woda w czajniku zaczęła bulgotać, więc Zarada wstał, zalał kubki i postawił je przed nimi. Cofnął się jeszcze do blatu po cukierniczkę, a później na powrót usiadł przy stole. Milczeli, nie wiedząc, o czym w zasadzie mieliby rozmawiać.

– Przyjeżdżałem tutaj z żoną – odezwał się wreszcie Zarada, przerywając ciszę i obejmując kubek rękoma. – Przez dziesięć lat z rzędu, póki jeszcze żyła. W zeszłym roku, zaraz po jej śmierci, nie miałem siły tu przyjechać, dopiero teraz.

Martyna poczuła się dziwnie.

– Współczuję straty żony – odpowiedziała, uznając, że to zawsze jest tekst na miejscu, chociaż wcale nie była pewna, czy on chciał to od niej usłyszeć.

– Dziękuję... Pokażę wam coś – rzucił i wyszedł nagle do sąsiedniego pokoju, skąd przez moment dobiegało szuranie.

Wreszcie wrócił do nich i położył na stole album. Martyna od razu pomyślała, że po pijaku zebrało mu się na wspominki. Uznała jednak, że przelknie tę gorzką żabę w ramach rekompensaty za wcześniejsze oskarżenie.

– Wtedy, kiedy z kolegą włamałeś do mojego domku – powiedział, zwracając się do Maksa, który z coraz większą przyjemnością głaskał głowę jego psa – wszedłem do pokoju i zobaczyłem, że ten album leży

na ziemi, rozbebeszony – dodał.

Maks nie mógłby tego zapomnieć. Na samo wspomnienie przechodziły go ciarki.

– Wkurzyłem się – kontynuował Zarada – Z żoną nie mieliśmy zbyt wielu wspólnych zdjęć, bo wiecznie byliśmy zajęci sobą i nie było na nie czasu, a teraz, kiedy jej już nie ma... cóż, zostało mi po niej tylko to.

Martyna otworzyła album i na pierwszej stronie zobaczyła fotografię uśmiechniętej, chudej blondynki wpatrzonyj w stojącego obok mężczyznę. Przypominał Zaradę, ale wyglądał na szczęśliwego. Chyba nawet był szczęśliwy. Od pierwszego spojrzenia na nich dało się zauważyć, że są w sobie szaleńczo zakochani.

– Piękna kobieta – przyznała.

– Bardzo – potwierdził. – Wszędzie wożę ze sobą ten album, żeby mieć ją obok, nawet wtedy, gdy jej już nie ma.

Maksowi nagle zrobiło się głupio. Wyobraził sobie, co zrobiłby komuś, kto rzuciłby na ziemię zdjęcia jego taty. Teraz, kiedy już prawie go nie pamiętał.

– Przepraszam... ja nie wiedziałem – wybąkał.

– W porządku. Nie mogłeś wiedzieć – odparł powoli Zarada. – Opowiem wam coś, może nie wszystko zrozumiecie, ale... – Urwał i spojrzał na nich, nie rejestrując jednak zniecierpliwienia na twarzach niespodziewanych gości.

To dodało mu odwagi. Z drugiej strony to mogła być również wypita wcześniej wódka.

– Dwa lata temu... – zaczął znowu – byłem z żoną na spacerze. To była cudowna, opiekuńcza kobieta, gdybyście ją znali, to sami przyznalibyście, że mało jest tak dobrych i kochanych osób – mówił.

W międzyczasie popijał herbatę, a Martyna patrzyła na niego jak na zjawisko.

Nie miała pojęcia, gdzie podział się ten wulgarny, chamski typ, którego poznała na początku pobytu.

– Ja zostałem z tyłu i rzucałem Hektorowi jakiś patyk, a ona poszła przodem. Cudowny dzień, bajkowa pogoda, było po prostu... idealnie. Widziałem z daleka, jak żona zbliża się do przejazdu kolejowego, przy którym stał o, taki łepok jak ty, z dziesięć lat może – ciągnął Zarada, wskazując palcem na Maksa.

– Ja mam dwanaście – poprawił go chłopiec.

– No to dziesięć, dwanaście lat, mniej więcej. Chłopak ze złością kopał kamienie i nie zauważył, kiedy z lewej strony zaczął nadjeżdżać pociąg. Przejazd był niestrzeżony, trzeba tam było uważać. Nagle ni stąd, ni zowąd chłopak wszedł na tory, żeby kopnąć kolejny kamień, a ja zorientowałem się, że pociąg zaraz w niego uderzy i wtedy... – Zarada przełknął ślinę, jakby widział to teraz przed oczyma. – I wtedy moja żona doskoczyła do niego i popchnęła go tak, że przeleciał poza szyny kolejowe.

Martyna zdrętwiała, czując, co będzie dalej, ale nie przerwała opowieści.

Zbigniew Zarada westchnął, próbując zapanować nad emocjami.

– Chłopaka uratowała, ale sama... sama nie zdążyła uciec – powiedział. – Byłem pierwszy, który dobiegł na miejsce, kiedy pociąg już po niej przejechał. Oszczędzę wam tego, jak to wyglądało – dodał, kręcąc głową, jakby chciał z niej wyrzucić to wspomnienie. – Drugi był Hektor. Jej ukochany pies.

Maks zamarł z ręką na głowie czarnego rottweilera i kiedy na niego spojrzał, zobaczył, że zwierzę ma wielkie, szkliste oczy. Na pewno nie słyszał i nie rozumiał tego, co opowiadał jego właściciel, ale Maksowi zdawało się w tamtym momencie, że pies jest smutny.

– O Boże... – jęknęła Martyna. – Strasznie mi... przykro.

– To już dwa lata, ale jeszcze się z tym nie oswoiłem – powiedział Zarada, sięgając po swoją herbatę. – W każdym razie ten dzieciak, no ten... szczył kopiący kamienie, odwrócił się wtedy do mnie i darł się, że poobcierał sobie kolana. Rozumiecie? Kolana! Moja żona leżała tam martwa, rozerwana... a ten krzyczał o odrapane kolana. Boże. Myślałem, że go zabiję. Zatłukę. Zarżnę. Odebrał mi wszystko... – Mężczyzna kręcił głową, a jego twarz zrobiła się szara. – Od tamtego czasu, cóż... gdy widzę chłopców w podobnym wieku, zalewa mnie jasna cholera. Po prostu szlag mnie trafia, bo widzę przed oczyma tego małego gnojka – tłumaczył.

– I dlatego wtedy na plaży tak się pan zdenerwował? – spytała Martyna, przypominając sobie ich pierwsze spotkanie.

Nagle wszystko stało się dla niej jasne.

– Tak – potwierdził mężczyzna, unosząc brwi. – W tamto miejsce na plaży chodziłem często z żoną i z Hektorem. Obserwowaliśmy szeleszczące na wietrze trzciny, moczyliśmy stopy w wodzie, pies bawił się w

piachu. Zaprowadziłem go tam, wiedząc, że on też za nią tęskni. Po śmierci żony Hektor pół roku chodził jak struty, czekał na nią przy drzwiach, budził się w nocy i jej szukał, wahał godzinami jej kaptcie. Nie przeszedł tego lekko – tłumaczył. – I wtedy na plaży zakłóciliście nasz... hm... moment wspomnień? Chyba tak.

– Rozumiem – westchnęła Martyna.

Tego się nie spodziewała.

– Przepraszam, ja nigdy nie zachowywałem się jak taki debil – dodał Zarada. – Tu jest chyba za wiele wspomnień, a rany mam wciąż zbyt świeże.

Martyna nie wiedziała, co mu odpowiedzieć i jak w ogóle doszło do całej tej rozmowy. Chciała go tylko przeprosić, a teraz patrzyła na jego siwe skronie, pomarszczone ręce i tego psa, który miał być mordercą, i widziała ich zupełnie inaczej. Pomyślała, że jednak pozory mogą cholernie mylić.

Zerknęła na Maks, który głaskał czarną bestię i widziała, że trzęsie mu się broda.

Zarada wyciągnął tymczasem rękę w kierunku albumu i odwrócił go na ostatnią stronę.

– Zobaczcie. Poznacie? – zapytał.

Kiedy nachylili się nad fotografią, dostrzegli na niej Zbigniewa i żonę trzymającą na rękach małego, czarnego psa. Z tyłu za nimi znajdował się domek letniskowy, ten, w którym właśnie teraz siedzieli.

– Zrobiliśmy je cztery lata temu. Nasze ostatnie zdjęcie.

– Naprawdę nie wiem, co powiedzieć... panie Zbigniewie, jest mi cholernie przykro i... głupio – wybąkała Martyna, nie spuszczać fotografii z oczu.

– Mnie również, ale zostawmy to już, dobrze? – zaproponował. – Teraz wiecie, dlaczego zachowuję się czasem jak kompletny młot. I... Maks, co do tych morderstw, to przysięgam, że nikogo nie zabiłem, ale kiedy włamaliście się tutaj, to owszem, miałem na to dziką ochotę. Wiem, że to nie twoja wina i nie powinienem być porównywać cię do dzieciaka, który odebrał mi żonę, ale... tak jakoś wyszło. Między nami zgoda? – zapytał, poważnie patrząc na chłopca i wyciągając do niego rękę.

Maks przechylił się przez stół i mocno uściskał jego dłoń.

– Zgoda – powiedział. – Ale... pod jednym warunkiem – dodał szybko, a Martyna popatrzyła na swojego syna tak, jakby sama chciała go w tej chwili zabić.

Nie miała pojęcia, co to znowu za warunek wymyślił.

– Jakim? – zaciekawiał się Zarada.

– Jutro robimy pożegnalne ognisko, bo w niedzielę wyjeżdżamy – zaczął Maks. – Niech pan weźmie kiełbaski i przyjdzie do nas wieczorem, do ogniska, dobrze? – zapytał.

Martyna rozszerzyła oczy ze zdziwienia, ale i odetchnęła z ulgą. Już się bała, że Maks wymyśli coś głupiego. Jak on w ogóle wpadł na to, żeby zaprosić tego mężczyznę na ognisko?

– Hm. – Zarada zawahał się. – Hektor zeżre wszystkim te kiełbaski. Jest nienasycony.

– Podzielimy się – rzucił Maks i pogłaskał psa, a ten, jakby wiedział, że o nim mowa, zaczął merdać ogonem.

– Cóż... w takim razie widzimy się jutro. O której?

– Koło dziewiętnastej – dopowiedziała Martyna.

– No to jesteśmy umówieni.

Na twarzy Zbigniewa Zarady pojawił się cień uśmiechu.

Kiedy pół godziny później starszy człowiek wreszcie ich od siebie wypuścił, Martyna złapała Maks, za rękę i powoli wróciła z nim do ich domku. Weszli do salonu i usiedli koło siebie na sofie, przez chwilę nic nie mówiąc. Dopiero po kilku minutach odwróciła się w stronę syna i spojrzała na niego, widząc, że z oczu Maks, kapią łzy.

– Ej, no co ty? – zaczęła. – Nie smuć się...

– Mamo... – Maksowi wargi drżały coraz bardziej. – Czy... ty po śmierci taty też tak wariowałaś? – zapytał cicho.

Zatkało ją, a potem mocno go do siebie przytuliła.

Przypomniała sobie pierwsze tygodnie bez męża i mimowolnie zaczęła płakać.

Rozdział XIV



13 lipca

Sobota

– No i wyobraź sobie, że ten pociąg po niej przejechał – powiedział Maks, kończąc streszczenie koledze wczorajszego wieczoru u Zbigniewa Zarady.

Siedzieli właśnie nad brzegiem jeziora i maczali w wodzie dwie patyko-wędki, starając się w ten ostatni dzień złapać wreszcie jakąś rybę. Jak na razie nie mieli szczęścia, ale nowości, z którymi przyszedł dziś Maks, nie dały im się nudzić.

– I co on ją zbierał z ziemi taką rozwleczoną przez pociąg? – spytał Dawid, wkładając stopy do chłodnej wody niesulickiego jeziora.

– No przecież nie pytałem o takie szczegóły, masakra, mówię ci.

– Okropne. Jakby moja mama kogoś uratowała i zginęła, to też bym miał ochotę zabić – przyznał czternastolatek.

– Weź to wypluj. – Maks jeszcze mocno przeżywał wczorajszy wieczór i wołał sobie takich scen nawet nie wyobrażać. – A ten chłopak w ogóle nie zwrócił uwagi na trupa jego żony, tylko darł się, że sobie poobcierał kolana – dodał.

– Co za jatka... – mruknął Dawid. – Nie wyobrażam sobie.

– No... Ty czuj, jak mi było głupio, że my go o morderstwo oskarżyliśmy.

– Siara gruba – potwierdził, kolejny raz zarzucając niby-wędkę. – I jeszcze ten album, co mu go rozgrzebałem i rzuciłem, ech... jazda.

– Mało się pod ziemię nie zapadłem.

– A byłem taki pewny, że facet jest zły. – Dawid kręcił głową.

– Bo jest, ty byś nie był?

– No.

Siedzieli chwilę w ciszy i patrzyli na jezioro, a potem zaczęli rozmawiać o tym wszystkim po raz drugi. Maks nie mógł się nagadać, a Dawid wciąż podpytywał go o nowe szczegóły, więc rozmawiali, zamiast skupić się na łowieniu. Nowy kolega Maksa przyznał, że dobrze zrobił, zapraszając mężczyznę wieczorem na ognisko, może gościowi będzie miło, no i nie będzie myślał, że każdy nastolatek jest zły. Obaj czuli się głupio, ale z drugiej strony odetchnęli, wiedząc już, że Zarada nie jest jednak tak podłym facetem, jak podejrzewali.

– Chodź, idziemy popływać – rzucił wreszcie Dawid, który był coraz bardziej zniechęcony do łowienia.

– Tu chyba żadnych ryb nie ma.

– Na pomost? – podchwycił pomysł Maks.

Też wolał się teraz schłodzić, zamiast patrzeć w wodę i stresować tym, co ciągle siedziało mu w głowie.

– Może być.

Schowali patyko-wędki w trzcinach i boso ruszyli na plażę.

Około jedenastej Martyna stała w koszarnej kolejce przy ladzie z mięsem w najbliższym markecie, który znalazła w okolicy. Liczyła na to, że nikt nie wykupi jej wszystkich kiełbas. Przed nią stało jeszcze osiem osób, z których każda brała takie ilości mięsa, jakby zbliżał się co najmniej epokowy kataklizm.

– Ty to widzisz? – szepnęła jej do ucha stojąca obok Monika, która zabrała się razem z nią na zakupy.
– Ci ludzie chyba zwariowali.

– Mhm – odmruknęła, starając się zrobić to na tyle cicho, żeby kolejka nie zwróciła uwagi. – Może to wiejskie baby, które karmią pięciu chłopca na raz? – zażartowała. – Wiesz, że tacy nie zjadają jednego kotleta, tylko pięć.

Monika pokręciła głową.

– Chyba dziesięć... obyśmy tutaj nie utknęły do wieczora.

– Może w międzyczasie wrzucić do koszyka resztę rzeczy, a ja tu postoję? – zaproponowała Martyna. – Szybciej się uwiniemy.

Monika skinęła głową i z przyjemnością popchała przed sobą wózek, po czym zniknęła między najbliższymi regałami. Nie było jej dobre dwadzieścia minut, w czasie których stojąca przy mięsie Martyna wciąż nie mogła się nadziwić, po co chudej kobiecie przed nią pięć kilogramów wieprzowiny, trzy kilogramy słoniny i cały zapas kości ledwie zasłoniętych mięsem? Przyszło jej do głowy, że może to dla wiejskich psów, bo przecież jak inaczej można było wykorzystać tyle kości?

Kiedy wreszcie doczekała się na swoją kolejkę, kielbasy na ognisko były jeszcze dostępne, więc idąc za ciosem, wzięła pięć opakowań po na oko dwadzieścia sztuk każde, uznając, że obdzieli dzisiaj nimi pół ośrodka. Wzięła paczki do rąk i rozejrzała się za Moniką, która chyba czuwała nad kolejkowymi postępami, bo dosłownie po sekundzie wynurzyła się zza zamrażarek z wózkiem na zakupy. Martyna podeszła i wrzuciła do środka paczki z kielbasą.

– Uf – jęknęła z ulgą. – Ketchup, musztarda, widzę, że wszystko już masz – dodała, przeglądając to, co jej sąsiadka zdążyła zgarnąć z półek.

– Tak jest, możemy uderzać do kasy – oznajmiła.

Na szczęście nie zajęło to wiele czasu i udało im się nawet wbić na taśmę przed panią z ogromnym wózkiem wyładowanym po brzegi pierdołami rzuconymi na mięso. Wyłożyły towar do skasowania na taśmę, zapłaciły i za chwilę pakowały wszystko do samochodu Martyny.

– Mam nadzieję, że wpadniecie kiedyś do Katowic? – zapytała Wójtowicz, ładując do bagażnika napoje i kielbasy. – Chłopcy na pewno dobrze by się ze sobą bawili.

– Kto wie. – Usłyszała w odpowiedzi. – Adam też ostatnio nie narzeka na to, że młodego ciągle nie ma i znalazł sobie towarzystwo. Twój syn jest mniej roztrzepany niż nasz, więc dobrze na niego wpływa.

– W razie czego zapraszam, ale tak poważnie, Monika. Nawet wygospodaruję dla was dodatkowy pokój dla dwojga. – Mrugnęła.

– Będę wdzięczna – przyznała wprost. – Wyobrażasz sobie, że dzięki zabranii mu wtedy telefonu kochaliśmy się tutaj więcej razy niż przez cały ten rok? Cały rok! Prawie jak w czasach przed ślubem, czyste szaleństwo.

– Urlop pełną gębą, co?

– Ba! Adam przypomniał sobie, że ma napaloną żonę – zażartowała. – I że w spodniach też ma coś, co można wykorzystać inaczej niż tylko do sikania. Cud nad Wisłą.

Zacęły się śmiać, skończyły przerzucanie zakupów do bagażnika i w dobrych humorach wsiadły do samochodu. Martyna uruchomiła silnik i jeszcze raz sprawdziła na mapach Google, jak stąd wrócić do Niesulic. Wreszcie wrzuciła wsteczny i wyjechała z miejsca parkingowego. Podjechała do głównej drogi, skręciła w lewo i jechała tak, jak pokazywał smartfon.

– A jak tam twój instruktor? – zagadła Monika, kiedy wjechały już na długą drogę między polami.

– Przyjemnie, nie powiem. – Uśmiechnęła się. – Aż szkoda, że jutro wyjeżdżamy, bo zaczynam się przy nim rozkręcać.

– Ale planujecie się jeszcze spotykać czy koniec przygody?

– Raczej koniec. – Martyna wzruszyła ramionami, jakby ją to niespecjalnie ruszało. – On tu, ja tam. Nie widzę sensu, żeby obiecywać sobie cuda, że och, ach, odwiedzimy się i będziemy się kochać od czasu do czasu. Ale było miło...

– Samo życie.

– Wiesz, ja w ogóle nie zakładałam, że trafię tu na ciekawego mężczyznę i przeżyję piękny romans, więc po prostu jestem za to wdzięczna i tyle.

– Ciekawe masz podejście – zauważyła siedząca obok kobieta. – Ja pewnie kombinowałabym jednak,

jak tu pobyć ze sobą dłużej.

– Mogłabym... – Martyna się zawahała – ale widzę, że Maks trochę za bardzo go polubił. Lepiej uciąć to teraz, tak, jak było w planie. Za stare konie jesteśmy, żeby sobie obiecywać cuda i żyć iluzjami.

– Trochę brutalne, co?

– Trochę...

– Przyjedź tutaj znowu, za rok – zasugerowała Monika.

– A słyszałaś o tym, żeby nie wchodzić dwa razy do tej samej rzeki?

– Słyszałam, ale za cholerę w to nie wierzę – odparła jej całkiem poważnie. – Jak zaszłam z Adamem w ciążę, to wyobraź sobie, że on zwyczajnie zwiął. Pół roku go nie widziałam. Zero, null, kaplica, zapadł się facet pod ziemię. Potem wrócił, przeproszał, obiecywał, więc weszłam ponownie do tej rzeki i zobacz: Dawid ma dzisiaj czternaście lat i cały czas jesteśmy razem. Nie żałuję.

– Poważnie? W ciąży cię zostawił?

– Tak, i to bez nawet jednego esemesa przez tyle miesięcy.

– Ale gnój.

– Wtedy tak, ale odpracował to, naprawdę. Dlatego mówię, że czasem dobrze jest wejść do tej samej rzeki.

Martyna zastanawiała się nad tym przez chwilę; choć po głowie krążyła jej myśl, że to nie była już przecież ta sama rzeka, darowała sobie komentarz.

Tak czy inaczej, jutro wyjeżdża stąd razem z Maksem, więc pewnie dzisiaj spędzi ostatnie chwile u boku Piotra, a potem do widzenia, było miło. Garść przyjemnych wspomnień wrzuconych do plecaka z życiem.

Musiała to sobie powtarzać i przekonywać samą siebie, że nie chce od niego niczego więcej. Oczekiwać, zmian, wzruszeń, płaczu, tęsknoty i całej tej otoczki towarzyszącej spotykaniu się na odległość. W końcu znali się ledwie dwa tygodnie. Tyle co nic.

Do tego Martyna Wójtowicz nie miała pojęcia, czy sam Piotr w ogóle by tego chciał – przecież na początku dość jasno wyznaczyli sobie granice tej przygody.

– Maaaamo! – jęknął przeciągle Maks i skrzywił się, kiedy Martyna próbowała nabić mu kielbasę na wystrugany wcześniej patyk. – Sam to zrobię!

Piotr Kanda, który smażył już swoją porcję nad radośnie strzelającymi płomieniami ogniska, pochylił się i szepnął jej do ucha.

– Nie rób chłopakowi siary.

Martyna prychnęła, nie rozumiejąc tego męskiego ego, ale oddała Maksowi patyk i kielbasę.

Chłopiec pochylił się i przełożył mięso na patyku według własnej wizji. Uśmiechnął się przy tym do Piotra, jakby ten doskonale wiedział to, z czego mama najwyraźniej nie zdawała sobie sprawy. To był obciach, żeby dorosłemu chłopakowi pomagać z durną kielbasą. Na szczęście mama mu ją oddała, więc poradził sobie w pięć sekund. Za chwilę usiadł obok Kandy i Dawida, po czym wysunął patyk do przodu.

– Zawsze trzymam wysoko nad płomieniem – zagadnął go Piotr. – Wtedy lepiej się smaży i nie jest spalona.

– Ja tam wolę przyjaraną – wtrącił Dawid. – Lepiej czuć smak.

Maks wreszcie uniósł kielbasę wysoko, idąc za przykładem Kandy. Ten uśmiechnął się, ale udał, że niczego nie zauważył.

W miejscu, w którym siedzieli, było już całkiem sporo osób, które jednak wcale nie wpadły specjalnie na pożegnalne ognisko Martyny i Maksa. W Kormoranie miejsca, w których można było urządzać ogniska, były wydzielone i znajdowały się blisko plaży, więc w zasadzie codziennie ktoś tutaj biesiadował, dobrze się bawiąc przy ogniu, widoku na jezioro i w atmosferze leśnej ciszy.

Martyna z Moniką i Adamem robili właśnie w tle kanapki, kilku nastolatków siedziało kawałek dalej i piło piwo, ciesząc się ciepłym wieczorem, a sympatyczna starsza para wpatrywała się w ciemną taflę wody, która w zestawieniu z trzaskającym ogniem wyglądała naprawdę niesamowicie. To był jeden z tych przyjemnych letnich wieczorów, w których dobrej zabawy nie zakłócał ani wiatr, ani dzikie ekipy wypoczywających wokół krzykaczy. Można by powiedzieć – idealna sobota spędzana w pięknych okolicznościach przyrody.

Adam Kiełbasa stanął za plecami Piotra i lekko trącił go butelką w ramię.

– Piwko? – spytał.

– Nie dzięki, prowadzę – odparł Kanda.

– Jakże prowadzę? – zdziwił się Adam. – Nie mów, że nie zostaniesz na noc u Martynty?

Piotr poczuł się dziwnie.

Dotąd nie zdawał sobie sprawy z tego, że państwo Kiełbasowie doskonale wiedzą o ich romansie.

– Yyy, nie rozmawialiśmy o tym – bąknął nierówno.

– Spoko, może pan zostać! – odezwał się nagle Maks.

Adam i Piotr spojrzeli na niego jednocześnie.

– No, młody, słuch masz dobry. – Adam się zaśmiał i zwrócił się do Piotra. – Widzisz, jakie masz poparcie?

– Mhm...

Martyna podniosła głowę, słysząc, co powiedział jej syn, a potem podeszła do nich, niosąc w ręku talerz kanapek.

– A co tu się dzieje? – spytała.

– Front ogniskowy uznał, że Piotr może wypić piwo, bo zostaje dzisiaj u ciebie na noc – wyjaśnił Adam.

– Większość zadecydowała.

– Czyżby? – rzuciła przekornie. – Czyli nie mam nic do powiedzenia?

– Mamo, większość to większość. – Maks machnął ręką, potwierdzając, że decyzja zapadła. – Sama mi mówiłaś, że demokracja nie jest idealna, ale nic lepszego jeszcze nie wymyślili.

Siedzące przy stole towarzystwo wybuchnęło śmiechem, a Martyntę na sekundę zatkało.

– No i weź mu teraz odmów... – westchnęła. – Mały cwaniaczek.

Adam podał Piotrowi butelkę piwa, a drugą wyciągnął w stronę Martynty.

– Ty też mogłabyś czasem coś wypić jak człowiek.

Martyna wzięła od niego piwo i sięgnęła po otwieracz. Pstryknęła kapsel i przesunęła rękę z butelką w stronę Piotra.

– Sam widzisz, że nie masz wyjścia – powiedziała, stukając się z nim szkłem.

Przez twarz Kandy przebiegł charakterystyczny uśmiezek.

– Cóż, w tym przypadku bardzo mi się to podoba – odparł i po chwili delektował się już zimnym alkoholem.

Spojrzeli na siebie wymownie.

Martyna uniosła kąciki ust, ale wciąż miała niepokojące wewnętrzne przecucie, że nie powinna spędzać z nim nocy wtedy, gdy obok jest Maks. Podświadomie bała się, że syn za bardzo go polubi i potem to on z powodu jego braku będzie bardziej cierpiał niż ona. Może cierpiał to za duże słowo, ale nie chciała Maksa do niego przyzwyczajać. Istniało też wysokie prawdopodobieństwo, że tak naprawdę samej siebie nie chciała przyzwyczajać do Kandy, ale w końcu to był ich ostatni wieczór, a ona była dorosła. W życiu trzeba przecież brać to, co ono daje – tu i teraz – a potem dziękować i iść dalej.

Jej myśli przerwał dotyk dłoni Piotra, która nagle znalazła się na jej udzie. Głaskał ją spokojnym, niespiesznym ruchem i pewnie nie zdawał sobie sprawy z tego, że po jej nodze właśnie przepływa przyjemne ciepło.

Nie, żeby zaraz jakaś książkowa fala rozkoszy czy co tam jeszcze, ale po prostu ciepło. Coś, czego brakowało jej przez tyle lat. Intymna bliskość z drugim człowiekiem. Spojrzeli na siebie i wtedy Martyna zauważyła w jego oczach błyszczące ogniki. Może odbiły się od płomieni ogniska, a może po prostu chciała zobaczyć w jego oczach coś więcej.

– Czuję, że tu się grubo dzieje, co? – rzucił nagle przypatrujący się im Adam Kiełbasa.

– Ale że co? – Piotr udawał zaskoczonego.

– No widzę gołąbeczki, jak na siebie patrzycie. – Zaśmiał się. – Miałem coś podobnego z Moniką, ale to było... z czternaście lat temu – parsknął. – Stare dzieje.

– Ej! – zachnęła się jego siedząca obok żona. – Chcesz w łeb?

– Dawaj, kochanie, bij! – zażartował.

Monika Kiełbasa podniosła rękę i zamachnęła się w kierunku jego ramienia, ale on w porę ją chwycił i pocałował po wierzchu dłoni.

– Też cię kocham, skarbie – powiedział, a później objął ją ramieniem i mocniej przytulił. – Macie pojęcie, że my tutaj przechodzimy cielesny renesans naszego związku? – dodał, uważając na to, żeby przy siedzących niedaleko chłopcach nie używać słowa „seks”.

– To dlatego, żeś, ofiaro, zgubił telefon – przypomniała mu Monika. – Inaczej, ja siedziałabym tutaj przy garach, jak w średniowieczu, zapominając o tym, że mąż powinien do domu przynosić nie tylko pieniądze.

– Uuu – jęknął. – Widzicie, co ja z nią mam? Tak że ty się, Piotr, dobrze zastanów!

– Daj facetowi żyć – skarciła go szybko Monika. – Nie musi wiedzieć o wszystkich niuansach trudnego pożycia małżeńskiego.

– A słusznie, słusznie. Nie będę cię, chłopie, zniechęcał, ale zobacz sam – ciągnął. – Piękna i chętna żona, i to po czternastu latach razem, syn na medal, piwko w dłoni, kiełbasa zaraz będzie gotowa, no czego chcesz więcej?

– Fajna z was rodzinka – przyznał Piotr, który poczuł się jednak trochę zakłopotany.

– Zdradzić ci sekret na dobry związek? – spytał Adam i przechylił piwo.

– Adam! Weź już wrzuc na luz – odezwała się znowu jego żona.

Mężczyzna przewrócił oczami.

– Zdradzę ci – kontynuował niezrażony. – Trzeba złapać fajną laskę, zanim ci ją podpierdola – dodał i wszyscy wokół wybuchnęli śmiechem.

– Teraz tylko mi, tato, przypomnij o tym, żebym nie przeklinał – rzucił złośliwie Dawid, który siedział na sąsiedniej ławeczce i od dłuższej chwili przysłuchiwał się wynurzeniom swojego ojca.

– Ty nic nie słyszałeś. – Adam wyciągnął ku niemu palec. – Z ojcem trzeba trzymać sztamę, pamiętaj!

– Maks, chodź, spadamy stąd – odezwał się Dawid. – Tu się zaraz zaczniesz pijacki bełkot mojego taty i lepiej tego nie słuchać.

– Ja ci dam pijacki bełkot, szczeniaku!

Dawid wymownie rozłożył ręce, a Maks zauważył, że smażona przez niego kiełbasa wygląda już dobrze, więc szybko przyciągnął do siebie patyk. Złapał ze stołu dwie kromki chleba, zamocował między nimi zdjętą z patyka kiełbasę i spojrzął na kolegę.

– Jeszcze keczup i możemy spadać – rzucił.

– Tylko nie idźcie za daleko – dodała Martyna.

– Dobła, dobła – wybełkotał Maks, starając się nie oparzyć jedzeniem.

Chłopcy szli brzegiem jeziora i chociaż to był ich ostatni wspólny wieczór, czuli się znudzeni. Nie mieli ochoty pływać, smak ogniskowej kiełbasy już uleciał, a w ich głowach wciąż nie rodził się żaden pomysł na rozrywkę. Dawid próbował puszczać kaczki na wodzie, ale i to szybko mu się znudziło.

– Co robimy? – spytał, patrząc na Maksa.

Chłopiec zastanawiał się chwilę i nagle w jego oczach pojawił się nieznaczny błysk.

– Mam pomysł...

– No?

– Dawaj, pójdziemy po tego sąsiada z psem – zaproponował.

– Zaradę? – Dawid się zatrzymał. – Serio?

– Czemu nie? Zrobi mu się miło. – Maks wpatrywał się w kolegę, czekając na jego zgodę. – No chodź, zobaczysz, ten jego czarny potwór jest całkiem fajny.

– No nie wiem...

Dawid bez przekonania drapał się po głowie, ale że właśnie włączyły mu się wyrzuty po tym, co wcześniej zrobili, zgodził się.

Niecałe pięć minut później stali pod domkiem Zbigniewa Zarady. W oknach lekko tliło się dochodzące ze środka światło. Maks podszedł do drzwi i zapukał trzy razy, niemal w tej samej sekundzie słysząc warczenie psa. Dawid automatycznie się cofnął i stanął krok za nim. Musieli poczekać, zanim wreszcie otworzyły się drzwi.

– Dzień dobry – powiedział Maks, gdy tylko głowa starszego człowieka wysunęła się ze środka.

– A... dzień dobry – odparł mężczyzna.

Jego głos był spokojny jak nigdy.

W tym momencie spomiędzy nóg wyskoczył mu Hektor, który z radosną miną rzucił się na Maksa i witając się z nim, o mało go nie przewrócił.

– Hektor!

Chłopiec ucieszył się na jego widok i od razu zaczął głaskać rottweilera po głowie.

– Dzień dobry panu – odezwał się Dawid, który trzymał się trochę z boku.

Mężczyzna skinął do niego głową i czekał, aż pies przestanie wariować na punkcie głaszczącego go dzieciaka.

– Przyszliśmy po pana na ognisko – wyjaśnił Maks, przykucając przy Hektorze. – Kiełbaski są pycha, zapraszamy – dodał i nie przestając drapać zwierzęcia za uchem, rzucił: – Dla pieska też się coś znajdzie.

Zarada zmarszczył czoło. Mężczyzna nie spodziewał się tego, że po niego przyjdą, i wcale nie miał zamiaru się tam pojawiać. Myślał, jak mógłby się od tego wykręcić, ale widok rozbawionego Hektora sprawił, że nagle się rozmyślił. Oznajmił chłopcom, że weźmie tylko smycz dla psa i zaraz do nich dołączy. Cofnął się do domku i za moment stał już przy Hektorze, zapinając mu smycz do obroży.

– Mogę go poprowadzić? – zapytał Maks, a jego autentyczne zaangażowanie zdziwiło nawet Dawida.

Zbigniew Zarada zastanawiał się nad odpowiedzią. Wiedział, że Hektor na smyczy potrafi porządnie pociągnąć dorosłego człowieka, a co dopiero dziecko. Dwunastolatek nie spuszczał z niego wzroku, a i rottweiler wydawał się nadzwyczaj opanowany.

– No dobrze... – westchnął – ale trzymaj go mocno, to duży pies.

– Super! – Maks wziął od niego smycz i owinął ją sobie wokół ręki, patrząc jednocześnie z pewną wyższością na stojącego obok Dawida.

Z miejsca poczuł się jak główny prowadzący tę „wycieczkę” i szybko ruszył do przodu, kierując się w stronę ogniska.

Zarada i Dawid deptali mu po piętach, ale trzymali się trochę z tyłu. Kolega Maksa zerkał kątem oka na idącego przy nim mężczyznę, ciągle czując się przy nim niepewnie.

– No co jest? – zapytał wreszcie Zarada, który najwyraźniej to wyczuł. – Mam coś na twarzy?

– N-nie... – bąknął Dawid. – Ja właściwie... yyy... ja... też chciałem pana przeprosić – wydukał. – Nie miałem okazji.

Zarada machnął ręką, nie chcąc już do tego wracać.

– Było, minęło, nie ma sprawy.

Dawid odetchnął z ulgą, bo w przeproszaniu nigdy nie był za dobry, i przyspieszył trochę kroku, prawie zrównując się z Maksem. Hektor radośnie machał ogonem i wydawało się, że w tej chwili nie ma wobec nich żadnych morderczych planów. Zbliżyli się do ogniska, a Maks wyprostował się dumnie, jakby fakt, że prowadzi na smyczy takiego psa, dodawał mu pewności siebie.

– Mamo! – krzyknął tak, żeby wszyscy go zauważyli. – Szykuj kiełbaski dla gości!

Martyna odwróciła się i najpierw zbladła, widząc, że jej syn trzyma tak blisko siebie wielkiego, czarnego rottweilera, ale chwilę później dostrzegła za jego plecami Zbigniewa Zaradę i trochę ją to uspokoiło. Wstała z ławeczki, na której siedziała przy Piotrze, i energicznie do nich podeszła.

– Witamy, witamy – powiedziała. – Miło, że pan przyszedł.

Wskazała mu dłonią miejsce naprzeciwko siebie.

– Dobry wieczór – odpowiedział jej i wyciągnął rękę, żeby się przywitać. – Szczerze mówiąc, nie zamierzałem przychodzić i psuć wam sobą imprezy, ale ci dwaj po mnie przyszli i skusili Hektora – ciągnął, jakby próbował wytłumaczyć swoją obecność.

– Taak? – zdziwiła się Martyna. – No proszę... nie podejrzewałabym syna o taką odwagę – zażartowała.

– Mhm. Nawet psa mi podwędził – odparł Zarada, lekko się uśmiechając.

Usiedli na ławkach przy ognisku i Martyna od razu podała mężczyźnie kiełbasę oraz patyk do jej nabicia. Mąż Moniki chrząknął.

– Adam Kiełbasa – przedstawił się, wyciągając do Zarady rękę na powitanie, i w tym samym momencie przedstawiła mu się również jego żona.

– Miło mi – odparł właściciel rottweilera. – Naprawdę Kiełbasa?

– Niestety. – Adam się zaśmiał. – Rodzinne przekleństwo nazwiskowe, szczególnie ciężkostrawne w czasie ognisk pod gołym niebem – zażartował.

Uścisnęli sobie dłonie, a kiedy nowy gość przywitał się już ze wszystkimi, podsunął nabitą na patyk

połowę pęta bliżej płomienia. Czujnie rozejrzał się wokół, sprawdzając, gdzie jest jego pies, i zauważył, że Maks właśnie przekupuje go kawałkiem mięsa podawanym prosto z ręki. Pokręcił głową z niedowierzaniem, dochodząc do wniosku, że dzieciak zepsuje mu psa, ale i tak uśmiechnął się na ten widok. Hektor wydawał się bardzo zadowolony, że teraz ktoś inny niż on poświęca mu uwagę.

– Mój pies mnie zdradza – powiedział, ruchem głowy wskazując na Maksa.

– Straszne, prawda? – zagadnęła Martyna.

– Okrutne – mruknął. – Poza tym nie zakładałem, że będę z wami siedział przy ognisku, a pies znajdzie sobie kogoś do zabawy.

– Jest nam naprawdę bardzo miło – odezwał się siedzący przy Martynie Piotr. – Słyszałem, że przyjeżdżał tu pan z żoną przez wiele lat?

– Tak. – Zarada potwierdził skinieniem. – To była nasza ulubiona miejscówka na lato. W zasadzie znam tu od podszewki całą okolicę, mimo że mieszkam daleko stąd.

– Jakies ciekawe historie do poopowiadania? – zaciekawiał się Kanda.

– Oczywiście. Tu każde miejsce pachnie ciekawą historią.

– Niech nam pan opowie coś ekstra, tylko dla dorosłych – pociągnął temat Piotr i mruknął do niego okiem.

Zarada chyba pierwszy raz uśmiechnął się szerzej, odsłaniając zęby.

– Dla dorosłych? – mruknął. – No proszę... co za towarzystwo tu się zebrało – zażartował, a Adam podał mu piwo na zachętę.

Właściciel rottweilera sięgnął po podany mu również otwieracz i wprawnie pozbył się kapsla.

– Niech będzie. Widzicie te drzewa? – Wskazał ręką na małe wzniesienie za ich plecami. – Tam, poniżej parkingu, takie zalesione miejsce? – zapytał.

– Mhm, widzę – potwierdziła Monika, nie zauważywszy, że Piotr i Martyna od razu dziwnie na siebie spojrzeli.

– Od kilku lat to ulubione miejsce schadzek na nocne zabawy młodzików – dodał Zarada i teraz wszyscy jeszcze uważniej zaczęli przyglądać się drzewom.

Piotr mało się nie zakrztusił.

– Poważnie? – zaciekawiał się Adam.

– Tak. Kilka lat temu wiedziony ciekawością mojej żony też tam... z nią... tego... – Zawiesił głos. – No wiecie... – zaśmiał się i machnął ręką. – Przypuszczam, że te drzewa były świadkami większej liczby namiętnych zbliżeń niż wszystkie domki razem wzięte – ciągnął, obracając na patyku swoją kiełbasę.

Adam lekko trącił żonę w ramię.

– Kochanie... Musimy spróbować – rzucił, czując nagle rosnącą chęć do osobistego odkrycia tego zakątką.

– A idź! – prychnęła Monika. – Miliony zarazków, kleszcze, fu.

– Oj tam, od takich zarazków się nie umiera. – Mruknął do niej mąż. – Jutro cię tam zabiorę. Obowiązkowo!

– Żeby nie czasem.

Adam parsknął i powiedział coś w stylu, że Monika zawsze się broni, a jak już odpali, to kobieta wulkan, klękajcie narody. Towarzystwo siedzące wokół ogniska zaczęło się śmiać, a Monika nagle dostała wypieków na twarzy.

Kiedy chwilę przed północą Martyna, Maks i Piotr wracali już do domku letniskowego, odprowadzając po drodze Zbigniewa Zaradę, chłopcu dosłownie zamykały się oczy. Cały wieczór szalał z Hektorem i widać było, że energiczny pies dał mu nieźle popalić. Mimo tego Maks nie poddał się aż do końca. Trzymał rottweilera na smyczy do samych drzwi domku Zarady i wydawało się, że niechętnie oddaje go właścicielowi.

– O której jutro wyjeżdżacie? – zapytał mężczyzna, zanim wsunął klucz do zamka.

– Koło jedenastej rano – odpowiedziała Martyna – więc jeśli nie byłoby już okazji się pożegnać, to jeszcze raz dziękujemy za dzisiaj i przepraszamy za to całe piekielko... na początku – dodała.

– I ja również przepraszam. – Zbigniew Zarada wyciągnął do niej rękę i uściśnął ją ciepło.

Później pożegnał się z Piotrem i Maksem.

– Ma pan superpsa! – rzucił mały i jeszcze raz podrapał Hektora za uchem.
Pies polizał go po ręce i po chwili wymiany uprzejmości Zarada zniknął z nim w środku drewnianego domku.

Całą trójką ruszyli do siebie.

– Mamo, też bym chciał psa – stwierdził Maks, gdy Martyna wkładała już klucz do drzwi.

– No chyba zwariowałaś. – Stanowczo pokręciła głową. – Mowy nie ma.

– Dlaczego? – zapytał z żalem. – Umiem się zająć psem.

– A zbierałaś kiedyś kupę takiego rottweilera? – zagadnął go Piotr. – Trzeba z wiadrem za nim chodzić.

Maks parsknął głośno, a potem wszedł do domku i oznajmił mamie, że jeszcze wrócą do tego tematu. Martyna pokiwała głową, jakby chciała powiedzieć: *Mhm, tak, tak, na pewno*, a potem poleciła, żeby uciekał już spać, bo rano musi jej pomóc w pakowaniu. Chłopiec uśmiechnął się i spojrzął na stojącego w salonie Piotra.

– Zamknę swoje drzwi na klucz – oświadczył, przyjmując konspiracyjny ton. – Śpijcie dobrze – dodał krótko.

Piotr uniósł kąciki ust, myśląc, że ten mały cwaniaczek jest znacznie bardziej roztropniejszy, niż im się wydawało, więc skinął do niego głową, jakby w podziękowaniu. Dwunastolatek odwrócił się i wszedł do swojego pokoju, po czym przekreślił klucz od środka.

– Zamknięte! – wydarł się z całej siły.

Martyna nie wytrzymała i parsknęła śmiechem.

– Niezły agent – zauważył Piotr.

– Tak, udał się, nie powiem. To jak? – zapytała. – Ja pierwsza do łazienki czy ty?

Piotr przysunął się, objął ją mocno w pasie i bez słowa patrzył w jej oczy. Później podniósł dłoń, dotknął jej policzka i obrysował palcem wskazującym jej piękne, pełne usta. W domku było prawie ciemno, ale nie potrzebował światła, żeby wiedzieć, jak bardzo chce ją wreszcie pocałować. Pochylił głowę i przywarł do niej ustami, czując, jak rozchodzi się między nimi elektryzujące ciepło.

– Myślałem o tym cały wieczór – dodał, oderwawszy się od niej tylko na chwilę.

Martyna musnęła jego plecy, wtuliła się mocno i przez dłuższy moment stali tak przy sobie, nie przestając się całować.

– Smakujesz... bosko.

– Ty przodem, ja za tobą – zamruczał.

Rozchyliła przymknięte wcześniej powieki i spojrzała na niego, nie rozumiejąc.

– Co?

– Ty przodem do łazienki, a ja za tobą – wyjaśnił. – Umyję cię dzisiaj...

– Myślisz, że jestem aż taka brudna? – zachnęła się.

– Nie wiem, ale zamierzam to sprawdzić – odparł i zrobił krok w przód, tak, że ona musiała się cofnąć.

Nie oderwał się od jej spragnionych ust i minimalnie przesunął się, kierując ich kroki w stronę łazienki. Kiedy byli już przed drzwiami, Piotr uchylił je i wsunął rękę do środka, by włączyć światło.

– Ej...? Co robisz?

– Będę bardzo gruntownie sprawdzał twoją czystość – wyjaśnił niskim, niemal chrapliwym głosem. –

Muszę wszystko dobrze widzieć.

Martyna uśmiechnęła się i podejmując wyzwanie, zaczęła zdejmować z siebie koszulkę.

– Ubranie za ubranie – powiedziała.

Rozdział XV



14 lipca

Niedziela

Biegła przez pustynię, uciekając przed gigantycznym skorpionem, a jego charakterystyczny kolec na odwłoku już prawie muskał jej plecy. Z całych sił starała się przyspieszyć, ale nie mogła. Czuła, jak serce podchodzi jej do gardła, ale kroki były tak wolne, jakby coś przyciągało ją do ziemi i nie pozwalało biec szybciej. Była pewna, że ten potwór – jak z najgorszego koszmaru – zaraz ją dorwie. Jakby tego było mało, nigdzie nie widziała Maksa, nie miała pojęcia, gdzie on jest, i czuła, że zaczyna wpadać w cholerną panikę. Nagle skorpion owinał ją w pasie swoim ogonem i zatrzymał w miejscu, ściskając jej piersi tak, że zabrakło jej tchu. Szarpnęła się i otworzyła oczy, widząc przed sobą drewniane drzwi. Przez moment nie wiedziała, gdzie się znajduje, ale kiedy serce przestało jej walić jak szalone, zobaczyła szafę i stojący przy łóżku stolik.

– Uf. Jezu... – Odetchnęła z ulgą. – Ale sen.

Poczuła na udzie czyjąś rękę i delikatnie odwróciła się, rejestrując śpiącego smacznie Piotra. Mężczyzna miał zamknięte oczy, a włosy sterczały mu na głowie tak, jakby nie wiadomo, co wyprawiał nocą. *A... czekaj, wróć! Przecież wyprawiał.* Uśmiechnęła się lekko i patrzyła na jego spokojną twarz, która zupełnie nie przypominała sennego potwora. Oddychał nosem, usta miał zamknięte, a jego klatka piersiowa unosiła się miarowo. Wyglądał prawie jak model. Zero dyszenia, zero śliny wyciekającej z kącika ust na poduszkę. Martyna przysunęła się trochę bliżej jego twarzy i wciągnęła zapach w płuca. *Skubaniec nie miał nawet porannego kaptcia!*

Objęła go i wtuliła się w gorące ciało, a on podświadomie zarzucił na nią ramię. Było ciężkie i prawie ją zgniatało, ale zamknęła oczy i pomyślała, że tak, owszem, chciałaby być przez niego zgnieciona. Móc tak schować się w jego ramionach na dłużej, nie myśleć o powrocie do domu, czuć ciepło rozgrzanego ciała. Przypomniała sobie to, jak się w nocy kochali, i na samo wspomnienie przeszły ją przyjemne dreszcze. Ich pierwszy raz w łóżku, w pościeli. Taki spokojny i wyważony. Jakby był poznawaniem się od nowa. Niespiesznie, cicho, z odkrywaniem elektryzującej przyjemności dotyku drugiej skóry. Pamiętała, jak po wszystkim już zasypiała, a on przytulił ją do siebie na klasyczną łyżeczkę i jeszcze długo gładził jej włosy. Bawił się nimi, chyba też wachał. Dawno tak dobrze nie zasnęła. Zsunęła rękę w dół, położyła ją na jego nagich pośladkach i delikatnie je głaskała. Pomyślała, że ma naprawdę niezły tyłeczek.

Otrząsnęła się nagle, uznając, że błądy świt to chyba nie jest pora na takie myśli. W końcu za ścianą spał Maks, a jak go znała, to w ostatni dzień pobytu na pewno nie będzie spał długo. Z żalem wysunęła się z ramion Piotra, uważając, żeby go nie obudzić, a później wstała z łóżka. Przeciągnęła się szeroko. Zauważyła leżący na krześle strój kąpielowy i poczuła potrzebę zanurzenia się w jeziorze. Szybko wciągnęła na siebie kostium i bezszelestnie wyszła z pokoju.

W domku było jeszcze cicho, a z pokoju Maksa nie dochodziły żadne dźwięki, więc nie włożywszy butów, przeszła boso w stronę drzwi. Otworzyła je i pozwoliła, żeby oblało ją świeże, poranne powietrze. Stała na tarasie, lekko odchyliła głowę i miała wrażenie, że jej ciało oplata teraz morska bryza, chociaż do morza było stąd przynajmniej kilkaset kilometrów. Wreszcie odetchnęła, zamknęła za sobą domek i ruszyła nad wodę.

Szybko przeszła przez zupełnie pustą plażę, weszła na pomost i skierowała się w tę jego część, w której woda była głęboka. Miała niezmierną ochotę zanurkować i poczuć na sobie orzeźwiający ziąb. Stała

koło drabinek, odsunęła się kilka kroków i płynnym ruchem zanurkowała z pomostu prosto na główkę. Usłyszała plusk wody od uderzenia własnego ciała i dopiero po chwili otworzyła oczy. Kawałek od niej majaczyło dno, a jakaś spłoszona, całkiem spora ryba właśnie uciekała przed nią na lewo. Zimna woda pobudziła całe jej ciało tak, że dosłownie poczuła, że żyje.

Wynurzyła się na powierzchnię, złapała oddech, a później położyła się na plecach i szeroko rozłożyła ramiona, pozwalając wodzie bujać ją tak, jak chciała. Fala była minimalna, ale przyjemne kołysanie sprawiło, że na moment przymknęła oczy. I wtedy, tuż pod powiekami zobaczyła uśmiech Piotra, który wyciągnął do niej rękę i odgarnął jej z czoła zabłąkany kosmyk. Wpatrywał się w nią tak intensywnie, że miała wrażenie, jakby chciał przejrzeć ją na wylot. Opuściła nogi i zeszła pod wodę, zanurzając się w niej razem z głową. Kilukrotnie potrząsnęła włosami, zrzucając z siebie wspomnienie spojrzenia, oczu i całej postaci Piotra. Kiedy to zrobiła, nagle dostrzegła przed sobą zupełnie inną twarz. To był jej mąż. Spoglądał na nią tak, jakby chciał powiedzieć, że wszystko jest w porządku. Że nie ma się czego bać. Był przy tym taki wyrazisty, jakby naprawdę na nią patrzył. Tu i teraz. Machnęła rękami do góry i znowu znalazła się nad wodą, ale tym razem podpłynęła do drabinki przy pomoście i szybko się po niej wspięła. Stała bosymi stopami na drewnie i zapatrzyła się w dal.

Jezioro było kompletnie puste, jedynie z daleka widziała, jak przy jego brzegach bujają się pojedyncze żaglówki.

– To ty powinienes być tutaj ze mną... – powiedziała, próbując odtworzyć w wyobraźni uśmiech nieżyjącego męża.

Nie odpowiedziało jej nawet echo. Przypomniała sobie tamten dzień.

Siedziała w domu po pracy i smażyła kotlety schabowe, kiedy zadzwonił telefon z informacją o tym, że w kopalni był zawał, a jej mąż, wraz z trzema kolegami został odcięty. Potem słyszała już tylko syczenie smażącego się oleju i pojedyncze, urywane słowa. Sztymar kilka razy musiał powtórzyć, zanim zrozumiała, co do niej mówił. Dopiero po dłuższej chwili ubrała się i popędziła na kopalnię, zostawiwszy Maksa pod opieką sąsiadki, która zresztą wpadła do nich zaraz po tym, jak w wiadomościach usłyszała o zawale.

Dziesięć godzin.

Tyle czekała, aż z odciętego szybu wydobędą pierwszego żywego kolegę jej męża. Wyglądał jak trup, ale żył. Kolejne dwie godziny dokopywali się do następnego. Żywy. Miała w sobie wtedy tyle nadziei i wiary, że nie dopuszczała innej możliwości niż zobaczenie mężczyzny swojego życia całego i zdrowego. Po piętnastu godzinach wyjęli trzeciego. Z połamanymi nogami, ale żył. Nerwowo przełykała wtedy ślinę, wiedząc, że teraz szukają już tylko Jego.

Potem zaczęła obgryzać paznokcie, a później poczuła, że coś jest nie tak. Po skórze przebiegły jej nerwowe dreszcze tak zimne, jakby ktoś wsadził ją do wanny z lodem. I wtedy go wyciągnęli. Był martwy. *Tylko, kurwa, on. Tylko on. Dlaczego?*

Martyna podniosła głowę i odsunęła od siebie te myśli, wiedząc, że nigdy nie znajdzie odpowiedzi na to pytanie. Minęło tyle lat. Czy miłość do kogoś, kto zginął, kiedyś się kończy? Czy tylko z biegiem lat się zaciera, bo przecież jakoś trzeba żyć dalej?

Spojrzała w kierunku domku letniskowego. Ruszyła powoli, krok za krokiem. Jak wtedy, gdy wracała do domu, wiedząc już, że mąż nie żyje.

Zeszła z pomostu na plażę, a w głowie huczały jej słowa piosenki *Otwieram wino* Sidneya Polaka i ten fragment, który zawsze rzucał ją na łopatki. *Nic nie trwa wiecznie, niebezpiecznie jest wierzyć w to, że coś trwa wiecznie.*

*

– O! Cześć, mamó – powiedział Maks stojący przy blacie ze szklanką soku pomarańczowego. – Pływałaś?

Martyna otrząsnęła się, nie mając pojęcia, kiedy i jak weszła do środka.

– Tak... poszłam się schłodzić – odpowiedziała.

Zerknęła na swoje stopy, a potem spojrzała do tyłu. Na podłodze zostały za nią brudne, mokre ślady.

Podeszła do syna i cmoknęła go w czoło na dzień dobry.

– Jak ci się spało?

– Padłem od razu.

- Zaraz się przebiorę i zrobię śniadanko – rzuciła.
- Są jeszcze parówki? Zjadłbym.
- Chyba tak – odparła, znikając za drzwiami swojego pokoju.

Cicho zgarnęła z krzesła krótkie spodenki, stanik i koszulkę, po czym wyszła, nie obudziwszy wciąż śpiącego Piotra.

W łazience przebrała się, owinęła mokłą głowę ręcznikiem i poszła do kuchni.

- A jak wam się spało? – zapytał nagle Maks.

Zmierzyła go wzrokiem, nie wyczuwając jednak żadnego podstępu.

- Dziękuję, synku, świetnie – powiedziała zgodnie z prawdą, nie zamierzając wdawać się w szczegóły. Energicznie wyjęła z szafki wszystko, co jeszcze w niej zostało, i nastawiła w czajniku wodę na kawę.

Niemal w tej samej chwili postawiła na palniku garnek do ugotowania parówek.

Czuła na sobie spojrzenie syna.

- To fajnie – rzucił niedbale i ze szklanką soku pomarańczowego usiadł przy stole.

- Mhm – mruknęła.

- Będiesz tęskniła za panem Piotrem?

Martyna udała, że nie słyszy. Zalała garnek wodą, wrzuciła do niej resztę parówek i nie odpowiadając na pytanie Maks, zabrała się do przygotowania kanapek.

- Mamo?

- Nie wiem, Maks – odparła wreszcie. – Okaże się w Katowicach, ale to były superwakacje, prawda?

– No! Mam telefon do Dawida i polubiliśmy się na Fejsie – rzucił zadowolony. – Na pewno będziemy się zgadywać i może nawet się spotkamy, jak myślisz?

– Jasne, koniecznie – przytaknęła, oblizując palce po serku topionym, którym właśnie posmarowała pieczywo. – Zaprosiłam do nas państwa Kiełbasów, jak tylko będą mieli chęć, więc trzymam kciuki.

- Super! – Maks się ucieszył. – To pana Piotra też zaprosz.

Nagle usłyszeli za plecami zaspany męski głos.

- A gdzie mnie chcecie zaprosić?

Odwrócili się oboje. W korytarzu między pokojami w samych krótkich spodenkach stał Piotr i patrzył na nich, jeszcze jakby nie do końca kontaktując, co się dzieje. Ziewnął przeciągle i podrapał się po plecach.

- Rany, ale spałem. – Zasłonił ręką usta i powtórzył pytanie. – To gdzie mnie chcecie zaprosić?

- Do nas – powiedział Maks, zanim Martyna zdążyła powiedzieć choćby „dzień dobry”.

– Aaa... – jęknął. – Na śniadanie? – zapytał, udając, że nie rozumie, i podszedł do blatu, na którym stała butelka z sokiem.

Sięgnął po szklankę i nalał sobie do pełna, a później wypił ją duszkiem.

- Też lubię sok pomarańczowy z rana – zauważył Maks.

– A ja wolę kawę – wtrąciła Martyna i w tej chwili woda w czajniku pyknęła, dając znać, że właśnie się zagotowała. – Chcesz też? – dodała, patrząc na Piotra, a on kiwnął głową.

Wsypała kawę do kubków i szybko zalała ją wrzątkiem, a Kanda w tym czasie podszedł do blatu.

- Pomóc przy śniadaniu? – zapytał.

- Możesz pokroić pomidory i ogórka – powiedziała, wskazując nóż oraz deskę.

– Już się robi – rzucił i mijając ją, cmoknął z zaskoczenia jej ramię. – Umyłaś już głowę? – spytał, zerkając na jej włosy schowane pod turbanem z ręcznika.

- Mama z rana pływała – wyjaśnił Maks.

– Ooo? No proszę, jaki ranny ptaszek – zażartował i objął Martynę w pasie, ale w tym momencie napotkał jej mordercze spojrzenie.

Nawet nie musiała mówić, żeby domyślił się, że nie życzy sobie takiego zachowania przy dziecku.

Odsunął się od razu i przeprosił.

- Wybacz, zapędziłem się.

– Może pan przytulać mamę – stwierdził nagle Maks. – Ja nie jestem z tych dzieci, które chcą zabić faceta spotykającego się z ich mamą – dodał. – Widziałem ostatnio taki film. Debilizm. – Wzruszył ramionami.

Martyna z Piotrem spojrzeli na siebie, ale żadne tego nie skomentowało. Piotr sięgnął po nóż i pokroił pomidory z resztą ogórków, a Martyna postawiła na stole kawę, kanapki i czekała jeszcze, aż dogotują się parówki.

– Byłoby dobrze, gdybyśmy zjedli to wszystko, to się nie zmarnuje – powiedziała.

Maks złapał pierwszą kanapkę z brzegu i wgryzł się w nią z apetytem, dodając, że on sam zje wszystko, więc spokojna głowa. Piotr usiadł obok niego, upił łyk ławy i również sięgnął po kanapkę. Wyczuł, że atmosfera zrobiła się dziwna, ale miał nadzieję, że tylko on tak to odbiera.

– Fajne takie śniadanka – powiedział, przerywając ciszę. – Podobają mi się.

– Następnym razem chcę omleta – wtrącił Maks. – Takiego podrzucanego pod sufit.

– O, to akurat jak przyjedziemy do domu, to nam zrobisz. – Martyna się uśmiechnęła. – Podobno już potrafisz?

– No... tak – odparł, zerkając na Piotra – ale jakby nas pan odwiedził, to mógłbym się nauczyć jeszcze lepiej.

Piotr poklepał go po plecach.

– Zobaczymy.

Widział, że mały stara się, jak może, i przeszło mu przez myśl, że albo naprawdę go polubił, czego sam aż tak mocno nie zauważył, albo, co jeszcze dziwniejsze, poważnie chciałby, żeby po wakacjach dalej spotykał się z jego mamą.

Właściwie Piotra Kanda sam nie wiedział, co o tym wszystkim myśleć.

Nie podjął żadnej decyzji i chyba wciąż żył tą początkową wizją wakacyjnej przygody. Niemniej, śniadanie we trójkę bardzo mu się podobało.

– Sam widzisz, Piotr, Maks cię zamęczy – rzuciła Martyna, widząc jego pełną konsternacji minę.

– Ciśnie mnie skubaniec – odparł żartem.

– Muszę – Maks wzruszył ramionami – bo wy jednak jacyś tacy... niemrawi jesteście.

Parsknęli oboje, a potem płynnie zmienili temat na pracę Piotra i jego dzisiejszy wyjazd na pole golfowe. Martyna planowała wyjechać z Niesulic około jedenastej, a on już wtedy musiał być ze swoją grupą na miejscu. Kanda myślał chwilę o tym, jak to rozwiązać, i uznał, że pomoże im w pakowaniu, wyjadą dziesięć minut wcześniej, a on spokojnie zdąży pożegnać się z nimi i dojechać do pracy. Martyna kiwnęła głową, aprobując plan, a Maks zapatrzył się w smartfon.

Dojedli śniadanie, żartując i wspominając miłe chwile, jakie tutaj spędzili, oczywiście z pominięciem tych cielesnych, o których Maks nie musiał wiedzieć.

– Mam! – zawołał nagle chłopiec, podnosząc głowę znad telefonu. – Znalazłem – powiedział i przysunął się do Piotra tak, żeby móc mu pokazać ekran.

– A co tam takiego znalazłeś? – zaniepokoił się Kanda.

– Pan zobaczy, tutaj. – Machnął palcem po ekranie i pojawiła się na nim mapa Google z zaznaczonymi zielonymi miejscami. – Tu niedaleko Katowic też mamy pole golfowe!

– O Jezus... Maks! – westchnęła od razu Martyna. – Ty naprawdę wykończysz naszego gościa.

– No co? – zdziwił się chłopiec. – Naprawdę jest tam pole, może pan Piotr będzie chciał wpaść kiedyś i nas odwiedzi przy okazji? – ciągnął.

Piotr ugryzł kanapkę i międlili ją podejrzenie długo, bo nie bardzo wiedział, jak ma zareagować. Czuł, że Maks zaczyna go nieco osaczać. Przeszło mu przez myśl, że albo desperacko szukał towarzystwa swojej mamie, albo – co było gorsze – upatrzył go sobie jako kandydata na ojca. Żadna z tych możliwości w tej chwili nie napawała go optymizmem, więc dokładnie przeżuwał pieczywo, próbując się skupić.

– No dobrze, Maks – Martyna stanęła bliżej syna i spojrzała na niego wymownie – teraz lecis się pakować. Wszystko ma być wciśnięte do tej samej walizki, jasne?

– Nuuuuda – jęknął jej syn, a potem chcąc nie chcąc wstał z krzesła i ruszył do swojego pokoju.

Piotr wrzucił walizkę Martyny do bagażnika jej samochodu, upewnił się, czy to wszystko, a potem cofnął się i podszedł tam, gdzie teraz stała. Rozejrzał się, widząc, że Maks jeszcze rozmawia z Dawidem i przybijają sobie piątkę, więc nie czekając, aż przybiegnie, chwycił Martynę w pasie i mocno do siebie przyciągnął. Ona odruchowo spojrzała w kierunku syna, ale był w bezpiecznej odległości. Nie zdążyła wrócić spojrzeniem do Piotra, kiedy poczuła jego wargi na swoich ustach.

– Ej... – próbowała zaprotestować.

– No daj spokój, przecież on wie – rzucił i nie przestawał muskać jej pocałunkami.

Martyna czuła, jak ściśle przylegając do jego ciała, mięknie pod dotykiem tych mocnych ramion, ale wiedziała, że musi to powstrzymać. Zahamować. Skończyć. Tymczasem wilgotny język Piotra wsunął się między jej wargi i mimo szczerych chęci nie mogła mu się oprzeć. Chwyła rękoma jego głowę, wplątała mu we włosy swoje palce i pocałowała tak, jakby to miał być ich ostatni raz. Bo przecież był. Stali złączeni ze sobą tak ściśle, że z boku mogli wyglądać jak para świeżo zakochanych, ale żadne z nich nie było przecież zakochane. I wcale nie zmieniało to faktu, że nie mogli się sobą teraz najeść. Nacieszyć. Namieć.

– Mmm – westchnął. – Uwielbiam twoje usta.

– Z wzajemnością – dodała i znowu go pocałowała.

– Film dla dorosłych?

Usłyszeli za plecami głos Makska i od razu się od siebie odkleili.

– Spoko, oglądałem, nie robi mi to. – Wzruszył ramionami, znów udając dorosłego.

– Przerwałeś mi, chłopie, taką piękną chwilę – westchnął Piotr z rozczarowaniem.

– Tak to jest. Mama mówi, że samotne matki nie mają lekko z chłopami – rzucił.

– Maks!

Martyna zareagowała od razu.

– Ale czekajcie! – Chłopiec się nie poddawał. – Ja się odwrócę i dam wam jeszcze moment. Liczę do dwudziestu – dodał i natychmiast stanął do nich plecami.

Martyna chciała coś powiedzieć, ale wtedy Piotr zdał sobie sprawę z tego, że ten dzieciak mówi serio. Spojrzał na nią szelmowsko i chwilę później znowu była w jego ramionach.

– Piotr, przestań... – szepnęła.

– Pięć... sześć... siedem... – odliczał powoli Maks.

Martyna miała ochotę go pacnąć i sama nie wiedziała, dlaczego pozwoliła Piotrowi na jeszcze jeden moment bliskości. No dobrze, może pozwoliła na niego sama sobie.

– Zadzwonisz do mnie? – spytał szeptem, między jednym pocałunkiem a drugim.

– Po co? – zapytała, zapamiętując smak jego ust.

– Pouprawiamy seks przez telefon – odparł, a ona parsknęła.

– Nie jestem w tym za dobra – przyznała.

Nachyliła się do jego ucha i lekko przygryzła płatek.

– Wszystkiego cię nauczę – mówił, całując ją w szyję.

– Masz wprawę?

– Oczywiście – powiedział z przekąsem.

– Osiemnaście... dziewiętnaście... dwadzieścia!

Oderwali się od siebie jak w zegarku, a Maks odwrócił się uśmiechnięty.

– Dobra! Więcej, jak nas pan odwiedzi – stwierdził dwunastolatek i wszedł do samochodu.

Kiedy zamknęły się za nim drzwi, Piotr spojrział na Martynę poważniej. Dotknął palcami jej dłoni i popatrzyli sobie w oczy.

– Chcesz, żebym was odwiedził? – zapytał.

Martyna westchnęła i unikając jego wzroku, zerkała na samochód i siedzącego w środku syna. Stała tak, żeby chłopiec nie widział jej ust. Czuła, że ich teraz obserwuje.

– Piotr... – zaczęła wreszcie. – Jesteśmy dorośli, tak? Umawialiśmy się.

Starła się, żeby brzmiało to lekko.

– Wiem, ale...

Cmoknęło go w czoło.

– Nie, Piotr. Dzieli nas za duża odległość. Nie komplikujmy sobie życia, niech nam zostaną piękne wspomnienia, dobrze?

– Jesteś pewna? Bo ja nie jestem. – Próbował znaleźć w głowie jakiś argument, cokolwiek.

– Jestem pewna. – Skinęła głową. – To były najlepsze wakacje mojego życia i wspaniała przygoda.

Przygoda, Piotr. Zostawmy to tak.

Przytuliła go serdecznie jak koleżanka, a potem żwawo ruszyła do samochodu. Otworzyła drzwi, pomachała ręką i wsiadając do środka, posłała mu chyba najpiękniejszy uśmiech, jaki dotąd widział. Chwilę później usłyszał dźwięk włączanego silnika i niebieskie suzuki swift zaczęło wycofywać się z miejsca parkingowego.

Kiedy zawracała auto, spojrzął na nią jeszcze raz i miał niepokojące wrażenie, że ten piękny uśmiech na jej ustach wcale nie zgadzał się z tym, co mówiły jej oczy. Kopnął leżącą przy stopie szyszkę i energicznym krokiem ruszył do swojego samochodu.

Zbigniew Zarada stał za drzewem, upewniając się, że to dziwne, nowo poznane towarzystwo już wyjeżdża. Psa zostawił w domu, żeby uniknąć spektaklu żegnania się zwierzęcia z Maksem, i obserwował, jak się pakują, całują, rozmawiają i wreszcie odjeżdżają. Przyszło mu do głowy, że jednak ostatnie dni obudziły w nim coś, czego dawno nie czuł, i to właśnie dzięki tym ludziom. Może to była serdeczność, a może dostrzegł, że nie wszystkie dzieci powodują cudze wypadki. Pomyślał, że może nawet przestanie warczeć na każdego chłopca, który zaciekawi się jego psem.

Spojrzał w stronę parkingu i zobaczył, że auta Marty Wójtowicz już nie ma, a Piotr Kanda właśnie wsiada do swojego. Chwilę później, gdy zniknął mu już z pola widzenia, przeciągnął się mocno, odetchnął błogą ciszą, wciągnął w nozdrza zapach lasu i ruszył w stronę swojego domku.

Pod drzwiami przywitało go ciche, stęsknione skomlenie Hektora. Zawsze dziwił się, jak to możliwe, że zostawia psa na dziesięć minut, a on potem wita go tak, jakby wrócił po miesiącu. Strasznie uczuciowe zwierzęta.

– Dobrze wiem, że chodzi ci tylko o żarcie – powiedział ciepło.

Wszedł do środka, przywitał się z Hektorem, a kiedy czarny wariat przestał już na niego skakać, ruszył do sypialni.

Otworzył stojącą w środku szafę i spojrzął w jej głąb, lekko przygryzając wargi.

Wsunął rękę do wewnątrz i z wielką uwagą pogłaskał to, co się tam znajdowało. W pewnym irracjonalnym sensie... tych dwóch dzieciaków miało rację. Oczywiście, że nikogo nie zabił, nie był takim typem człowieka, ale... gdyby byli lepszymi obserwatorami, to tak, znaleźliby zwłoki. Niewiele z nich wprawdzie zostało, ale mógł je mieć zawsze przy sobie.

– Cześć, kochanie – powiedział, uśmiechając się. – Już jestem tylko dla ciebie – dodał i wyjął z szafy grafitową urnę z prochami.

Przytulił ją do siebie czule, a później z namaszczeniem pocałował wieko. Nie powiedział jej tego, bo nie chciał, żeby się martwiła, ale cholernie za nią tęsknił. Za jej palcami drapiącymi go po plecach, za tym, jak się na niego wydzierала, kiedy nie spuścił klapy od kibla, i za tym, jak chrapała niczym stary, gruby facet, nie dając mu spać po nocach.

– Zjemy obiad? – zapytał.

Zabrał ją ze sobą do kuchni i postawił urnę na stole. Hektor zareagował na ten widok entuzjazmem, zupełnie, jakby nie wydarzyło się to po raz pierwszy.

Zarada podszedł do szafki kuchennej i nałożył na talerz kilka kotletów. Dobrze wiedział, że podzieli się nimi z Hektorem i będzie jadł bardzo wolno. Żona zawsze krzyczała na niego, że zje jak świnia i nie delektuje się, tylko połyka. Że nie przegryza, że robi to za szybko, że kapie mu z ust. Tak, ona nie była ideałem, miała swoje humorki.

Usiadł przy stole i wsadził sobie do ust mały kawałeczek schabowego, a później niespiesznie go przeżuwał, uważając, żeby z kącika ust nie kapnęła mu ślina.

Wpatrywał się w urnę.

Czasem, kiedy dobrze się skupił, widział na gładkiej powierzchni naczynia rysy twarzy ukochanej i wyobrażał sobie, na co teraz znowu zwróciłaby mu uwagę. Cholerna baba.

Tak bardzo kochał to, jak zwracała mu uwagę.

– Cześć, mamus! – powiedział Piotr podniesionym głosem, tak, żeby dobrze go słyszała i nie wystraszyła się tym, że w mieszkaniu jest ktoś obcy.

Nie odpowiedziała oczywiście, więc z przedpokoju skręcił w prawo i wszedł do kuchni. Z siatki wyjął jeszcze ciepłe kotlety mielone, ziemniaki i surówkę z kiszzonej kapusty, które kupił w jadłodajni pod domem. Rozłożył całość na dwa talerze, nastawił wodę na herbatę i poszedł do salonu.

– Cześć, mamus – powtórzył ciszej.

Jego matka właśnie oglądała w telewizji występy w łyżwiarstwie figurowym na lodzie.

– O cześć, Piotrusiu! – odpowiedziała, nie odwracając się do niego. – Zobacz! Zobacz, jak oni pięknie tańczą. Jak zakochani, zaczarowani! – dodała melodyjnie.

– Wspaniale, mamus – potwierdził. – Są jeszcze dla mnie mielone? – zapytał. – Głodny jestem strasznie.

– Ojej! – westchnęła zawstydzona. – Piotrusiu... nie pamiętam, czy zrobiłam, ojej... sprawdź, synku, w kuchni, dobrze?

Piotr poszedł i już z pomieszczenia obok odkrzyknął, że mielone są, i to takie, jak lubi.

– Zaraz nałożę! – zawołał z entuzjazmem. – Ależ pięknie wyglądają, mamus!

Poczekał, aż będzie mógł zalać wodą kubki z herbatą, a potem zrobił to i najpierw zaniósł do pokoju gorące napoje. Postawił je na stoliku i wrócił po talerze.

– Mamus, ale ty mogłaś przecież zjeść wcześniej – zwrócił jej uwagę. – Kochana jesteś, że zawsze na mnie czekasz z obiadem.

Starsza pani wychyliła się z fotela i wzięła od niego talerz.

Zadziwiona pokręciła głową, widząc na nim apetyczne, wyjątkowo kształtne kotlety. Nie pamiętała, kiedy je zrobiła, ale ucieszyło się, że nadal ma do tego talent. Szybko spróbowała pierwszego.

– Niesamowite... – wymamrotała – z wiekiem wychodzą mi coraz lepsze.

– To prawda, mamus, zawsze miałaś rękę do mielonych – odparł i wpakował całego kotleta do ust. – Mmm! Delicje!

– Na zdrowko, synku, na zdrowko.

Piotr wyciągnął nogi na staromodnym pufie, położył sobie talerz na kolanach i jadł powoli, kątem oka zerkając na ekran telewizora. Zauważył, że rzeczywiście tancerze, jeśli tak można ich było nazwać, w trakcie jazdy na łyżwach wyglądali jak idealnie zsynchronizowani. Zakochani. Te uśmiechy, chwytły, przytulenia.

Mruknął, zastanawiając się, czy rzeczywiście którakolwiek z tych par jest ze sobą w życiu poza lodowiskiem. Pewnie nie, a w każdym razie nie sądził.

– Jak było dziś w pracy, Piotrusiu? – zapytała go mama i wbiła widelec w surówkę z kiszzonej kapusty.

– Spokojnie, miałem dziś grupę nastolatków, nawet dosyć uważnie mnie słuchali – odpowiedział.

– A nie miałaś tam żadnej ładnej, sympatycznej pani na oku?

Piotr westchnął i zatkał się ziemniakami. Robił tak czasem, gdy nie chciało mu się znowu prowadzić z mamą tej samej rozmowy. Był tak zmęczony jej próbami wciskania mu kobiety, że naprawdę niekiedy miał tego serdecznie dość. Przełknął kęs i coś przyszło mu do głowy.

– A... była taka jedna – rzucił nagle.

Jego mama od razu się ożywiła i zamiast na wirujących na lodzie parach skupiła się na nim.

– Ooo! Ktoś wpadł ci w oko?

Wyglądała w tym momencie trochę jak harpia czyhająca na swoją ofiarę. Od razu nastroszyły jej się wszystkie piórka.

– Szczerze, mamus? Tak. Miała wspaniałe cycki, no mówię ci, napatrzeć się nie mogłem – burknął trochę złośliwie, dobrze wiedząc, że mama zaraz go skrytykuje za przedmiotowe traktowanie kobiet.

– Mówi się biust, Piotrusiu! – poprawiła go. – Ewentualnie piersi. A wiesz, że to akurat dobry sygnał? Mogłaby wykarmić dzieci bez mleka w proszku.

Piotr poczuł, jak odchodzi mu chęć robienia jej na złość.

Nie dość, że o kobietach, to jeszcze o dzieciach. Jezus, za co?

– I co, zagadałeś do niej? – wierciła mu dziurę w brzuchu.

– Umówiłem się z nią na obiad – zaryzykował. – Ale okazało się, że przyszła z synem, więc uciekłem – dodał, myśląc, że w ten sposób skończy temat.

– Ooo, ta pani ma dzidziusia? – Mama Kandy wydawała się zachwycona. – Cudownie! Ile miał lat?

– Nie wiem, może ze dwanaście.

– Sporo – zauważyła poważnie. – Ale... mógłby być dla twojego syna dobrym starszym bratem, prawda? – Zreflektowała się i spojrzała na niego z nadzieją.

– Mamo... – jęknął – daj już spokój.

– Kobiety z dziećmi są dojrzałe, synku. Żadnego fiu-bździu w głowie. Dobre partie – powiedziała. – I wiesz, w sypialni też nie musisz ich już niczego uczyć. – Mrugnęła filuternie.

– Idę skoczyć z okna, mamó.

– Po co?

– Żebyś mnie już nie męczyła.

– Ja cię męczę, Piotrusiu? Jak możesz? Tyle lat robiłeś w pieluchy, a ja cię zawsze przewijałam, myślałeś, że zostawiłabym cię obesranego, mówiąc, że już mnie męczysz?

– O Boże, mamó... – jęknął.

– I nie wzywaj imienia Pana Boga nadaremno! – fuknęła.

Piotr przewrócił oczami i próbował skierować jej uwagę na program, mówiąc coś o pięknym pirucecie jakiejś brazylijskiej pary. Starsza pani spojrzała na odbiornik i rzeczywiście zachwyciła się powtórką tego wykonania.

– My z twoim tatą też kiedyś kręciliśmy piruety. – Zachichotała, jak dziecko. – Tylko że w sypialni.

– Cudownie... – rzucił z ledwie wyczuwalnym przekąsem.

– A mówiłam ci, Piotrusiu, że tato o mnie walczył jak lew?

– Tak, mamus, sto pięćdziesiąt razy.

– No więc już wiesz, że o kobietę trzeba walczyć, prawda? – spytała poważnie.

– Mhm. Wiem.

– Musisz o nią stale zabiegać, pokazać, że stoisz po jej stronie, kochać czule i gorąco i słuchać się jej w każdej sprawie – ciągnęła.

– Oooczywiście...

– I wtedy będziesz miał wspaniałą związkę, a ja świetną synową – podsumowała. – I tatuś też by się ucieszył, wiesz? On tak czeka, aż przyprowadzisz do domu jakąś miłą dziewczynę, tak czeka!

Piotr parsknął, chociaż wcale nie chciał, ale zwyczajnie mu się wymasknęło. Mama zareagowała oburzeniem.

– I co cię tak śmieszy, Piotrusiu? – spytała. – Ból ojca czekającego na wnuki?

– Mamó, no proszę cię. Tato nie czeka na wnuki.

– A właśnie, że tak! Wczoraj przed snem aż łzę uronił, że jedyny syn nie da mu wnuka przed śmiercią. Albo wnuczki – mówiła zapamiętale. – Czy ty wiesz, Piotrusiu, że dzieci twojej siostry mają nazwisko jej męża? Nie nasze! Tylko ty możesz przedłużyć nasz ród. A tato już nawet pierwszy prezent przyszykował dla tego twojego dziecka. Tylko nic mu nie mów, że ci to zdradziłam, bo nigdy by mi tego nie wybaczył.

– Pierwszy prezent? – Piotr kręcił głową, zastanawiając się, co jeszcze przyjdzie jej do głowy.

– Tak – odpowiedziała i nagle odstawiła talerz.

Energicznie – jak na nią – zaczęła gramolić się z fotela. Ciężko sapiąc, wstała i poczłapała do swojej sypialni. Piotr chcąc nie chcąc ruszył za nią.

– Mamus...

– Cicho! Zaraz ci pokażę, póki tato jest w pracy, żeby nic nie widział – mówiła tonem pełnym diabolicznej konspiracji.

Weszła do sypialni, otworzyła wielką szkrzynię, w której od lat trzymała pościel, i kazała Piotrowi wyjąć to wszystko na łóżko. Zrezygnowany machnął ręką i szybko wyrzucił kołdry i poduchy na zewnątrz tak, żeby mieć to już z głowy.

– O, patrz, tam na dole! – zawołała triumfalnie, pokazując mu małe, czarne pudełko.

Piotr zaskoczony uniósł brwi, a później pochylił się i złapał w rękę drewnianą szkrzynkę.

– Co to jest?

– No otwórz, sam zobaczysz.

Zaplotła dłonie na piersiach i patrzyła na niego wyzywająco.

– Żebyś nie mówił, że stara matka nie wie, co plecie.

Piotr przyjrzał się szkrzynce, znalazł metalowe zamknięcie i uchylił wieko. W środku leżały wystrugane przez jego ojca figurki. Wiewiórka z puchatym ogonem, mały lis, kury, rycerzyk, pasterze, zezowata owca, niedźwiedź stojący na tylnych łapach, a nawet jeden nie do końca udany koń.

Przez moment poczuł na rękach ciarki i przypomniał sobie, że lata temu, kiedy był dzieckiem, tato strugał mu w drewnie takie ludziki. Rozsypywali je później na dywanie i bawili się nimi przez wiele godzin. Tato wymyślał fabułę kolejnej przygody, a zwierzęta i ludzie zdawali się ożywać pod ich rękoma. Cały pokój zamieniał się wtedy w fantastyczną bajkę, w której to oni rządzą losami bohaterów. Piotr potrząsnął głową,

wracając na ziemię, i na dnie pudełka zauważył zgiętą karteczkę. Wyjął ją, rozłożył i zobaczył znajomy charakter pisma. Przełknął ślinę, widząc charakterystyczne kulfony i zawijasy swojego ojca.

Na szczęście udało mu się odczytać.

Stwórz im magiczny świat, Piotrze. Niech żyją.

Przewrócił kartkę, żeby sprawdzić, czy jest na niej coś jeszcze, ale nie było. Tylko tych kilka słów, które coraz mocniej budziły wspomnienia z dzieciństwa.

– Mamuś... – zaczął. – Kiedy tato ci to dał?

– No wczoraj – odparła. – Skończył strugać niedźwiedzia i powiedział, że to dla ciebie, jak już będziesz miał dziecko, żebyście się nie nudzili.

Piotr spojrział na mamę i nie wiedział, czy jest sens pytać ją dzisiaj o coś więcej. Z jednej strony przypomniało jej się to pudełko, a z drugiej wciąż nie pamiętała, że tato nie mógł wystrugać tego wczoraj. Widział po jej minie, że jest zatroskana, więc poszedł i przytulił ją mocno.

– Kocham cię, mamuś, wiesz?

– Oj, Piotrusiu. – Cmoknęła go w ramię, bo do czoła by nie dosięgła. – Nie mnie kochaj. Znajdź sobie wreszcie jakąś miłą dziewczynę.

Mama poklepała go po plecach i wysunąwszy się z jego ramion, zmierzała z powrotem do salonu. Piotr westchnął, wrzucił do skrzyni pościel, a później zabrał pudełko i poszedł za nią. Usiadł w fotelu i niespiesznie dojadł zimne kotlety.

– Która to godzina?

– Dochodzi siódma.

– Tak późno? Gdzie ten tato znowu się szlaja? Będzie jadł zimne! – Zdenerwowała się.

– Mamuś, nic się nie martw, podgrzeję mu.

Siedzieli w ciszy, aż nagle kobieta uniosła się gwałtownie w fotelu i spojrzała na niego z wyrzutem.

– No co? – zapytał.

– Piotrusiu, ty mały kłamczuchu! – Zaśmiała się, kiwając na niego palcem. – Przecież tato nie żyje! Wziął i sobie umarł. Co ty tutaj ze mnie głupią robisz? – Zachichotała.

– Ojej... przepraszam, mamo, zapomniałem.

– Pani Kwiatkowska z piętra niżej mówiła, że na to jest lecytyna! – Przypomniała sobie. – Jutro koniecznie pójdz po to do apteki.

– Dobrze, mamuś, pójde – odpowiedział, ani słowem nie wspominając, że jej ulubiona sąsiadka też już nie żyje.

Dobrych dziesięć lat.

Rozdział XVI



Tydzień później

Drzwi pokoju otworzyły się gwałtownie i leżący na łóżku Maks o mało nie podskoczył.

– Maaamo! Miałaś pukać! – oburzył się.

– No chyba nago nie ganiasz po pokoju?

– Ale mogłem!

– No już, nie denerwuj się tak, przyniosłam ci wyprasowane ubrania – powiedziała. – Schowaj do szafki.

Maks podniósł się z łóżka z miną skończonego cierpiętника, jakby dostał od niej zadanie zbudowania Arki Noego. Złapał górę ubrań i na raz wcisnął je wszystkie do szafy.

– Ej! Tam są też majtki i skarpetki! – zawołała.

– To co? Przecież znajdę.

– Masz na nie osobną szufladę, Maks.

– Maaamo, no proszę cię, przestań zrzedzić – rzucił z wyrzutem.

Martyna chciała mu coś odparować, ale ugryzła się w język. Lata temu obiecała sobie, że nie będzie się zachowywać jak własna matka, ale czasem była na skraju. Najchętniej powiedziałaaby synowi znamienne: *Nie po to tyle prasowałam, żebyś tak wcisnął wszystko do szafki!* albo: *Natychmiast to poukładaj!* *Nie po to się tak staram!*. Niemal zadzwęczał jej w uszach uniesiony głos matki. O nie, nie zrobi tego...

Spojrzała na łóżko syna i zobaczyła na nim smartfon. W tej samej chwili w jej głowie zakiełkowała niepokojąca myśl.

– A co takiego ważnego robisz na telefonie, że nawet wejść do ciebie nie można?

– Nic.

– Nic?

– O Jeezus, mam, rozmawiałem z Dawidem.

– Piszecie do siebie?

– No.

– Mhm... Pozdrów go ode mnie i przekazaj pozdrowienia dla rodziców.

– Dobra – odparł i z powrotem położył się na łóżku.

Martyna czuła, że tak oto właśnie, po miłym tygodniu od powrotu z Niesulic, jej syn znów zamienia się w tego samego chłopca, którym był przed urlopem. Wieczne mamowanie i telefon, telefon i mamowanie i to samo w odwrotnej kolejności razy pięć. No cóż, to było do przewidzenia, choć i tak cieszyła się na myśl, że jednak udało im się spędzić razem ładny kawałek wakacji.

Poszła do kuchni, włączyła laptop i sprawdziła, czy przed poniedziałkiem jej szef nie wymyślił jeszcze czegoś, co powinna zrobić, zanim stawi się w pracy.

Ostatni tydzień był dla niej totalnie szalony, bo okazało się, że większość rzeczy, które miało za nią wykonać zastępstwo, zwyczajnie czekało sobie przez dwa tygodnie na jej powrót, więc w pierwszym momencie nie wiedziała, w co ręce włożyć. Do środy odkopywała się z zaległości i kiedy pod koniec pracy wreszcie wyszła z arkuszy Excela, miała wrażenie, że jej mózg zaraz eksploduje i wylądowuje na firmowej ścianie.

Dopiero od czwartku wpadła w normalny rytm i mogła wreszcie zabrać Maksa na basen. On przecież cały czas miał jeszcze wakacje. Spojrzała na ekran, otworzyła pocztę i ku swojej radości zauważyła, że nie ma żadnych nowych pomysłów czy superzadań od szefa. Odetchnęła z ulgą, zamknęła komputer i nastawiła wodę

na herbatę. Plan na resztę niedzieli miała tylko jeden, za to bardzo konkretny. Kanapa, herbatka, książka. Interesował ją tylko relaks. Specjalnie weszła dzisiaj do księgarni i kupiła sobie dwie nowe książki, tak, żeby jej myśli skupiły się na lekturze i jej akcji, a nie na tym, że Piotr przez cały tydzień nie napisał do niej ani razu. No oczywiście, że ona też nie napisała, ale chyba liczyła, że to jednak on spróbuje nawiązać kontakt, mimo zasady mówiącej o tym, że ich romans kończy się w Niesulicach i było miło, pa, pa. Nie napisał, więc nie dobięła się z tego powodu, za to wystarczająco dużo o nim myślała. Czuła, że książki pozwolą jej o tym zapomnieć.

Zalała herbatę i poszła z kubkiem do salonu, wiedząc, że zaraz owinie się kocykiem i odleci w świat fikcji literackiej. Ich mieszkanie latem było chłodne i mimo przyjemnej, naturalnej klimatyzacji, jeśli siedziało się w nim dłużej, to kocyk był po prostu obowiązkowy. Umościła się na kanapie i otworzyła pierwszą stronę lektury, ale zdążyła przeczytać może do połowy, kiedy Maks wynurzył się ze swojego pokoju i poszedł do łazienki. Słyszała, że coś tam się w niej podejrzanie tłucze i przestawia rzeczy, ale wołała nie pytać. Westchnęła, wróciła do książki i postanowiła się odprężyć.

– Mamo!?

– Tak? – spytała, patrząc na drzwi łazienki, z której właśnie ją wołał.

– Czym myjesz lustro?

– Co?

– Lustro jest brudne! Czym je myjesz? – powtórzył.

– Spryskiwacz stoi w szafce pod zlewem, a ręczniki papierowe obok – odpowiedziała zdziwiona.

Od kiedy on potrzebował czystego lustra, żeby się przejrzeć? Dziwne.

Dziesięć minut później był już spokój. Maks zadowolony z siebie wyszedł z łazienki i zerknął do salonu, w którym leżała. Zmarszczył usta, a potem pozbierał ubrania z foteli, zabrał swoje kapcie i podniósł papierki po cukierkach, które rano wrzucił pod ławę, licząc, że ona ich tam nie zauważy. Martyna obserwowała go, nie unosząc głowy znad książki.

Maks i dobrowolne sprzątnięcie? Chyba że upadł, uderzył się i uszkodził sobie coś w mózgu.

– Gdzie jest odkurzacz? – zapytał, kiedy wszystkie rzeczy z wierzchu salonu już zniknęły.

Otworzyła oczy jeszcze szerzej.

– Odkurzacz?

– Takie coś z trąbą do zbierania śmieci – wyjaśnił.

Martyna parsknęła i wskazała mu drzwi, za którymi był schowany. Kiedy wyjął stamtąd sprzęt i włożył wtyczkę do gniazdka, zapytała, czy może mu zrobić zdjęcie, bo ten obrazek musi sobie zapamiętać. Maks spiorunował ją wzrokiem i nie skomentował, wzruszyła więc ramionami i wróciła do lektury. Doszła do wniosku, że musiała na urlopie przegapić moment, w którym polubił sprzątnięcie. No chyba że próbował jej coś w ten sposób powiedzieć, ale uznała, że lepiej będzie udawać, że tego nie zauważa. Jak dotąd jej synowi nie zdarzyło się, żeby bałagan zaczął mu wreszcie przeszkadzać, więc postanowiła cieszyć się tą chwilą.

Z uśmiechem na ustach wróciła do czytania.

Dwie godziny później Martyna przeciągnęła się leniwie i z bólem niemal wymalowanym na twarzy zsunęła nogi z kanapy i powoli wyszła spod koca. Ruszyła do kuchni, żeby zrobić sobie następną herbatę, i kiedy znalazła się przed czajnikiem stojącym na blacie, doznała wizualnego wstrząsu. Maks pozmywał naczynia! Tego nie widzieli nawet najstarsi górale. Zdębiała, i to całkiem poważnie, myśląc, że coś jednak jest na rzeczy, skoro jej syn włożył swoje wrażliwe rączki w tłuste talerze po dzisiejszym obiedzie. Mało tego, on je nawet sprzątnął z suszarki!

– Maks!

– Co? – zawołał ze swojego pokoju.

– Chodź tutaj.

– Muszę? Z Dawidem piszę! – odkrzyknęła.

– Chodź, chodź – powtórzyła wstrząśnięta.

Jej dziecko wychyliło głowę z pokoju i jednocześnie klikało coś na smartfonie. Twarz miało tak skupioną, jakby rozwiązywało problem rangi drugiej wojny światowej.

– Wszystko z tobą w porządku? – zapytała. – Zmyłeś naczynia.

– No – burknął. – Chciałem pomóc.

– Stało się coś?

– Nie.

Uniósł na moment brwi i spojrzał na nią, a potem wrócił wzrokiem do komórki.

– Zaraz zabiorę ci ten telefon.

Podziałało. Maks od razu przyszedł do kuchni, stanął przed nią i popatrzył jej pytająco w oczy.

– To źle, że sprzątnąłem, mamó?

– Nie, no bardzo dobrze, ale to dość podejrzane, nie uważasz? Jeśli coś zmalowałeś i próbujesz zrobić na mnie dobre wrażenie, żeby to zatrzeć, to ci się udało. A teraz możesz się już przyznać – powiedziała.

– Mamó, nic nie zrobiłem, chciałem być miły.

– Taak? – powątpiewała. – To się będzie powtarzać częściej?

Chłopiec uśmiechnął się podstępnie.

– Yyy, nie, już nie będę, słowo.

– Aha. Czyli wszystko w porządku?

– Tak.

Rozmowę przerwał im dzwonek do drzwi. Maks zerknął na smartfon, napisał coś i poszedł do swojego pokoju.

– Ej! Bliżej jesteś, otwórz! – krzyknęła za nim.

– Nie mogę! – odparł i ku jej zdziwieniu zwyczajnie zamknął za sobą drzwi.

– Ja go kiedyś zastrzelę – mruknęła i powłóczyła nogami w stronę drzwi.

Stała przed nimi i zerknęła przez wizjer. Szybko zmrużyła oczy, nie wierząc w to, co widzi. Po drugiej stronie stał Piotr.

Jeszcze raz przysunęła oko do judasza, bo musiała się upewnić. Tak, stał tam i patrzył na nią. Miał na sobie jasną koszulę, a idealnie zrobiona broda wyglądała, jakby właśnie wyszedł od barbera. Martyna poczuła, jak coś podchodzi jej do gardła.

Wzięła głęboki wdech, próbując nad sobą zapanować. *Co on tu robi?* Przekręciła powoli klucz w zamku i uchyliwszy drzwi, wysunęła głowę na zewnątrz.

– Piotr...?

– Cześć. Przyniosłem kolację, zjecie ze mną? – spytał, a w jego głosie wyczuła, że długo się przygotowywał, by to powiedzieć.

W jednej ręce trzymał dwa wielkie opakowania pizzy, a w drugiej butelkę wina.

Patrzyła na niego, nie mogąc wydusić słowa. Miał na sobie elegancko wyprasowane, ciemne spodnie, które idealnie wyglądały w zestawieniu z jasną koszulą. Od razu przypomniała sobie, że jest ubrana w rozciągnięty dres i ma na stopach kaptcie pamiętające pewnie czasy wikingów. Szybko szurnęła je w kąt przedpokoju, tak, żeby Piotr nie zdążył ich zauważyć, a potem szerzej otworzyła drzwi i zaprosiła go do środka.

– Wejdz, jasne.

Kiedy Piotr Kanda wszedł do mieszkania, zamknęła za nim i poczuła, jak z nerwów zaczyna jej drżeć powieka. Była pewna, że kiedy on się odwróci, zobaczy na jej twarzy wypieki. Był tutaj. Naprawdę tutaj był, a ona dalej nie mogła w to uwierzyć. Nie uprzedził jej, nie pisał, przez tydzień nie dzwonił, a tu nagle po prostu stanął w drzwiach jej mieszkania?

Odwróciła się i zobaczyła, że stoi tuż przed nią, wciąż mając dłonie zajęte winem i kartonami z pizzą. Uśmiechnął się tak, że przez jej ciało przelatała się fala ciepła i mimo nerwów, które nią teraz targaly, uniosła lekko kąciki ust.

Piotr zrobił krok do przodu i prawie przyparł ją do drzwi, pochylając się, żeby ją pocałować. Ten moment, gdy znowu poczuła na swoich wargach jego usta, sprawił, że zmiękły jej nogi.

– Cześć, piękna! – powtórzył, kiedy się od niej oderwał. – To gdzie ta kuchnia? Pizza jest jeszcze gorąca.

– Tam dalej, na wprost... – wymamrotała, nie mogąc się na niego napatrzeć. – Wybacz minę kretyнки, ale jestem tak zaskoczona, że nawet... nogi odmawiają mi posłuszeństwa – dodała żartem, chociaż to akurat była prawda.

– Serio? – zaciekawił się. – Musiałabyś teraz widzieć moje.

Oboje poczuli się luźniej i za chwilę Piotr już wchodził do kuchni.

– Skąd wiedziałeś, gdzie mieszkam?
– No cóż. Mam tu swoich szpiegów – odparł i głośno zawołał Maksa.

Jej syn od razu wynurzył się z pokoju.

– Dzień dobry! – przywitał się podekscytowanym głosem. – Z potrójnym serem i kiełbasą? – spytał, patrząc pożądliwie na pizzę.

– Ej! – Martyna zaczęła coś rozumieć. – To jest zmowa?!

– Oczywiście. – Piotr położył oba opakowania na stole i postawił obok nich butelkę wina. – Maks sprzedał cię za potrójny ser z kiełbasą, ale na pociechę przyniosłem ci wino i siebie. Dobry układ? – Mrugnął do niej.

– Okropny – przyznała, patrząc na Maksa, który właśnie ładował sobie na talerz dwa ogromne kawałki ulubionej pizzy.

– Potem ponarzekasz, mamó. – Chłopiec wzruszył ramionami. – Teraz zjedzmy coś porządnego – dodał zadowolony z siebie.

Martyna wciąż z niedowierzaniem kręciła głową, ale kiedy Piotr podszedł do niej i nie zważając na siedzącego przy stole Maksa, objął ją w pasie i mocno do siebie przytulił, zmiękła od razu. Pachniał czymś przyjemnym, a jego ramiona wydały jej się jeszcze mocniejsze. Bardziej zdecydowane niż wcześniej i jakby trochę inne. Poglaskał ją lekko po włosach, sprawiając – ku jej rozpaczy – że zarumieniła się jak nastolatka.

– To może ja naleję tego wina... – stwierdziła, wysuwając się z jego kuszących ramion.

Sięgnęła do szafki nad zlewozmywakiem i wyjęła z niej korkociąg oraz dwa kieliszki.

Piotr usiadł przy stole i przybił z Maksem piątkę.

– Dzięki, chłopie – powiedział.

– No... najwyższa pora.

Maks wgryzł się w kawałek pizzy i mlaskał ze smakiem.

– To straszne, że o niczym nie wiedziałam.

– Chcieliśmy ci powiedzieć, mamó, ale to ja uznałem, że nie warto – wyjaśnił Maks, patrząc na nią wzrokiem małego Sherlocka Holmesa. – Pewnie upierałabyś się, że wakacyjna przygoda, że nie ma sensu, bla, bla i takie te wasze pierdoły – dodał, a oni zaczęli się śmiać, i to nie dlatego, żeby powiedział to jakoś zabawnie, ale po prostu dzieciak miał rację.

Martyna nalala wino, wzięła dwa dodatkowe talerze i za chwilę w trójkę cieszyli się smakiem niezdrowej pizzy.

– Dawno przyjechałeś? – zapytała.

– Pół godziny temu, ale musiałem poczekać, aż w pizzerii ogarną się z zamówieniem. Maks miał co do tego specjalne życzenia.

– Jakoś się nie dziwię. – Uśmiechnęła się.

– W każdym razie... – zaczął Piotr i nabrał więcej powietrza. – Przejdę do rzeczy. Zostawiłem mamę pod opieką siostry, a ponieważ mam tu, na Śląsku, kolegę, który jest instruktorem na tutejszym polu golfowym, to udało mi się zamienić z nim na wakacje. On już jest na Kalinowych Polach, koło Niesulic, a ja od jutra biorę jego uczniów tutaj – dodał. – Zostaję do końca wakacji.

– Ekstra! – ucieszył się Maks.

– No więc... – ciągnął Piotr, nie pozwalając jeszcze Martynie dojść do słowa. – Jestem trochę, jakby to powiedzieć... bezdomny. – Rozłożył wymownie ramiona. – Jeśli mnie nie przygarniecie na nocki, to będę musiał wynająć hotel, płacąc oczywiście jak za zboże.

Martyna mało się zadławiła. Przełknęła kawałek pizzy i z trudem wykrztusiła:

– Że jak?

– Twój syn kazał mi mówić wprost, to mówię – odparł, sięgając po jej rękę, i tłustymi od ciasta ustami pocałował jej wierzch. – Może pomieszkałbym u was do końca wakacji? Sprawdziłibyśmy, czy zniesiesz na dłużej moje walające się po domu skarpety, no i czy ja zniosę twoje gderanie. Wiesz, taki test. Co ty na to?

– Test? Średnio to widzę... – bąknęła. – A gdzie korzyści? – zapytała, patrząc na niego z nutą prowokacji. – Bo o skarpetach już mi powiedziałeś i to jest akurat mało kuszące.

– No jak gdzie? Będę cię ogrzewał nocami.

– Mama lubi masaż stóp – wtrącił Maks.

– Da się zrobić! – podchwycił tę myśl Piotr. – Masaż stóp co wieczór, pasuje ci?

– A gary?
– Jakie gary? – zdziwił się.
– No chyba nie myślisz, że będę zmywać po całej trójce?
– Dzień ty, dzień ja?
– I dzień Maks! – zawołała, śmiejąc się nerwowo.
– Co? A ja czemu? – Maks przełknął pizzę i patrzył na nich oburzony.
– Za udział w spisku oczywiście – wyjaśniła.
Jej syn drapał się chwilę po głowie, jakby musiał to sobie przemyśleć.
– Czyli to zmywanie wychodziłoby tylko dwa razy w tygodniu? – Policzył szybko. – Doobra, może być, ale wtedy to ja mówię, co robimy na obiad.
– Cwaniak – zauważył Piotr. – Założę się, że będzie chciał pizzę.
Zaczęli się śmiać, a Martyna patrzyła na Piotra, czując, że to, co się między nimi teraz dzieje, jest jakieś inne. Bliższe? Rozsądniejsze? Takie... normalne? Spojrzała na niego i dostrzegła w jego oczach coś, co bardzo jej się spodobało.
Dostrzegła zaangażowanie.

Koniec

Kilka słów od autora

Wszystkie opisane w książce miejsca są prawdziwe, a ponieważ mieszkam niedaleko, często je odwiedzam. Jezioro Niesłysz – tuż przy Niesulicach – jest jednym z najczystszych w tym regionie, w jakim się kąpałam. Musicie je odwiedzić, polecam!

Ośrodek Wypoczynkowy Kormoran znajduje się tuż przy brzegu jeziora i kusi ciepłym, wakacyjnym klimatem. Pole golfowe Kalinowo mieści się kilka kilometrów za Niesulicami, tu można śmiało spróbować swoich sił w tym interesującym sporcie. Niewielkie jeziorko Złoty Potok i jego dzika plażyczka również są autentyczne. Zielonogórska Palmiarnia zachwyca egzotycznym mikroklimatem i potężnymi drzewami, między którymi przy eleganckich stolikach można zjeść coś dobrego. Na koniec jeszcze obowiązkowy punkt dla urlopowiczów: mobilna lodziarnia Kręcę Lody – palce lizać!

Wszyscy bohaterowie książki są fikcyjni.

Podziękowania

Bardzo dziękuję mojej Beta Reader, Oli, która gdy dowiedziała się, że tym razem potrzebuję jej cennych uwag nie do mrożącego krew w żyłach thrillera, ale do romansu obyczajowego – zjeżyła się szybciej, niż ustawa przewiduje ;). Dopiero po lekturze całości zadzwoniła do mnie i stwierdziła, że o dziwo, książka w tej tematyce jednak bardzo jej się podoba i jest na TAK.

Ogromne podziękowania również dla mojego wydawcy – to właśnie dzięki niemu na księgarskie półki, a zaraz potem w ręce czytelników trafia moja piąta książka. Wyrazy uznania należą się też mojej ulubionej – bez grama przesady! – Pani Redaktor, Kindze Szelest, oraz całemu zespołowi, który pracował nad tym, by tę pozycję czytało się naprawdę przyjemnie. Dziękuję!

Alex Sand